



Jerzy Siewierski

Pięć razy

MORDERSTWO





„Uwaga, wszystkie wozy, uwaga, wszystkie wozy, przypominam dane dotyczące osób poszukiwanych, które należy bezwzględnie zatrzymać. Numer pierwszy: Steve Harrisson. Lat siedemnaście. Wzrost około sześciu stóp. Włosy czarne, bardzo długie. Ubrany jest w dżinsy i koszulkę z napisem „Pamięci Jimmy'ego Hendrixa”. Jest w stanie zamroczenia narkotykami. Uzbrojony w brzytwę...”

Pokazałem w kierunku zaparkowanej w oddaleniu taksówki.

— O, tam jest taksówka...

Kierownik śledził słowa:

— W parawanie. Widno, widano tam jaśniejszy.

Chciał w ciemności kontynuować: — Numer drugi. Peter Barton. Przemiany 4-letni. Wzrost pięć stóp i siedem cali. Sierpniaci brzoścy ciemni. Lat siedemnaście. Ma wstrząsanie i wacz. Może być zabójczy. Delikatnie się słowo za widzieliśmy. Ubrany był...

— Czesław M. —



Jerzy Siewierski

Pięć razy morderstwo



ISKRY • WARSZAWA • 1976

KABAŁA PANNY BARLOVE

czyli

morderstwo po angielsku

– Chyba się pomyliłam – powiedziała panna Barlove i jej nieprawdopodobnie szybkie palce znieruchomiały. Nie położyła na stole kolejnej karty.

– Poczekaj, kochanie – zainteresowała się ciocia Jane i pochyliła się nad rozłożoną kabałą. – Ależ tak! Wszystko się zgadza. As pik, nad nim dziewiątka pik, a teraz położyłaś obok dziesiątkę...

– Chyba się pomyliłam – powtórzyła z uporem panna Barlove i ściągnęła wargi. – Zacznijmy od początku – energicznym ruchem zgarnęła rozłożone karty. – Zresztą – dodała – nie mam dziś nastroju do wróżenia.

Ciotka Jane nie dała się jednak zbyć tak szybko.

– Kochanie! – wykrzyknęła – przecież to oznacza śmierć! Zawsze mi mówiłaś, że te trzy karty tak ustawione... – dorzuciła tonem zrozumienia – nie chciałaś mnie przestraszyć, Piotrusiu!

– Pomyliłam się, Jane – zapewniła sztywno panna Barlove – przypominam sobie, że przerzuciłam się rozkładając drugi rząd..

Ciocia Jane nie dała jednak za wygraną:

– Nie opowiadaj takich rzeczy, Piotrusiu! Wszystko było poprawnie ułożone. Jeżeliby naprawdę wierzyć we

wróżby, znaczyłoby to, że...

Ciocia była wyraźnie przejęta. Uznałem za stosowne się wtrącić:

– Nie należy brać wszystkiego dosłownie...

– Właśnie! – zahuczał starczym basem wuj Archibald. – To wszystko są straszne brednie! Za przeproszeniem jakieś figle migle. Gdy służyłem w roku 1936 w Mandaley, przyszedł do mnie taki jeden ciemnoskóry miglanc, o którym opowiadano, że potrafi przepowiadać przyszłość... Zaraz, to było jednak chyba w Rangunie w roku 1937...

Groziło nam poważne niebezpieczeństwo. Gdyby wuj Archibald zaczął snuć swoje wspomnienia, skazani byśmy zostali na wysłuchanie nie kończącej się historii, w której wszystko dokładnie spletywało się z sobą. Trzeba było temu zapobiec. Wtrąciłem się więc grzecznie, ale stanowczo:

– Wuj jak zwykle ma rację. Nie należy brać poważnie wróżb i przepowiedni. Kabała to w gruncie rzeczy tylko przyjemna rozrywka towarzyska na długie wieczory. Nic więcej.

– O, czyżby? – zapytała ironicznie panna Barlove i znowu ściągnęła wąskie wargi. – Oczywiście – dodała – w tym wypadku po prostu pomyliłam się rozkładając karty. Ale zazwyczaj, młody człowieku – panna Barlove obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem – moje wróżby się sprawdzają. Przekona się pan o tym, gdy pewnego dnia postawię panu karty.

– Będę niesłuchanie zobowiązany – uśmiechnąłem się uprzejmie.

– W ogóle wszelkiego rodzaju wróżbiarstwo –

wtrącił się milczący dotychczas kuzyn James – to niesłychanie ciekawa sprawa i jeszcze nie w pełni wyjaśniona naukowo. Wprawdzie nie potrafimy znaleźć żadnego racjonalnego wyjaśnienia dla wiary w jasnowidzenie, istnieje jednak wiele konkretnych przypadków, w których sprawdziły się, nawet najdziwniejsze przepowiednie...

– Jesteś strasznie przesądny – odezwała się milcząca dotąd kuzynka Jocelyn – słyszałam, że kierowcy wyścigowi boją się czarnych kotów i nie chcą startować w piątki. Nie podejrzewałam jednak, że i ty wierzysz w takie brednie.

Głos Jocelyn pełen był nutek pogardliwej ironii i ku mojej nieklamanej satysfakcji kuzyn James zaczerwienił się okropnie. Nie cierpię kuzyna Jamesa, a już szczególnie nie lubię, gdy przewraca oczami za Jocelyn. Ta dziewczyna była dla niego stanowczo za ładna i za inteligentna.

– Ależ kochanie – zaprotestował niemrawo – oczywiście, że nie wierzę w żadne zabobony. Chciałem tylko powiedzieć, że w pewnych wypadkach...

– Jednak im ulegasz – zaśmiała się Jocelyn. – Niech ciocia sama osądzi – zwróciła się do ciotki Jane – czy to nie jest komiczne? Nasz demon szybkości zwany przez prasę srebrzystym bolidem torów wyścigowych wierzy chyba w kabałę, każe sobie wróżyć z fusów od kawy, spluwa trzykrotnie na widok pająka i chwytą się za guzik, gdy spotka kominiarza...

– Przestańcie się sprzeczać – stanowczo zażądała ciotka. – Nie lubię, jak stale dogryzasz Jamesowi. On, biedaczysko, jest taki bezradny i wcale nie umie się bronić...

Usłyszawszy to James zaczerwienił się jeszcze bardziej i już w ogóle zapomniał języka w gębie.

Panna Stella Webster, sekretarka generała Archibalda, pochyliła się ku wujowi i szepnęła coś cichutko. Wuj chrząknął nagle głośno, odstawił swoją filiżankę i powiedział:

– E, sądzę, że właściwie już czas kończyć naszą herbatkę, pozwolisz, siostra – skłonił głowę w kierunku ciotki Jane – że już wrócimy do mego gabinetu. Mamy jeszcze, e...e.... ze Stellą sporo roboty. Chciałbym zakończyć dziś wreszcie czwarty rozdział.

Wuj Archibald od kilku miesięcy spisywał przy pomocy panny Stelli swoje wspomnienia z kampanii birmańskiej. Dowodził jedną z dywizji, która brała udział w tej kampanii, i od wielu lat powtarzał, że w związku z całkowitą niekompetencją i ignorancją wszystkich tych, którzy dotąd pisali o tym teatrze wojny, zmuszony będzie, gwoli dania świadectwu prawdzie, chwycić za pióro. Nie traktowaliśmy tych zapowiedzi poważnie. Okazało się jednak, że nie docenialiśmy starego wojaka. I oto przed pięcioma miesiącami pojawiła się w Manor Farm panna Stella Webster i ku rozpaczy ciotki Jane zaczęło się prawdziwe piekło.

Generał Archibald Crone okazał się niezwykle pracowitym pamiętnikarzem. Pozornie wydawałoby się, że pisanie pamiętnika, i to w dodatku przy pomocy wykwalifikowanej sekretarki ze znakomitymi referencjami, jest zajęciem absorbującym wyłącznie dla autora. Było jednak inaczej. Ciocia Jane i jej wierna przyjaciółka Piotrusia Barlove wykorzystane zostały jako siły pomocnicze. Obarczano je setkami najrozmaitszych zleceń, najczęściej natury bibliograficznej. Wuj po prostu

wręczał obu paniom po kilka grubych tomów i najspokojniej w świecie zalecał im wyszukanie interesujących go informacji, których najczęściej wcale w owych tomach nie było. Pryśł gdzieś także bez śladu uregulowany tryb życia panujący od lat w Manor Farm, do którego obie starsze panie były bardzo przywiązane.

Wuj Archibald spóźnił się na śniadanie, przestał przebierać się do kolacji, a bywało, budził w środku nocy pokojówkę lub kucharkę domagając się zaparzenia kawy lub herbaty.

Ciotka z westchnieniem spojrzała na wielki ozdobny zegar ustawiony na kominku. Było dopiero dwadzieścia po piątej. O tej porze w Manor Farm od niepamiętnych czasów piło się jeszcze herbatę.

– Oczywiście, Archibaldzie – zauważyła cierpko – jeżeli nudzi cię nasze towarzystwo, nikt, cię tu siłą nie będzie trzymał.

– Wiesz dobrze, Jane – fuknął generał – podnosząc się od stołu – że chodzi o coś zupełnie innego. Wzywają mnie obowiązki. Obowiązki, które sam na siebie nałożyłem i które muszę wypełniać. Chodźmy, Stello.

Panna Stella szybko wstała od stołu. Miała długą końską twarz, okulary i wystające zębiska. Trudno by było określić, ile ma lat. Prawdopodobnie była dużo młodsza, ale można jej było dać i czterdziestkę.

Wyszli z pokoju.

Ciotka Jane wzruszyła ramionami:

– Archibald na starość staje się zupełnie niemożliwy.

Panna Barlove uśmiechnęła się powściągliwie.

– Wszyscy mężczyźni, Jane, są tacy sami – słowo mężczyźni wymawiała w specyficzny sposób, tak jakby miała na myśli nie połowę rodzaju ludzkiego, ale jakąś

szczególnie nieprzyjemną odmianę owadów – nie należy się nimi przejmować.

– Wiem o tym, Piotrusiu. Niemniej czasami trudno mi już z nim wytrzymać – poskarżyła się ciotka – Archibald powinien zdawać sobie sprawę z mojego stanu zdrowia. Wie przecież, że każde zdenerwowanie może mnie zabić.. Doktor Brown zakazał mi jakichkolwiek wzruszeń...

– Ciocia powinna udać się do innego doktora – wtrąciłem się. – Doktor Brown jest tylko zwykłym lekarzem wiejskim i nie ma zbyt dużej praktyki. Ciocia powinna poradzić się jakiegoś kardiologa z Harley Street.

– Masz rację, Haroldzie – zgodziła się skwapliwie Jocelyn – ciocia nie może pozostać bez opieki.. Przecież ten nieprawdopodobny doktor Brown nadaje się tylko do leczenia kataru.

– Moi drodzy – uśmiechnęła się ciotka – jestem już za stara, żeby zmieniać lekarzy. Doktor Brown leczy mnie już od trzydziestu kilku lat i nie zrobię mu tej przykrości, aby przed śmiercią szukać pomocy u kogoś innego. Zresztą mam zaufanie do tego lekarza. Nie zapisuje żadnych zastrzyków ani tych okropnych kolorowych pigułek, tylko solidne lekarstwa w wielkich ciemnych butelkach, które trzeba zażywać trzy razy dziennie i wstrząsnąć przed użyciem...

Chcieliśmy protestować, ale ciotka nie dopuściła nas do głosu:

– Wiem, co mówię, moi kochani. Nic mi już nie mogą pomóc ci nowomodni szarlatani z Harley Street, którzy podłączają da człowieka mnóstwo drutów i pobierają trzy razy dziennie krew do analizy. Pożyję jeszcze trochę, jeżeli oczywiście nie będę się denerwować

albo się czegoś nie przestraszę. Mój ojciec umarł właśnie w taki sposób. Wiatr zatrzęsął mu drzwi za plecami. Hałas był okropny. Ojciec zupełnie nie spodziewał się tego i jego serce nie wytrzymało...

– Ciocia żyje jeszcze sto lat – stwierdziłem stanowczo – musi tylko ciocia na siebie uważać.

– Jesteś miły, Haroldzie – uśmiechnęła się do mnie – zdaje się, że chciałeś ze mną porozmawiać?

– Tak, ciociu – powiedziałem – mam taką małą sprawę do cioci, jeżeli oczywiście znajdzie ciocia odrobinę czasu...

– Ależ oczywiście, kochanie! Zejdę za pół godziny do biblioteki. Czeka tam na mnie.

Ciocia tak zwane poważne rozmowy prowadziła wyłącznie w bibliotece. Tak było od czasów najdawniejszych.

Pogadaliśmy jeszcze kilka minut, herbata została ostatecznie wypita, ciocia zadzwoniła i pojawiła się Kate, by pozbierać filiżanki. Wstaliśmy od stołu. Wyszedłem z pokoju tuż za Jocelyn. Na korytarzu podszedłem do niej i starając się nie okazywać, jak bardzo w rzeczywistości zależy mi na jej zgodzie, zapytałem lekким tonem:

– Halo, Josie, czy nie przespacerowałabyś się ze mną po ogrodzie? Nie teraz oczywiście – dodałem szybko – dopiero przed kolacją, jak już porozmawiam z ciotką...

Uśmiechnęła się przyjaźnie:

– Z przyjemnością, Haroldzie. Ogród ciotki jest taki piękny.

– Wpadnę do ciebie.

Zatrzymałem się przed wejściem do biblioteki.

– Czeka na mnie, Josie – powiedziałem, gdy wchodziła do swego pokoju.

Obrzuciła mnie ciepłym spojrzeniem.

– Oczywiście, że będę czekała.

Zamknęła drzwi za sobą.

Zależało mi na tym, by Jocelyn czekała na mnie. Naprawdę zależało.

Wszedłem do biblioteki. Bałem się trochę, że zastanę w niej wuja Archibalda, ale na szczęście w obszernym pokoju nie było nikogo. Biblioteka była duża i zasobna. Wysokie oszklone szafy pełne były pięknych dziewiętnastowiecznych wydań w skórkowych oprawach. Znajdowały się tu także albumy poświęcone sztuce Indii. Ilekroć przebywałem u ciotki, lubiłem je przeglądać. Tym razem jednak podszedłem do wysokiego regału, jedyne go nie oszklonego w całej bibliotece. Tu na siedmiu półkach spoczywały książki bardziej współczesne. Liczne powieści kryminalne, historie sentymentalne i mnóstwo wydawnictw z zakresu ogrodnictwa. Były wśród nich kolorowe albumy ukazujące piękno roślin, kwiatów i dobrze utrzymanych angielskich ogrodów.

Z grubym tomem poświęconym daliom zapadłem w głęboki fotel przy kominku. Chciałem zapalić papierosa, ale powstrzymałem się. Przeglądałem książkę o daliach i czekałem na ciotkę. Myślałem też o Jocelyn.

Na to spotkanie z ciotką szykowałem się już od dawna. Od kilku miesięcy chciałem złożyć jej wizytę, ale jakoś nie mogłem się zdecydować. Dawniej przyjeżdżałem tu prawie co tydzień. Potem tak się jakoś złożyło, że nie odwiedzałem Manor Farm około pół roku. Kładąc się spać przedwczoraj nie myślałem, że przyjadę tu na weekend. Zdecydowałem się dopiero wczoraj.

I teraz się tu znalazłem, w starym domu tak bardzo pamiętnym z lat dzieciństwa. Znałem tu każdy kąt i

zakamarek. Znałem wszystkich i wszystko. Każdy różany krzew w ogrodzie i dziurę w żywopłocie od strony szosy i każdą półkę w domowej bibliotece.

Jedyną nową osobą, na którą się tu natknąłem, była panna Stella Webster, sekretarka wuja Archibalda. Kiedy byłem tu po raz ostatni, wuj jeszcze nie pisał wspomnień. Panna Barlove na wstępie obrzuciła mnie krzywym spojrzeniem. Nie znosiła mnie już od dawna, a ściślej od czasu, kiedy jako dwunastoletni chłopiec dosypałem jej soli do herbaty. Do dziś dnia nie wiem, w jaki sposób wykryła, że to ja byłem sprawcą tej psoty. Ale wykryła to i na nic zdały się wszelkie zapierania. Panna Barlove odprowadziła mnie wtedy do ciotki Jane, a wuj Archibald złożył mi potem solidnie siedzenie.

Inni przyjęli mnie przyjaźnie. Nawet kuzyn James, który przybył do Manor Farm w ślad za Jocelyn. Od dwóch lat kuzyn James podążał za Jocelyn jak ogon za kometa. Najbardziej ucieszyłem się oczywiście z tego, że Jocelyn nie zawiodła. Nie chciałem do niej dzwonić do pracy w Chelsea, liczyłem jednak, że ją tu zastanę. I nie przeliczyłem się. Od lat przyjeżdża na każdy weekend do Manor Farm z dokładnością dobrze wyregulowanego zegarka. I jak zwykle zajmuje ten sam pokój.

Ciotka zjawiła się po dwudziestu minutach. Pode-rwałem się z fotela, ale usadziła mnie energicznym ruchem ręki.

– Nie wstawaj, Haroldzie. Nie potrzeba. – Usiadła w drugim fotelu.

– O co chodzi, chłopcze – zapytała po chwili – mów śmiało. Nie krępuj się. Możesz mi wszystko powiedzieć. Twoja matka była moją siostrą i wiedz, że ja o tym nie zapomniałam. Czy masz jakieś kłopoty?

Przełknąłem ślinę i nerwowo przetarłem czoło wierzchem dłoni.

– Mam – bąknąłem niewyraźnie – mam kłopoty.

– Może coś na to zaradzimy – uśmiechnęła się zachęcająco i przyjrzała mi się uważnie – możesz się zwierzyć starej ciotce... Ale poczekaj – dodała szybko – napijemy się po kieliszku sherry. Widzisz – zaśmiała się dobroduszenie – lubię sobie od czasu do czasu kropnąć kieliszek, oczywiście w tajemnicy przed doktorem Brownem. Zupełnie tego nie pochwala.

– Ciocia trzyma wino w tym samym schowku co zawsze?

– Widzę, że znasz moje drobne tajemnice?

– Jestem spostrzegawczy, ciociu.

Podniosłem się z fotela i podszedłem do regału. Za wielką encyklopedią ogrodniczą stały schowane dwie butelki. Jedna na poły napełniona sherry i nie rozpieczętowana jeszcze butelka White Horse oraz kilka kieliszków. Napełniłem winem kieliszki i postawiłem je na małym stoliczku koło fotela ciotki.

– No, Haroldzie, nadszedł czas, żebyś mi się zwierzył. Masz jakieś kłopoty w pracy?

Pokręciłem przecząco głową. W naszym laboratorium wszystko szło ustalonym trybem. Lubiono mnie tam i szanowano, prowadzona przeze mnie ostatnio seria doświadczeń zapowiadała się bardzo interesująco.

– Więc pewnie jakieś kłopoty sercowe?

Pomyślałem o dziewczętach, które znałem, i przypomniałem sobie zachęcające spojrzenie Jocelyn. Stanowczo nie miałem kłopotów sercowych.

Bibliotekę wypełniał powoli ciepły sierpniowy zmierzch. Zza otwartego okna, z gęstwiny krzewów

rosnących koło domu dolatywał świergot ptaków szykujących się do snu. Nie było już na co czekać, trzeba było wyznać prawdę. Zaczerwieniłem się mimo woli i powiedziałem:

– Mam, ciociu, poważne kłopoty finansowe.

– Jak zawsze, Haroldzie – roześmiała się ciotka – jesteś naprawdę niepoprawny. Jakiś dług honorowy?

Skinąłem głową z zażenowaniem.

Otworzyła torebkę, którą przyniosła z sobą.

– Czy sto funtów ci wystarczy? – zapytała po prostu.

Przełknąłem ślinę i zaczerwieniłem się jeszcze bardziej.

– To będzie aż nadto, ciociu – i dodałem szybko – niech ciocia traktuje to tylko jako pożyczkę. Zwrócę w przeciągu miesiąca.

Na korytarz wyszedłem z setką funtów w kieszeni. Ciocia Jane pozostała w bibliotece. Na korytarzu panował już półmrok, ale nie zapalałem światła. Zastukałem do drzwi pokoju Jocelyn i zaraz usłyszałem jej głos:

– Wejść, Haroldzie.

Uchyliłem drzwi i stanąłem w progu. Wyglądała ślicznie w popielatym świetle zmierzchu. Musiałem jej o tym powiedzieć.

– Jesteś piekielnie ładna, dziewczyno.

Roześmiała się cichutko.

– Wejść do środka. Siadaj.

Nie miałem ochoty wchodzić do pokoju.

– Obiecałaś mi spacer po ogrodzie.

– Oczywiście, Haroldzie. Boję się tylko, że tam będzie ten nieznośny nudziarz James.

– Damy sobie radę. Uciekniemy mu.

– Nie jestem mocna w uciekaniu – zażartowała – w szkole miałam słabe stopnie z gimnastyki.

– Jakoś to będzie. Nauczę cię biegać.

Wyszliśmy z pokoju. Gdy zamknęła za sobą drzwi, utonęliśmy w mroku.

– Ciemno – powiedziała cichutko.

– Mrok ma swoje uroki – zażartowałem – mogę cię chronić przed potworami.

Objąłem ją delikatnie i przytuliłem do siebie.

– Haroldzie – wyszeptała – bądź poważny – ale nie usiłowała się wyswobodzić. Więc przytuliłem ją mocniej i pocałowałem w usta. To był bardzo długi, prawie filmowy pocałunek. Oderwaliśmy się od siebie lekko zadyszani.

– Chodź, Josie – powiedziałem – pójdziemy do ogrodu.

Nie doszliśmy jednak do ogrodu. Przeszliśmy tylko kilka kroków. Zatrzymał nas straszliwy łoskot dobiegający zza drzwi biblioteki. Stanęliśmy jak wryci.

– Co to? – zapytała po sekundzie Jocelyn i w głosie jej czuć było przestrah.

– Nie wiem, Josie. Coś się stało w bibliotece. Musimy sprawdzić. Tam jest ciotka Jane!

Podbiegliśmy do drzwi biblioteki. Po omacku naciśnąłem klamkę. Weszliśmy do środka. Półmrok wypełniał wysoko sklepiony pokój. Przekręciłem kontakt. Zimne elektryczne światło rozjaśniło wszystkie kąty. Okno do ogrodu było szeroko otwarte. Obok nie oszklonego regału na podłodze, twarzą do góry leżała ciotka Jane. Na podłodze poniewierało się kilkanaście książek. Jedna z nich rozwarta, grzbietem do góry, spoczywała na brzuchu ciotki. Ręce jej były rozrzucone, a w zaciśniętych kurczowo palcach prawej dłoni trzymała jakąś niewielką książeczkę.

– O Boże I – krzyknęła Jocelyn. – O Boże!

Chciała podbiec do ciotki.

Powstrzymałem ją, ściskając silnie za rękę.

– Poczekaj, Josie, ja zobaczę – powiedziałem stanowczo.

Posłuchała. Podeszedłem do ciotki. Przyklęknąłem. Dotknąłem przegubu ręki i poszukałem pulsu. Potem przyłożyłem ucho do jej piersi. Posłuchałem przez chwilę i podniosłem głowę. Spojrzałem na Jocelyn. Wyglądała jak uosobienie przerażenia.

– Stało się nieszczęście, Josie – powiedziałem cicho.

– Czy ona?...

– Tak, Josie, ciotka nie żyje.

– O Boże! Trzeba ją ratować!

– Już na to za późno, kochanie.

Wstałem z klęczek i rozejrzałem się po pokoju.

– Biegnij natychmiast po wuja Archibalda. Niech zadzwoni po doktora Browna. Wuja zawiadom jakoś delikatnie. W jego wieku takie wzruszenia...

Skinęła poważnie głową. Już była opanowana. Pomyślałem z uznaniem, że jest dzielną dziewczyną.

Wybiegła z pokoju. Przez kilka minut pozostałem sam na sam z nieboszczką. Przyjrzałem się uważnie książce, którą ściskała w martwych palcach. Było to tanie kieszonkowe wydanie *Zabójstwa Roberta Acroyda* Agaty Christie. Obejrzałem sobie jeszcze raz pokój i wyszedłem na korytarz.

A potem się zaczęło. Zjawili się wszyscy. Nikogo nie brakowało. Wuj Archibald stracił swą wojskową, sztywną postawę. Jego wspaniałe siwe wąsy opadły bezsilnie i sprawiały bardzo żałosne wrażenie. Ręce wuja trzęsły się konwulsyjnie. James wyglądał na

śmiertelnie przestraszonego. Patrząc na niego trudno było po prostu uwierzyć, że ten młody człowiek jest w rzeczywistości brawurowym kierowcą wyścigowym podejmującym na torze w ciągu ułamków sekund decyzje, od których zależy życie. Pokojówka Kate szlochała głośno i beklowie, a stara kucharka pochlipywała dla odmiany cicho i żałośnie. Jocelyn była opanowana, ale bardzo blada. Zagryzała nerwowo wargi i można się było spodziewać, że lada chwila wybuchnie niepohamowanym płaczem.

Tylko dwie osoby zachowywały spokój. Panna Webster i panna Barlove. Jeżeli chodzi o pannę Webster, nie było się czemu dziwić. Ta wykwalifikowana sekretarka już na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie osoby, którą z równowagi wyprowadzić może dopiero solidne trzęsienie ziemi. Za to postawa panny Barlove napełniła mnie niesmakiem. Nie tak powinna wyglądać jej reakcja na śmierć najserdeczniejszej przyjaciółki, pod której dachem spędziła ponad trzydzieści lat życia. Byстрыm spojrzeniem swoich czarnych oczu lustrowała uważnie sytuację. Jej haczykowaty nos podrygiwał leciutko, jakby węszył coś wokoło. Wcale nie była zdenerwowana, tylko jakby leciutko podniecona niecodzienną sytuacją. Milczała. Wszyscy zresztą milczeli. Słyszać było tylko płacz obu służących.

Pierwszy odezwał się wuj Archibald. Wybąkał niewyraźnie:

– Zupełnie nie rozumiem, jak to się stało...

Panna Barlove obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Jej wąskie usta zadrgały, jakby chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Wtedy odezwała się Jocelyn. Jej głos był cichy i ledwo słyszalny:

– Stało się to, o czym ciocia zawsze mówiła i

przed czym ostrzegał ją doktor Brown... umarła tak jak jej ojciec...

Uważałem za stosowne się wtrącić:

– Oczywiście, musimy poczekać na doktora Browna, ale zdaje się, że Josie ma rację. Ciocia zawsze powtarzała, że przy stanie jej serca nagły wstrząs może się skończyć fatalnie. Ciocia wyciągała książkę z najwyższej półki – wskazałem na kolorowy tomik zaciśnięty w jej dłoni – z jakiegoś powodu książki posypały się na nią... To było tak nagle i niespodziewane...

Panna Barlove obejrzała książkę w rękę ciotki Jane, potem podeszła do regału, wspięła się na palce i usiłowała zajrzeć na najwyższą półkę. Oczywiście to się jej nie udało, bo była za niska. Odwróciła się do nas i powiedziała:

– Zupełnie nie rozumiem, jak to się mogło stać...

Pośpieszyłem z wyjaśnieniami:

– To się czasem zdarza, proszę pani Jeżeli książki na półce ustawione są zbyt ciasno i jeśli gwałtownie wyszarpnjemy jedną z nich, wtedy razem z nią może wypaść kilka sąsiednich.

Panna Barlove obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem:

– To przecież jest oczywiste, młody człowieku, mnie chodzi o coś zupełnie innego.

Nie dowiedziałem się, o co chodzi pannie Barlove, bo biedna Jocelyn, która dotąd trzymała się tak dzielnie, wybuchnęła nagle głośnym płaczem. Podeszedłem do niej, ale pierwsza była panna Webster. Energicznym, opiekuńczym ruchem objęła ją w pól i posadziła na fotelu.

– Uspokój się, kochanie – powiedziała stanowczo.
– Nic to już nie da. – Potem zwróciła się do zapłakanej pokojówki: – Kate, proszę natychmiast przestać się

mazać i przynieść pannie Jocelyn dobrej gorącej herbaty. Nic tak nie uspokaja jak filiżanka dobrej herbaty – to ostatnie stwierdzenie skierowane już było do nas wszystkich.

Byłem zdania, że łyk whisky bardziej by się Jocelyn przydał, ale wolałem nie przeciwstawiać się energicznej pannie Webster. Kate natychmiast przestała ryczeć i pobiegła do kuchni, a i Jocelyn także trochę się uspokoiła. Otarła łzy i przerywanym głosem powiedziała:

– Przepraszam za swoje zachowanie... ale... to było takie okropne... byliśmy z Haroldem właśnie na korytarzu, kilka kroków od biblioteki, kiedy to się stało... to był straszny hałas, jak te książki... pobiegliśmy tam z Haroldem... na początku nic nie widziałam, ale Harold zapalił światło i wtedy... – znowu zaczęła płakać.

Panna Webster pochyliła się nad nią opiekuńczo, wuj Archibald zamruczał coś pod wąsem, a panna Barlove, która przez cały czas kręciła się po bibliotece, zamarła nagle jak pies myśliwski, który zwęszył zwierzynę.

– Ach, więc to było tak – wymamrotała pod nosem. – To przynajmniej wyjaśnia jedną sprawę. Ale – dodała półgłosem – to jest przecież jeszcze dziwniejsze...

Zapamiętałem słowa panny Barlove, ale wtedy nie przywiązywałem do nich jeszcze żadnego znaczenia. Nie doceniałem panny Piotrusi.

Doktor Brown przybył w godzinę później. Mały trzęsący się staruszek w tabaczkowym garniturze i ze staromodną lekarską walizeczką. Jocelyn napojona mnóstwem filiżanek dobrej gorącej herbaty spoczywała w łóżku w swoim pokoju, panna Stella Webster objęła rządy w domu i energicznie poganiała służbę, panna

Barlove i James zniknęli gdzieś, więc tylko ja i wuj Archibald towarzyszyliśmy doktorowi w czasie oględzin zwłok. Nałożył okulary i ukląkł obok ciotki.

– Jak to się stało? – zapytał.

Wyjaśniłem doktorowi okoliczności wypadku.

Podniósł się z klęczek i powiedział:

– Czegoś takiego właśnie się obawiałem. Serce pani Murdoch było w okropnym stanie. Ostrzegałem ją, żeby uważała na siebie, ale to i tak nie mogło potrwać długo. Mógł ją zabić nawet nieznaczny hałas za plecami. Na przykład niespodziewane trzaśnięcie drzwi...

– Tak zdaje się było w wypadku śmierci ojca ciotki.

– Właśnie – ucieszył się lekarz – i jemu też wystawiałem świadectwo zgonu, to było dwadzieścia cztery, nie, chyba dwadzieścia pięć lat temu...

– Historia lubi się powtarzać. Napije się pan czegoś, doktorze?

Doktor nie odmówił. Usiadł przy stoliku, przy którym jeszcze tak niedawno siedziałem z ciotką, i na formularzu wydobytym z czarnej walizeczki zaczął wypisywać świadectwo zgonu. Wyciągnąłem ze schowka w fatalnym regale nie rozpieczętowaną butelkę whisky, otworzyłem ją i nalałem doktorowi szklaneczkę. Wypił i wydawało mi się, że nie obrazi się za następną. Nalałem mu więc powtórnie. Nie obraził się. Nabrał nawet wigoru i jego dłonie przestały drżeć.

Kiedy już sobie poszedł, odprowadziłem wuja Archibalda do jego pokoju, a potem odszukałem pannę Stellę. Komenderowała w kuchni kucharką i pokojówką. Przedstawiłem jej swoje propozycje. Zgodziła się ze mną i natychmiast przejęła inicjatywę. Rozpoczęliśmy od poszukiwań kuzyna Jamesa. Odkryliśmy go w kącie

salonu z butelką ginu i szklaneczką. W dalszym ciągu nie sprawiał wrażenia półboga sportu motorowego.

Panna Webster kazała mu przestać historyzować. Trudno się sprzeczać z panną Webster, więc stulił uszy po sobie i oświadczył, że jest do dyspozycji.

Wspólnie przenieśliśmy nieboszczkę do jej pokoju i ułożyliśmy ją na łóżku. Potem James szybko się zmył, a panna Webster oświadczyła:

– Wszyscy w tym domu potracili głowy. Generał nie nadaje się na razie do niczego, a przecież trzeba zająć się pogrzebem i mnóstwem innych spraw. Sama nie dam rady. Nie może pan wracać do Londynu. Musi pan zostać tu jeszcze kilka dni i trochę mi pomóc.

Zgodziłem się pomóc panie Webster. Przyjęła to jako coś zupełnie oczywistego.

– Pójdę teraz do generała – powiedziała – trzeba się nim zająć, jest naprawdę w złej formie. – Kiedy to mówiła, głos jej zadrgał leciutko. Pomyślałem, że ta kostyczna herod baba lubi jednak swojego pracodawcę.

Poszła sobie, a kiedy zostałem sam, poczułem się nagle strasznie wyczerpany. Prawdę mówiąc jedyne, na co miałem ochotę, to położyć się w wygodnym łóżku i zasnąć. Musiałem jednak jeszcze coś załatwić. Udałem się do gabinetu ciotki. Tam był telefon.

Usiadłem sobie wygodnie i zamówiłem rozmowę z Londynem. Była już bardzo późna pora i połączenie otrzymałem błyskawicznie. Swojego szefa wyciągnąłem już z pościeli. Wyjaśniłem mu sytuację i poprosiłem o tygodniowy urlop. Oczywiście udzielił mi go natychmiast, choć z pewnością nie był zadowolony. Prowadzona przez nas ostatnio seria doświadczeń nie mogła być kontynuowana bez mojej obecności.

Gdy już uporałem się z telefonem, wróciłem do swojego pokoju. Chciałem po drodze odwiedzić Jocelyn, ale dałem spokój. Miałem nadzieję, że jednak usnęła, i nie chciałem jej budzić. Gdy kładłem się do łóżka, wydawało mi się, że zasnę natychmiast, tymczasem nie spałem prawie do świtu.

W niedzielę rano obudziłem się bardzo późno. Zszedłem do jadalni, gdy wszyscy zgromadzili się już przy śniadaniu. Nastrój był ponury. Nikt nic właściwie nie mówił. Jocelyn miała podkrążone, zapłakane oczy, a wuj Archibald mamrotał coś pod nosem. Kuzyn James, w porównaniu do wczorajszego wieczoru, trzymał się nieźle, ale i on nie zdradzał ochoty do konwersacji. Wodził tylko wzrokiem za Jocelyn.

Pierwsza odezwała się panna Webster.

– Pan Harold – oznajmiła – zgodził się pozostać tu kilka dni, aby pomóc nam w przygotowaniu pogrzebu.

– Ja też zostanę, proszę pani – powiedziała Jocelyn – jestem tak rozbita tym wydarzeniem, że nie wyobrażam sobie powrotu do Londynu. Nie wiem wprawdzie, jak wytłumaczyć się w pracy, ale...

– Mnie się też nigdzie nie spieszy – oznajmił James – mogę tu pozostać do pogrzebu.

– I do otwarcia testamentu – stwierdziła sucho panna Barlove – aby się przekonać, czy nieboszczka przypadkiem o panu nie zapomniała.

Spojrzelśmy na nią ze zgorzaniem. Wcale się nie zmieszała.

– Mogę zresztą już teraz zaspokoić waszą ciekawość – w głosie jej zabrzmiały nutki ironii – wasza ciotka mnie uczyniła wykonawczynią testamentu. Kochała bardzo pana generała – tu panna Barlove skłoniła

z szacunkiem głowę w kierunku wuja – ale uważała, że jej brat jest człowiekiem raczej mało praktycznym, i nie chciała mu ściągać na głowę niepotrzebnych kłopotów.

Wuj Archibald poczerwieniał gwałtownie i prawie zakrzuszył się łykany kęsem.

– Niech pani przestanie mówić teraz o takich sprawach, panno Barlove – zaprotestowała gwałtownie Jocelyn – ciocia jest jeszcze nie pochowana, a pani już mówi o pieniądzach. Tak naprawdę nie można...

– Tak uważasz, kochanie? – panna Barlove obrzucała dziewczynę sceptycznym spojrzeniem – bardzo ładnie te o tobie świadczy, ale jednak nie znasz zupełnie natury ludzkiej. Ludzie na ogół nie zapominają o pieniądzach nawet w najtrudniejszych momentach życia. Można bardzo boleć nad czyjąś śmiercią, ale interesować się jednocześnie testamentem. Obie rzeczy wcale się nie wykluczają, prawda, generale?

Zagadnięty tak niespodziewanie wuj Archibald spurpurowiał jeszcze bardziej i wymamrotał coś bez związku. Jocelyn wzruszyła ramionami, James skrzywił się z niesmakiem, ale nie powstrzymało to bynajmniej panny Barlove.

– Mogę więc zaspokoić już teraz naturalną ciekawość państwa. Zresztą nie jest to żadna tajemnica. Jane mówiła o tym wielokrotnie. Przypominam więc tylko. Otóż Jane dom zapisała swojemu bratu, a całą gotówkę i papiery wartościowe poleciła podzielić na pięć równych części. Jedną część otrzymuje pan generał, a pozostałe: panna Jocelyn, pan Harold, pan James i... ja – tu skromnie spuściła oczy i lekko się zarumieniła. – Znałam dobrze stan finansów Jane, więc mogę stwierdzić, że każde z nas otrzyma spadek wartości około dwunastu tysięcy

funtów. Dla zdobycia takiej sumy – wyrecytowała jednym tchem – można popełnić niejedną okropną rzecz. Przynajmniej może się to przydarzyć niektórym ludziom.

Po złożeniu tego zdumiewającego oświadczenia, ściągnęła wargi w nieprzyjemnym grymasie, powstała od stołu i z godnością opuściła jadalnię.

Pierwszy ocknął się generał, szarpnął siwego wąsa i zapytał:

– Co ona, u diabła, miała na myśli?!

– Wydaje się mi, wuju – wybąkał James – że panna Barlove chciała nam dać do zrozumienia, iż ktoś z nas mógł, e... e... spowodować ten wypadek...

– Nonsens! – ryknął generał. – Co za horrendalna bzdura!

– Rzeczywiście nonsens, wuju – powiedziałem powoli – ale ona chyba to właśnie miała na myśli... Będę z nią musiał porozmawiać...

Po skończonym śniadaniu, podczas którego nie komentowano więcej dziwnego wysokoku panny Piotrusi, udałem się na jej poszukiwanie. Ale panna Barlove była nieobecna. Kate powiedziała mi, że starsza pani jak zwykle w niedzielę poszła do kościoła. Trzeba więc było rozmowę odłożyć na później.

Przez kilkanaście minut pokręciłem się po domu, a potem wyszedłem do ogrodu. Ciotka Jane dbała o swój ogród. Dwa razy w tygodniu przychodził tu ogrodnik, a i sama ciotka spędzała w nim niejedną, godzinę na pielieniu, przycinaniu, grabieniu i okopywaniu. Pomagała im w tym dzielnie panna Barlove, a i Kate zaganiana była nieraz także do nadprogramowej roboty.

Wszystkie te wysiłki dały piękne rezultaty, a dalej z Manor Farm zdobywały wielokrotnie pierwsze nagrody

na wystawach kwiatów w Rochester. Szczególnie ładnie przedstawiał się ogród w taki właśnie jak dziś słoneczny sierpniowy poranek. Rosa wprawdzie opadła już z traw i liści, ale rośliny były jeszcze pełne świeżości i nie zwarzone upałem. Pomiędzy nastroszonymi kulami barwnych kwiatów unosiły się pszczoły, których bzykot wypełniał powietrze. Prześwitujące przez liście słońce tworzyło świetlistą mozaikę na starannie wygracowanych ścieżkach. Na końcu jednej z nich, na niewielkiej ławeczce ustawionej tuż przy najpiękniejszym klombie z daliami, siedziała Jocelyn i czytała książkę. Ubrana w białą prostą sukienkę, oblana słonecznym blaskiem, który tworzył wokół jej złotych włosów delikatną rozmytą mgiełkę, wyglądała ślicznie, jak postać przeniesiona tu żywcem z obrazu francuskiego impresjonisty. Zatrzymałem się i przez chwilę kontemplowałem uroczy widok. Potem zdecydowałem się.

– Halo, Josie! – zawołałem. – Można się przysiąść?

Odwróciła ku mnie swą smutną, wymizerowaną twarz i uśmiechnęła się blado.

– Oczywiście, Haroldzie, proszę cię, siadaj.

Usiadłem i pomilczałem przez chwilę. Patrzyła na mnie z zainteresowaniem i wyraźnie czekała, abym rozpoczął rozmowę. Zdecydowałem się.

– Wiesz, Josie, dawno już chciałem z tobą porozmawiać poważnie...

Jej oczy nie zmieniły wyrazu.

– Tak się złożyło, że nie widzieliśmy się od kilku miesięcy. Wiele przez Len czas o tobie myślałem. Przemyslałem wszystko. Chciałem ci to powiedzieć już wczoraj wieczorem, ale śmierć ciotki wszystko popsowała...

Nic nie odpowiedziała, więc brnąłem dalej.

– Zdaje, sobie sprawę, że po wczorajszym przeżyciu nie masz zapewne głowy do wysłuchiwania moich zwierzeń, ale jednak zaryzykuję. Po prostu chciałem ci zadać jedno pytanie...

– Słucham, Haroldzie – powiedziała cichutko i to mnie ośmieliło.

Wypaliłem:

– Czy nie chciałabyś zostać moją żoną?

Nic nie odpowiedziała. Słyszałem tylko bzyczenie pszczoł. Nie patrzyłem na nią, tylko na jakiegoś śmiesznego żuczka toczącego przed sobą po zwirowanej ścieżce maleńką czarną kulkę.

– Wiem – powiedziałem po chwili – że jestem bardzo nietaktowny, że powinienem poczekać z tymi oświadczeniami do stosowniejszej chwili, a nie wrywać się z nimi wtedy, kiedy jesteś taka zdenerwowana. Powinienem zjawić się z jakimiś kwiatkami, z pierścieniem... – zająknąłem się. – E, do diabła! Wygłupiłem się, dziewczyno! Zrobiłem z siebie idiotę!

– Nie, Haroldzie, wcale tak nie myślę. Bardzo się cieszę. Oczywiście, że chcę zostać twoją żoną...

Teraz dopiero odwróciłem się do niej. Uśmiechnęła się tym swoim niepowtarzalnym uśmiechem, który mi się tak zawsze podobał. Przygarnąłem ją do siebie i zaciąłem mówić. Opowiadałem o życiu, jakie jej stworzę, opowiadałem o sobie, o tym, że czeka mnie naukowa kariera, że jestem w przededniu ważnego odkrycia z dziedziny ekologii, że musi natychmiast rzucić swoją paskudną pracę w salonie kosmetycznym w Chelsea i że życie nasze będzie odtąd nieprzerwanym pasmem wydarzeń szczęśliwych i radosnych. Ona mówiła niewiele, ale widać było, że słucha uważnie i z przyjemnością.

Kilka razy nawet uśmiechnęła się, gdy snułem projekty podróży poślubnej.

Rozmawialiśmy tak około dwóch godzin i z przyjemnością stwierdziłem, że straciła wygląd przybitej nieszczęściem dziewczynki. Potem na ścieżce pojawił się James. Dojrzał nas i od razu skierował się w naszą stronę. Zauważył, że trzymam w dłoniach rękę dziewczyny, i wyraźnie mu się to nie spodobało.

– Haroldzie – zdążyła szepnąć – nie mówmy mu na razie o niczym. Opowiemy o naszych zaręczynach dopiero po pogrzebie ciotki.

Skinąłem głową ze zrozumieniem i puściłem jej rękę.

James, choć nie zaproszony, przysiadł się do nas i dość niezdarne próbował bawić nas rozmową. Odpowiadaliśmy monosylabami, a potem siłą rzeczy rozmowa zesłała na wczorajsze tragiczne wydarzenia i na poranne nieoczekiwane wystąpienie panny Barlove.

– Zupełnie nie mogę zrozumieć, o co tej wiedźmie chodzi – skarżył się James – czyżby naprawdę przypuszczała, że ktoś z nas?... I ostatecznie w jaki sposób mógłby uśmiercić ciotkę? Przestraszył ją czy co?

– Nikt jej nie mógł przestraszyć! – zaprotestowała energicznie Jocelyn. – Ciocia była w bibliotece sama. Razem z Haroldem, słyszeliśmy, jak spadły te przeklęte książki. Weszliśmy tam po kilkunastu sekundach...

– I ja też słyszałem ten hałas – powiedział James – byłem akurat w ogrodzie koło domu. Okno do biblioteki było szeroko otwarte. Usłyszałem piekielny łomot i właśnie zastanawiałem się, co to mogło być takiego, gdy w bibliotece zapaliło się światło i usłyszałem jakieś głosy.

– To byliśmy my – wyjaśniłem i przyjrzałem mu się, uważnie. – A co zrobiłeś potem?

– Poszedłem do drzwi wejściowych. W kilka minut później, już w domu, spotkałem na korytarzu wuja Archibalda i Jocelyn. Powiedzieli mi, co się stało.

Obrzuciłem Jamesa uważnym spojrzeniem.

– Czy opowiadałeś o tym panie Barlove?

– Tak. Jeszcze wczoraj wypytywała mnie o wszystko. Ta wścibska jędra nie może uspokoić się nawet w obliczu nieszczęścia. Roznosi ją ciekawość.

– Jednym słowem – powiedziałem – przyznałeś się panie Barlove, że w chwili wypadku znajdowałeś się pod otwartym oknem biblioteki. Ono sięga samej podłogi i od strony ogrodu umieszczone jest jakieś półtora jarda nad ziemią. Jako dziecko lubiłem wychodzić tamtędy do ogrodu...

– Haroldzie! Nie uważasz chyba, że James... – zawołała z oburzeniem Jocelyn.

Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami:

– Oczywiście, że nie uważam. Obawiam się jednak, że panna Barlove na to właśnie zwróciła uwagę. Wiesz doskonale, że ona skłonna jest podejrzewać zawsze ludzi o najgorsze. Taką ma już okropną wyobraźnię...

James poczerwieniał i zmełł w ustach jakieś przekleństwo. Potem powiedział:

– Właściwie i ja odniosłem wrażenie, że ta piekielna starucha o coś mnie podejrzewa. Już od rana chciałem się z nią rozmówić, ale przepadła jak kamień w wodzie.

– Poszła do kościoła.

– Do kościoła jest stąd tylko pół mili. Powinna była wrócić już z dobrą godzinę temu. Nie mogę się jej doczekać.

– Pewnie wstąpiła na ploteczki do żony pastora. Musisz przyznać, że ma dziś o czym opowiadać...

Porozmawialiśmy jeszcze kilka minut, a potem Jocelyn wstała i zaproponowała, byśmy wrócili do domu.

W progu powitał nas wuj Archibald. Generał wyraźnie wrócił do formy i przeżywał właśnie jeden ze swoich regularnych ataków wściekłości, które w dawnych czasach musiały być postrachem jego podwładnych. Purpurowy na twarzy miotał się po hallu i ryczał groźnie do wystraszonej Kate, która stała w kącie ze ściereczką do wycierania kurzu w rękę. W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, o co chodzi generałowi.

Zobaczył nas i zaniechawszy wymyślania Kate, natarł natychmiast na Jamesa.

– No proszę! – zagrzmiał. – Od razu domyśliłem się, że to ty! Prosiłem cię tyle razy – nie rób tego!

James szeroko otworzył oczy i usta i widać było, że jest całkowicie zaskoczony.

– Nie rozumiem, wuju – wybelkotał. – Nie mam pojęcia, o co wujowi chodzi!

– Nie wypieraj się! Na nic się nie zda wypieranie! Prosiłem cię tyle razy, żebyś nie robił tego bez mojego pozwolenia! Ostatecznie, do stu tysięcy diabłów, jestem u siebie w domu i mogę się domagać, żeby szanowano moje przyzwyczajenia! Nienawidzę, jeżeli ktoś rusza moje rzeczy!

– Ależ wuju – gorąco zaprotestował James – niczego wujowi nie ruszałem!

Generał obrzucił go nienawistnym spojrzeniem.

– Nie wypieraj się! Jesteś jedyną osobą w tym domu, poza mną oczywiście, która łowi ryby! Tylko ty mogłeś grzebać w moim sprzęcie wędkarskim! Ktoś

ruszał moje wędki! Nic nie leży na swoim miejscu! Jeżeli chcesz pożyczyć, poproś, na pewno nie odmówię! Ale wara od mojej szafy! Nic teraz nie mogę znaleźć! Kto ci pozwolił grzebać w moich rzeczach?!

James gorączkowo protestował, wuj wrzeszczał jeszcze głośniejsze, spłoszona Kate uciekła do kuchni i nie wiadomo, jak by się ta awantura skończyła, gdyby nie nagłe pojawienie się panny Webster. Podeszła do wuja i powiedziała cicho, ale stanowczo:

– Panie generale. Nie warto tak się denerwować. Po prostu szkoda zdrowia.

Pomyślałem sobie, że za chwilę pannie Webster nieźle się oberwie, ale nic takiego nie nastąpiło. Generał zamilkł w połowie zdania, obrzucił nas wszystkich trochę nieprzytomnym spojrzeniem, a potem rzekł już zupełnie innym, spokojnym tonem:

– Hm, tak uważasz, Stello? Pewnie masz rację. Chciałem tylko zwrócić uwagę temu młodemu człowiekowi – tu na chwileczkę w oczach wuja zapaliły się znowu groźne błyski – że najprymitywniejsze nawet zasady dobrego wychowania nakazują, aby przed pożyczaniem czegokolwiek zapytać jednak właściciela o pozwolenie.

James chciał znowu zaprotestować i coś wyjaśnić, ale panna Webster spojrzała na niego w taki sposób, że natychmiast z tego zrezygnował.

– Pan pozwoli, generale – oświadczyła – chciałam z panem pewne sprawy wyjaśnić. W przypisach do rozdziału trzeciego zauważyłam niekonsekwencje, chodzi mi o zastosowanie zasłon dymnych w trakcie drugiej operacji ranguńskiej, więc jeżeli pan generał ma chwilę czasu...

– Ależ oczywiście, dziecko – ucieszył się wuj – w tej chwili ci służę, już idziemy do gabinetu.

I poszli.

– Nie uważasz, Jocelyn, że panna Stella jest wspa-
niała? - zapytała panna Barlove i dopiero teraz uświa-
domiłem sobie, że od jakiegoś czasu stoi w progu i z
wielkim zainteresowaniem obserwuje rozgrywające się
wypadki. – Jaki ona ma cudowny wpływ na pana gene-
rała! – unosiła się dalej, ale w tonie jej było coś nie-
szczęrego. – Biedna Jane! Nigdy nie mogła poszczycić
się takimi rezultatami.

Panna Barlove w swojej czarnej odświętnej sukni i
wielkim przedpotopowym kapeluszu z woalką wygląda-
ła jak czarne nastroszone ptaszysko.

James wielce skonfundowany napaścią generała zu-
pełnie zapomniał, że miał zamiar domagać się od panny
Barlove wyjaśnień, i ulotnił się mamrocząc coś pod
nosem. Ale ja pamiętałem. Uśmiechnąłem się więc do
niej jak najprzyjemniej umiałem.

– Chciałbym z panią zamienić kilka słów, panno
Barlove!

– Oh, czyżby? – odpowiedziała sztywno i jej czar-
ne oczy przewierciły mnie na wskroś tak, że poczułem
się dziwnie nieprzyjemnie.

– Szukałem pani już raz po śniadaniu – kontynu-
owałem niespieszony. – Sądzę, że pewne sprawy trzeba
jednak wyjaśnić.

– I ja tak sądzą, proszę pana. Cieszę się, że jeste-
śmy jednego zdania – powiedziała chłodno, odwróciła
się i zniknęła w drzwiach swojego pokoju.

Popatrzyłem bezradnie na Jocelyn.

– Trudno dogadać się z panną Piotrusią.

– O, tylko ciocia Jane umiała sobie dawać z nią radę – uśmiechnęła się dziewczyna – taka ona już jest. Gdybym została starą panną, być może za kilkanaście lat byłabym do niej podobna.

– Nie zostaniesz starą panną – oświadczyłem z przekonaniem i pocałowałem ją.

Nie jestem pewny, czy drzwi do pokoju panny Barlove nie były leciutko uchylone i nie lustrowało nas zza nich uważne spojrzenie starszej pani. Nic mnie to jednak nie obchodziło.

Po południu podjąłem nową próbę porozmawiania z panną Barlove. Przydybałem ją w salonie. Siedziała przy stole i rozkładała pasjansa.

– Nie wychodzi? – zapytałem.

– Wręcz przeciwnie, proszę pana – odrzekła sztywno – wszystko się pięknie zgadza. Nie chce mi zejść tylko ten as, ale niedługo i on zejdzie.

Usiadłem koło niej.

– Czy można zapalić?

Wzruszyła ramionami.

– Mężczyźni zawsze palą, gdy mają na to ochotę.

Odpowiedź była dość wymijająca, ale uznałem ją za przyzwolenie.

– Chciałem się o coś pani zapytać, panno Barlove.

Nie oderwała oczu od kart.

– Co właściwie pani miała na myśli dziś rano przy śniadaniu?

– To właśnie, co powiedziałam.

– Ale konkretnie?

– A czy mógłby pan odpowiedzieć na moje pytanie?

– Oczywiście, panno Barlove.

– Był pan ostatnią osobą, która widziała Jane żywą.

Przynajmniej tak to się wydaje – to ostatnie zdanie powiedziała wyraźnie i z ironią. – Czy mógłby mi pan powiedzieć, o czym rozmawialiście?

– Bardzo chętnie, panno Barlove. Po prostu zwi-rzałem się cioci ze swoich kłopotów.

– Pożyczyła panu pieniądze?

Nie miałem powodu tego ukrywać.

– Tak, proszę pani. Sto funtów. Ciocia Jane bardzo mnie lubiła. Naprawdę jest mi niewymownie przykro, że umarła. Biedna ciocia Jane, była właściwie najbliższą mi osobą. Pani wie, że matki nie pamiętam...

– Biedna Jane – powiedziała panna Barlove składając karty i unosząc się z krzeselka – była dla mnie także najbliższą osobą na świecie. I dlatego nie możemy dopuścić, by ktoś, kto przyczynił się do jej śmierci, uniknął kary. Mogę pana zapewnić, że ze swej strony podejmę wszelkie niezbędne środki.

Popatrzyłem na nią ze zdumieniem i chciałem poprosić o jakieś bliższe wyjaśnienia, ale było już za późno. Majestatycznie wy płynęła z salonu ściskając w rękę talię kart. Zostałem sam.

W poniedziałek rano panna Webster pokazała, co potrafi. Moja pomoc okazała się całkowicie zbędna. Sama świetnie dawała sobie radę. W domu pojawił się przedsięwzięcie pogrzebowe i kierowana przez niego ekipa.

Około południa zwłoki ciotki zabrano do kościoła, a panna Webster oznajmiła nam, że pogrzeb odbędzie się w środę o godzinie dwunastej. Zaofiarowałem się, że mogę spróbować zawiadomić depe szami bliższych i dalszych znajomych cioci. Panna Webster przyjrzała mi się z pewnym zdziwieniem i wyjaśniła:

– Już to załatwiłam, proszę pana. Oczywiście, jeżeli

chce pan sprawdzić, czy zawiadomiłam wszystkich, to służę listą...

Nie chciałem sprawdzać. Miałem pełne zaufanie do kompetencji panny Stelli. Przez cały dzień snułem się po domu i ogrodzie. Poczytałem trochę w bibliotece, a przede wszystkim spędziłem kilka godzin w towarzystwie Jocelyn. James usiłował natrętnie nam towarzyszyć, wuj Archibald zabrał kilka wędek i poszedł na ryby, a panna Barlove znowu się gdzieś zawieruszyła. Nie było jej nawet przy śniadaniu. Dostrzegłem ją dopiero późnym popołudniem, jak wracała od strony wsi.

Jocelyn, która była wtedy razem ze mną, zagadnęła ją przyjaźnie:

– Wraca pani ze spaceru, panno Piotrusiu?

Tym razem panna Barlove okazała się nad podziw rozmowna. Wyjaśniła Josie, że cierpi na bezsenność i musiała się udać do doktora Browna, aby przepisał jej coś na sen.

– Od czasu śmierci biednej Jane właściwie nie mogłam usnąć – wyznała. Mam nadzieję, że dzisiaj nareszcie się wyśpię. Doktor Brown przepisał mi bardzo mocny środek nasenny. Mam zażyć na godzinę przed snem jedną pigułkę. Zażyję trzy. Ci lekarze są zawsze zbyt ostrożni w dawkowaniu. Już moja mama nauczyła mnie, że nie należy zbyt wierzyc lekarzom. Zawsze, jeżeli lekarz każe mi zażyć łyżkę jakiejś mikstury po jedzeniu, wypijam dwie albo nawet trzy łyżki. I dobrze na tym wychodzę.

– Ze środkami nasennymi trzeba być bardzo ostrożnym, panno Barlove – wtrąciłem się do rozmowy – przedawkowanie może okazać się niebezpieczne.

Popatrzyła na mnie niechętnie, jak na zdechłego kalucha.

– Może być pan pewny, że wiem, co robię. Mam mocny organizm i lekarstwa działają na mnie bardzo słabo. Zawsze muszę zwiększać dawki, żeby poskutkowało.

– Jak pani uważa, panno Barlove, w każdym razie ostrzegałem panią.

– Dziękuję za fatygę – mruknęła zgryźliwie i skierowała się do swojego pokoju.

– Panna Piotrusia nie przepada za tobą – z rozbarwieniem stwierdziła Jocelyn, gdy już za panną Barlove zamknęły się drzwi. – Dlaczego właściwie nie mówi ci po imieniu. Zna cię przecież od dziecka?

– O, to bardzo proste – wyjaśniłem – dawniej mówiła do mnie po imieniu, ale nigdy mnie nie lubiła. Skorzastała z pierwszej okazji, by przejść na pan. Stało się to w dniu, kiedy przyjechałem do ciotki ze świadectwem ukończenia szkoły średniej. Prosiłem pannę Barlove, żeby było tak jak dawniej, ciocia Jane także prosiła o to samo, ale nic nie pomogło. Od tego dnia zostałem już dla niej panem Haroldem. Po prostu nie przypadłem jej do gustu.

– Jesteś więc w innej sytuacji niż ja – roześmiała się Jocelyn – mnie jeszcze dziś rano zapewniała o swoich uczuciach...

– Dziś rano?

– Tak. Podeszła do mnie, gdy wychodziłam z łazienki. Zadawała mi mnóstwo pytań. A na zakończenie powiedziała coś bardzo dziwnego... – Twarz Jocelyn nagle zasępiła się. – Nie mogę zrozumieć, co miała na myśli...

– A co konkretnie powiedziała?

– To było mniej więcej tak: „Bardzo cię lubię, Josie,

niej zobowiązana. Prawda musi być ujawniona...” Co ona mogła mieć na myśli, Haroldzie? Prawdę mówiąc przyglądała mi się bardzo dziwnie. Czy... czy ona mnie o coś podejrzewa? Jestem niespokojna, Haroldzie...

– Bzdura, Josie! Nie przejmuj się panną Barlove. Ubrdała sobie, że ciotkę ktoś celowo przestraszył. Wydaje mi się to mocno nieprawdopodobne, gdyby jednak nawet tak było, na ciebie nie może paść ani cień podejrzenia! Byłaś przecież ze mną na korytarzu, kiedy spały te książki...

– Więc dlaczego ona mi to powiedziała? – zapytała bezradnie. – Co właściwie miała na myśli? Haroldzie, naprawdę jestem przestraszona. Będziesz mnie bronił?

W sposób możliwie namacalny przekonałem ją, że będę ją bronił teraz i zawsze w przyszłości. Uspokoila się, ale ja nie byłem spokojny. Bujna wyobraźnia panny Barlove mogła przyczynić wielu kłopotów spadkobiercom cioci Jane. Postanowiłem, że trzeba temu położyć kres. Obiecałem sobie, że porozmawiam z nią wreszcie wyczerpująco, choćby nie wiem jak tego usiłowała uniknąć.

Ale panna Barlove wcale tym razem nie próbowała wymigać się od rozmowy. Po kolacji sama podeszła do mnie na korytarzu i półgłosem powiedziała wpatrując się gdzieś w ścianę za moimi plecami:

- Wyraził pan kiedyś chęć, abym panu powróżyła.
- Wiele razy prosiłem o to panią, panno Barlove.
- W takim razie, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, proszę wpaść do mego pokoju za jakąś godzinkę.
- Z przyjemnością, panno Piotrusiu.
- I dobrze by było – dodała z naciskiem – gdyby

raczej nikt nie wiedział o pańskiej wizycie. Po co robić niepotrzebne plotki.

Zarumieniała się i pomyślałem z rozbawieniem, że gośczenie w swoim pokoju młodego mężczyzny będzie dla panny Barlove naprawdę niecodziennym przeżyciem.

W godzinę później zapukałem do jej drzwi.

Poprosiła mnie do środka. Wszedłem, usiadłem na wskazanym krześle i ciekawie rozejrzałem się dookoła. Od wielu, bardzo wielu lat nie byłem w tym pokoju. Stwierdziłem jednak, że nic się w nim nie zmieniło od czasów mojego dzieciństwa. W wazonach było dużo kwiatów. Łóżko było starannie zasłane, a wszędzie, na wszystkich sprzętach aż się roiło od włóczkowych serwetek robionych szydełkiem. Panna Barlove była mistrzynią szydełkowania.

Część pokoju zasłonięta była zielonym chińskim parawanem. Zawsze w dzieciństwie kusiło mnie, żeby zajrzeć za ten parawan. Nigdy nie miałem na to dość odwagi. Podejrzewałem tylko, że tam właśnie znajduje się gotownia panny Barlove, jakaś toaletka z lustrem czy coś w tym rodzaju. Być może była tam tylko rupiecarnia, składnica pudeł i pudełek, w których starsza pani przechowywała swe tajemnicze skarby.

Panna Barlove siedziała przy małym stoliku nakrytym włóczkową serwetą. Na stoliczku stał wazon z różami, flakonik z jakimiś pigułkami i szklanka z ciemnym płynem nakryta spodeczkiem. Wiedziałem, co się w niej znajduje. Od niepamiętnych czasów panna Barlove piła się ziółkami. Kompozycja naparu była jej wielką tajemnicą. Codziennie po kolacji wydzielala kucharce odpowiednią porcję zeschłego ziela. Kucharka parzyła je, a pokojówka zanosila szklankę z naparem do

pokoju panny Barlove. Gdy już ziółka wystygły, panna Piotrusia wypijała je przed samym snem.

Oczywiście, nie było mowy o żadnym wrózeniu.

– Dobrze, że pan przyszedł, proszę pana – powiedziała – doszłam właśnie do wniosku, że nadszedł już czas, żeby z panem się naradzić.

– Nie wiem, czemu zawdzięczam takie wyróżnienie – bąknąłem cicho.

– O, to proste – uśmiechnęła się – jest pan po prostu najinteligentniejszym człowiekiem, jaki w tej chwili znajduje się w tym domu...

– Czuję się zaszczycony, panno Barlove. Zawsze myślałem, że pani niezbyt mnie lubi.

– To nie ma nic z tym wspólnego, proszę pana – stwierdziła sucho – sprawa jest zbyt poważna, żeby kierować się tu sympatiami czy antypatiami. Jane umarła i mają ją pochować we środę, a tymczasem człowiek, który ją zabił, bezkarnie chodzi po świecie i śmieje się z nas w kułak. Nie można do tego dopuścić. Czy zechce mi pan pomóc? – przyjrzała mi się bystro.

– Oczywiście, panno Piotrusiu – powiedziałem powoli. – Może pani na mnie liczyć. Czy jednak pani naprawdę sądzi, że ciotka została zamordowana, że ściślej mówiąc – ktoś przyspieszył jej zgon?

– A pan jest innego zdania?

Bezradnie rozłożyłem ręce.

– Nie mam żadnych racjonalnych podstaw, by podejrzewać coś złego... A zresztą kto by to mógł zrobić? Dlaczego?

– Już wczoraj przy śniadaniu powiedziałam, że dwanaście tysięcy funtów jest zupełnie wystarczającym

motywem do popełnienia wielu okropności. Przynajmniej dla wielu, bardzo wielu ludzi...

– I pani, panno Barlove, poważnie sądzi, że to mógł być ktoś z nas? Wuj Archibald? James? Ja?

– Zapomniał pan o Jocelyn i pannie Webster – powiedziała panna Barlove – no i oczywiście o mnie. Ale ja rzeczywiście nie wchodzę w rachubę. Po prostu wiem, że tego nie zrobiłam.

– Jocelyn?! Panna Webster?! Przecież to jest nonsens! Jocelyn nigdy by tego nie zrobiła, zresztą była ze mną w chwili, gdy to się stało, a panna Webster? Cóż, u diabła, mogła skorzystać na śmierci ciotki panna Webster? Przecież nic nie dziedziczy!

– Myślałam, że jest pan inteligentniejszy, panie Haroldzie – cierpko oznajmiła panna Piotrusia. – Niech pan tylko spróbuje pomyśleć, no, choć troszeczkę! Przecież panna Webster miała bardzo wyraźny i ważny powód, żeby pozbyć się biednej Jane. Widać to przecież jak na dłoni...

Wybałuszyłem ze zdumienia oczy. Musiałem wyglądać niezbyt inteligentnie. W żaden sposób nie mogłem pojąć, o co chodzi pannie Barlove.

Popatrzyła na mnie z wyraźną pogardą.

– Nie jest pan jednak spostrzegawczy, panie Haroldzie. Zawsze wyobrażałam sobie, że naukowcy umiejcą wyciągać prawidłowe wnioski z oczywistych faktów.

Czułem się zmiażdżony. W dalszym ciągu nic nie rozumiałem.

– No! Niech pan chwilę pomyśli! – wykrzyknęła niecierpliwie. – Przecież gdyby Jane żyła, nigdy nie dopuściłaby do jej małżeństwa z generałem. Generał

jest bardzo niezależnym i energicznym mężczyzną, liczył się jednak ze zdaniem siostry.

O mały włos nie zleciałem z krzeselka. Potem wybuchnąłem śmiechem, którego w żaden sposób nie mogłem powstrzymać.

Popatrzyła na mnie z nie ukrywaną ironią.

– Wy, mężczyźni, naprawdę jesteście wszyscy jednakowi. Nie macie wyobraźni.

Przestałem się śmiać.

– Czy pani rzeczywiście wierzy, że panna Stella chce wyjść za wuja?

– Ależ to jest oczywiste, młody człowieku! Czy pan naprawdę nie ma oczu? Panna Webster omotała generała wokół swojego małego palca. W tej chwili jest jedyną osobą, z którą pan Archibald się liczy. Stała się dla niego niezbędna. Gdy pewnego dnia panna Webster będzie chciała stąd odejść, pan generał poprosi ją o rękę. Może zresztą zrobi to i bez takiego delikatnego nacisku. Dotąd po prostu krępował się siostry. Zresztą – dodała – panna Webster już właściwie objęła rządy w tym domu, czy pan tego nie zauważył?

Przypomniałem sobie to i owo i nagle zdałem sobie sprawę, że to, o czym mówi panna Barlove, wcale a wcale nie jest takie bezsensowne.

Zmarszczyłem brwi:

– Być może ma pani rację, panno Piotrusiu. Ale z faktu, że panna Webster pragnie wydać się za starego generała, nie wynika wcale, że przestraszyła na śmierć ciocię Jane.

– A czy ja coś takiego powiedziałam? – zdziwiła się panna Barlove i jej wąskie brwi powędrowały wysoko, wysoko w górę. – Mówiłam tylko, że panna Webster

miała wystarczające powody, aby usunąć Jane. Jeśli zważymy jeszcze, że generał dziedziczył ten dom i dwanaście tysięcy funtów... To przecież bardzo miły dodatek do najwyższej nawet emerytury, jaką za kilka lat wypłacano by wdowie po generale...

Nie spierałem się z panną Barlove. Logika jej rozumowania była nienaganna.

– Oczywiście – powiedziała po chwili milczenia – motyw dla usunięcia Jane miał także i pan generał...

– Panno Piotrusiu! – jęknąłem przerażony. – O czym pani mówi, przecież to jej brat!

W oczach panny Barlove zapaliły się niebezpieczne błyski:

– Nie czyta pan Biblii, panie Haroldzie? Przecież Kain też był bratem tego nieszczęsnego Abla...

Pocciwy, wiecznie naburmuszony wuj Archibald wydał mi się w roli Kaina postacią niezmiernie groteskową. Znowu wybuchnąłem śmiechem.

– Chyba nie przypuszcza pani, że wuj Archibald uśmiercił swoją siostrę, żeby odziedziczyć Manor Farm, która w praktyce i tak była jego domem, i zagarnąć dwanaście tysięcy funtów w akcjach i w gotówce?

– Oczywiście, że nie dlatego! – zniecierpliwiła się panna Barlove. – Generał nie jest tego rodzaju człowiekiem, ale umysły nawet najwybitniejszych ludzi zdradzają czasem w starości najrozmaitsze aberracje... Przypuśćmy, że generał cierpiał na coś w tym rodzaju. Jakieś natrętne myśli, idee... Na przykład mógł wyobrazić sobie, że Jane więzi go w tym domu, że narzuca mu swoją wolę albo że nigdy nie dopuści, aby poślubił pannę Webster... W tym ostatnim przypadku niedaleki byłby zresztą od prawdy. Zupełnie niedawno Jane, która

nie była ślepa, mówiła mi, że bardzo jej się nie podoba, iż panna Stella w takim stopniu uzależniła generała od siebie... I w dodatku proszę pamiętać, że pan Archibald ma trochę inny stosunek do śmierci niż przeciętny człowiek. Jest żołnierzem. Brał udział w dwóch wielkich wojnach. Zabijał i wysyłał innych na pewną śmierć. Mogę pana zapewnić, że nie odczuwa z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia... – przerwała i popatrzyła mi w oczy.

– To jest jednak zupełnie coś innego, proszę pani – powiedziałem nieprzekonany – zabijanie na wojnie to nie to samo co zabójstwo siostry. Zresztą generał bardzo ciężko przeżył śmierć cioci. Był zupełnie załamany. Widzieliśmy to wszyscy.

– Tak, widzieliśmy – sucho stwierdziła panna Bariove – widzieliśmy wszyscy, jak w kilkanaście godzin po śmierci siostry wybierał się na ryby i zrobił okropną awanturę Kate i panu Jamesowi za to, że ktoś ośmielił się ruszać jego wędki...

– Jest pani straszną kobietą, panno Barlove – żartowałem – dostrzega pani wszystko i podejrzewa wszystkich o najgorsze...

– I niestety bardzo często mam rację – uśmiechnęła się kwaśno – po prostu znam trochę ludzką naturę i czytam Biblię. To bardzo mądra książka, proszę pana. Można się z niej wiele dowiedzieć o ludzkich ułomnościach i grzechach. Wszyscy jesteśmy bardzo grzeszni.

Nie miałem ochoty podejmować dyskusji teologicznej. Interesowało mnie coś zupełnie innego, więc pomijając milczeniem jej ostatnią wypowiedź rzekłem:

– Mamy już więc dwóch podejrzanych. Teraz chyba kolej na Jamesa. Jeżeli przyjąć, co w dalszym ciągu wydaje mi się bardzo problematyczne, że ciocię ktoś

uśmiercił, to właśnie on miał największe możliwości. Sam mówił, że przebywał w ogrodzie w czasie, kiedy to się stało... Gdy z Jocelyn wpadliśmy do biblioteki, okno było otwarte, wystarczyło kilka sekund, żeby wyskoczyć przez nie do ogrodu...

– I zgasić przedtem światło – wtrąciła panna Barlove.

Nie zrozumiałem, o co chodzi.

– Jakie znowu światło?

– No, po prostu, światło w bibliotece – odrzekła niecierpliwie, przecież sam pan powiedział, że w chwili gdy z Jocelyn tam wbiegliście, światło było zgaszone. A przecież to nie miało zupełnie sensu...

– Nie miało sensu? – zapytałem bezradnie. – Co nie miało sensu?

– Cała sytuacja. Nie rozumie pan? Czy wyobraża pan sobie, że Jane wyciągała książki z półki zupełnie po ciemku? Przecież wtedy już się porządnie zmierzchało. Okna biblioteki wychodzą na wschód. O tej porze panuje tam zupełny mrok. Jeżeli Jane chciała wydostać jakąś książkę z górnej półki, musiała przedtem zapalić światło. A jednak gdy tam weszliście, światło było zgaszone. Ktoś je przecież musiał zgasić.

Zamurowało mnie. Nie pomyślałem o świetle. Zupełnie nie zwróciłem uwagi na ten szczegół.

– I dlatego... dlatego pomyślała pani, że coś tu jest nie w porządku?

– Oczywiście, przecież to się rzucało w oczy.

Teraz nie miałem już ochoty na żarty. Zniżając głos zapytałem:

– I myśli pani, że to James?

– Zbyt pośpiesznie wysuwa pan wnioski, panie

Haroldzie. Pan James miał oczywiście możliwości, by to zrobić. Miał też motyw. Jest ryzykantem. Kilka razy w miesiącu ryzykuje życiem na torze wyścigowym. Mógł więc wiele zaryzykować dla zdobycia dwunastu tysięcy funtów... Ale z drugiej strony jest człowiekiem, któremu specjalnie nie zależy chyba na pieniądzu. Zarabia ich wiele, bardzo wiele. Jak pan zapewne się orientuje, zawód kierowcy wyścigowego jest bardzo intratny...

– Więc kogo właściwie pani podejrzewa, panno Barlove? Pannę Webster? Wuję Archibalda? Jamesa? Wszyscy oni według pani mieli powody, żeby...

– Nie tylko oni, proszę pana – skromnie zauważyła – nie tylko oni.

Przypomniało mi się, że na początku naszej rozmowy wspomniała o Jocelyn, więc trochę podniesionym tonem powiedziałam:

– Nie powie pani chyba, że podejrzewa Josie. Przecież była wtedy ze mną na korytarzu! Ma murowane alibi!

– Och, oczywiście wiem o tym – westchnęła panna Barlove. – Pan i Jocelyn macie wspiane alibi. Ale mówimy czysto teoretycznie. Wyobraźmy sobie, że alibi takie nie istnieje. Wtedy Jocelyn staje się bardzo podejrzana. Tu motyw są szczególnie silne.

Bardzo mi się te teoretyczne rozważania panny Barlove nie spodobały, ale nie przeszkadzałem jej mówić.

– Jocelyn to bardzo wrażliwa i sentymentalna dziewczyna. Bardzo wrażliwa. Takie właśnie słabe natury w pewnych sytuacjach zdobywają się na niezwykle desperackie posunięcia... – zamilkła na chwilę, jakby czekała na moje protesty.

Patrzyłem na nią ze sceptycznym uśmieszkiem, ale

nie miałem na razie zamiaru jej przerywać, po chwili więc podjęła na nowo:

– Jocelyn jest biedna jak mysz kościelna. Od pięciu lat pracuje w tym okropnym zakładzie kosmetycznym. Jest zamknięta w sobie i nie lubi się zwierzać, ale z rozmaitych półśłówek i niedopowiedzeń zorientowałam się, że w zakładzie tym panują straszne stosunki. Szefowa Jocelyn jest niedobłą kobietą. Dziewczyna czuła się tam jak w więzieniu, ten spadek stał się dla niej prawdziwym wybawieniem...

– Sądzę, że i mnie brała pani pod uwagę w swoich teoretycznych rozważaniach – uśmiechnąłem się – jak wszyscy, to wszyscy...

– Oczywiście – zarumieniła się lekko – dużo myślałam i o panu. Pan przecież zawsze potrzebuje pieniędzy, tyle razy pożyczał pan od biednej Jane, a poza tym zyskuje najwięcej. Dwadzieścia cztery tysiące funtów...

– Jakie dwadzieścia cztery tysiące?!

– No przecież pan ma zamiar ożenić się z Josie... – rumieniec na policzkach panny Barlove nabrał intensywności.

– Panno Piotrusiu – roześmiałem się – przed panią nic się nie ukryje. Jest pani naprawdę niebezpieczną kobietą. Całe szczęście, że Josie i ja mamy alibi...

Spuściła skromnie oczy.

– Dużo myślałam o tym alibi – wyznała cicho – ma ono jedną wadę. Jeżeliby przyjąć, że działaliście wspólnie...

– Panno Barlove! – zawołałem z oburzeniem. – Wypraszam sobie takie insynuacje! Tego już stanowczo za wiele...

Przyjrzała mi się z uśmiechem:

– Niech się pan uspokoi, panie Haroldzie. Szybko doszłam do wniosku, że jest to niesłychanie mało prawdopodobne. Naprawdę bardzo mało prawdopodobne psychologicznie...

– No, całe szczęście, że raczyła pani tak pomyśleć – powiedziałem zgryźliwie – a teraz, mówiąc już poważnie. Przemyslałem trochę to wszystko, co mi pani miała do powiedzenia. Rzeczywiście pozornie wszystko się zgadza. Szczególnie ta historia ze światłem jest zastanawiająca. Myślę jednak, że pewnie da się jakoś wyjaśnić bez wysuwania hipotezy morderstwa. Wydaje mi się, że jest mimo wszystko bardziej prawdopodobne, że ciocia Jane po ciemku sięgała do najwyższej półki, niż to, że została zamordowana...

– Dlaczego? – zapytała spokojnie i ściągnęła wargi w tym swoim nieprzyjemnym grymasie.

– Czy nie zdaje sobie pani sprawy, jak bardzo morderca ryzykował? Przecież nie mógł mieć żadnej pewności, że ciocia Jane rzeczywiście umrze z przestraszenia? Gdyby nic się nie stało, to jak później mógł tłumaczyć swoje niecodzienne zachowanie? I wreszcie, na Boga, w jaki sposób ten domniemany zabójca przestraszył ciocię? Przecież wszyscy widzieliśmy te książki. Ta, którą chciała wyciągnąć, została jej w ręku...

– Och – roześmiała się panna Barlove. – Przecież morderca niczego nie ryzykował. Biedna Jane wcale nie umarła z przestraszenia. Miała serce zupełnie zdrowe, jak pan czy ja. No, może miała trochę nerwicy, ale zapewniam pana, że nic więcej...

Byłem [naprawdę oszołomiony. Wpatrywałem się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Nie rozumiem – wybełkotałem – przecież ciocia

sama wielokrotnie mówiła... a doktor Brown stwierdził...

– Doktor Brown jest niedowidzącym, roztrzęsionym i zapijaczonym staruszkiem – sucho stwierdziła panna Barlove – jest niezastąpiony w takich wypadkach, jak zapisanie proszków nasennych – spojrzała na stojącego na stole flakonik z pigułkami – albo oleju rycynowego. Ale w innych sprawach? Przecież on wszystko zapomniał i tak naprawdę to nic go nie obchodzi poza codzienną porcją ginu. Wypisał świadectwo zgonu, bo po prostu wierzył, że Jane umarła na serce. Sam jej to zresztą wyprorokował...

– Nie rozumiem...

– Przed trzema laty biedna Jane zaczęła cierpieć na jakieś sercowe dolegliwości. Oczywiście udała się do doktora Browna. Ten jej nawet porządnie nie zbadał. Miał chyba, jak wy mężczyźni to nazywacie – zaśmiał się wstydliwie – kaca czy coś w tym rodzaju i od razu zawyrokował, że Jane jest bardzo chora. Przypomniawszy mu się jej ojciec. Jane bardzo się tym przejęła. Spisała testament i zaczęła przygotowywać się na śmierć. Nawet popijała trochę mniej. Bo musi pan wiedzieć – uśmiechnęła się – że pana ciotka jak każda istota ludzka miała swoje drobne grzeszki. Biedna Jane lubiła sobie od czasu do czasu wypić coś mocniejszego. Miała nawet taki schowek w bibliotece...

– Wiem o tym – przerwałem niecierpliwie – co było dalej?

– Dalej? Po prostu zmusiłam ją wreszcie, by udała się do lekarza z prawdziwego zdarzenia. Pojechała do Londynu, poddała się badaniom i zrobiła sobie elektrokardiogram. Okazało się, że jej serce jest zupełnie w porządku. Specjaliści wyśmieli jej obawy...

– Więc dlaczego, na Boga, ukrywała to i powtarzała na prawo i lewo, że jest ciężko chora?!

Panna Barlove znówu się roześmiała:

– Nie zna pan kobiet, panie Haroldzie! Po prostu sprawiało jej przyjemność, gdy wszyscy jej współczuli. Nic więcej, proszę pana. Nic więcej.

Zamilkła i przyglądała mi się z wielkim zainteresowaniem. Powoli przychodziłem do siebie. Popatrzyłem poważnie w czarne oczy panny Barlove i zapytałem:

– Więc właściwie co się stało? Dlaczego umarła?

– Oto trafne pytanie! – ucieszyła się. – Dawno spodziewałam się, że je pan zada! Oczywiście nie mam żadnej pewności, ale wszystko wskazuje na to, że została otruta.

– Otruta? – powtórzyłem bezwiednie.

– Będzie to można dopiero stwierdzić po sekcji... I tu właśnie zaczyna się pana rola. Musimy razem wystąpić z żądaniem sekcji. Chciałabym pokazać panu pewien dokument... – wstała niespiesznie i powoli skierowała się w, kąt pokoju. Zniknęła za parawanem. Pozostała tam około minuty. Słyszałem, jak otwiera jakąś szufladę.

Kiedy zjawiała się z powrotem, trzymała w ręku plik papierów. Podała mi je:

– Proszę, niech pan to przeczyta. Spisałam tu wszystkie swoje spostrzeżenia. A tu jest pismo do policji, prośba o wstrzymanie pogrzebu i przeprowadzenie sekcji. Byłoby wspaniale, gdyby je pan także podpisał. Zaniesiemy je jutro razem na posterunek policji.

Wziąłem papiery, przejrzałem pobieżnie, a potem podniosłem się z krzeselka. Papiery złożyłem starannie i wsunąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Późno już, panno Barlove – powiedziałem – wrócę do siebie i spokojnie przejrzę te dokumenty. Przemyszę sobie to wszystko. Rano dam pani odpowiedź.

Stała przy stoliku i uśmiechała się.

– Ma pan rację, panie Haroldzie. Niech pan to sobie spokojnie przemyśli. Ja za to spróbuję dziś wreszcie usnąć. Zażyję pigułki doktora Browna. – Z flakonika stojącego na stole wysypała na dłoń dwie pastylki i włożyła je do ust. Potem zdjęła ze szklanki spodeczek i podniosła ją do góry.

Czekałem, aż popije pastylki. Nie popiła. Ze szklanką w dłoni cofnęła się o kilka kroków i nie przestając się uśmiechać powiedziała:

– Nie zrobię panu przyjemności i nie wypiję tych ziółek. Nie chciałabym, aby jutro doktor Brown musiał wypisywać nowe świadectwo zgonu. Tym razem przyczyną zejścia byłoby zapewne przedawkowanie środków nasennych. Ale nic z tego, panie Haroldzie. Widziałam zza parawanu, jak wsypywał pan coś do tej szklanki...

Nie zdążyłem zareagować. Skrzydło zielonego parawanu odsunęło się gwałtownie i ukazało się dwóch mężczyzn. Jeden z nich ubrany był w granatowy mundur. Mężczyzna w cywilnym garniturze podszedł do mnie i powiedział:

– Haroldzie Bayerbrook, aresztuję cię pod zarzutem usiłowania zabójstwa panny Barlove i uprzedzam, że cokolwiek teraz powiesz, może być zapisane i wykorzystane przeciwko tobie.

– Mam nadzieję – powiedziała nadal uśmiechając się panna Barlove – że sekcja biednej Jane wykaże, jakiej trucizny użył ten pan. Sądzę, że to było to samo, co wsypał do mojej szklanki! I wtedy – przestała się

uśmiechać – ten pan oskarżony zostanie nie tylko o usiłowanie zabójstwa!

Miała rację. Sekcja wykazała, że to była ta sama trucizna i potem oskarżono mnie o morderstwo. Mam szczęście, że kilka lat temu zniesiono u nas karę śmierci. Mam teraz dużo czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć. Bardzo dużo czasu. Całe dwadzieścia pięć lat.

Pozwalają mi pisać. Już trzeci raz staram się opisać całą tę historię. Może to pomoże wreszcie mi zrozumieć, jakie właściwie błędy popełniłem, bo przecież plan był taki dobry! I wszystko poszło nadspodziewanie gładko!

Plan usunięcia ciotki ułożyłem już dawno, ale nie spieszyłem się z wprowadzeniem go w życie. Ale potem nie było już innego wyjścia. Okazało się, że znowu przegrałem. Ta piekielna klacz przyszła dopiero trzecia i z pewnego triplexa nic nie wyszło. Postawiłem na tę kombinację całe dwieście funtów. Ostatnie z tych trzech tysięcy, jakie pożyczyłem sobie z funduszu laboratoryjnego, którym rozporządzałem. Musiałem zwrócić te pieniądze. Od tego zależała cała moja kariera. Truciznę wziąłem z laboratorium. Bardzo dobrą truciznę. Działa szybko i skutecznie, zupełnie jak cyjanek potasu, ale nie wydziela tego paskudnego zapachu. Żyłkę nylonową, całą szpulkę, zabrałem z szafy wuja Archibalda. Trzymał w niej swój sprzęt wędkarski.

Do rozmowy z ciotką przygotowałem się bardzo starannie. Truciznę wsypałem do jednego z kieliszków ukrytych w schowku. Wystarczyło później dolać do niego wina. Żyłkę nylonową zaczepiłem o łeppek gwoźdźcia wystającego z boku regału. Przewlokłem ją za kilkunastoma książkami na najwyższej półce.

Potem przyszła ciotka. Rozmawialiśmy. Zapropo-
nowała – tak jak się spodziewałem – byśmy się napili.
Nalałem wina.

Kiedy już umarła, ułożyłem ją w odpowiedniej po-
zycji obok regału. W rękę włożyłem jej książkę wyjętą z
najwyższej półki. Potem wyszedłem na korytarz i za-
mknąłem za sobą drzwi. Luźną żyłkę nylonową prze-
wlokłem oczywiście pod nimi. Jej koniec przymocowa-
łem starannie do paska od zegarka.

Potem wystarczyło tylko odejść o kilkanaście kro-
ków. Żyłka naprężyła się. Szarpnąłem. Upadek książek
wypadł niezwykle efektownie!

Biedna Jocelyn o mało co nie zemdląła z wrażenia!

Miałem murowane alibi! Żyłkę oczywiście usuną-
łem, gdy Jocelyn pobiegła sprowadzić pomoc.

Nie wiem, jakie błędy popełniłem. To, że w bibliote-
ce nie paliło się światło, nie było żadnym przeoczeniem.
To była konieczność. Gdybym zapalił światło, ktoś z
ogrodu mógłby zajrzeć przez okno do środka, a tego
przecież musiałem uniknąć.

Popełniłem chyba tylko jeden błąd. Nie doceniałem
panny Barlove.

Było piękne wrześnie popołudnie. W salonie Ma-
nor Farm siedziało przy herbacie pięć osób. Panna Bar-
love jak zwykle rozkładała karty.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła. – Wyszedł mi
ślub, a właściwie nawet dwa wesela.

– Naprawdę, panno Piotrusiu? – zainteresowała się
Jocelyn.

– Karty nie kłamią, moja droga – zapewniała panna Barlove – moje kabaly zawsze się sprawdzają...

– I ma pani rację – zapewnił starszą panią James – trafiła pani w dziesiątkę! Właśnie dziś poprosiłem Jocelyn o rękę. I nie odmówiła mi!

Jocelyn skromnie opuściła oczy.

– O, gratuluje wam, kochani! – ucieszyła się panna Barlove. – Dawno już powinien był pan się jej oświadczyć, panie James! – A potem półgłosem, tajemniczo dodała wpatrując się w dziewczynę:

– Tak się bałam, kochanie, że się nieprędko z tego otrząśniesz...

– Mężczyźnie potrzebna jest żona! – zawyrokował tubalnie generał Archibald. – Co myślisz o tym, Stello?

– Nie mam w tej kwestii zdania, panie generale – odrzekła panna Webster i opuściła oczy.

Zapadło milczenie, a wtedy generał zmienił temat:

– Ale, ale! Już dawno obiecała nam pani opowieść, w jaki sposób zdemaskowała tego łajdaczyne! Tym razem nam się pani nie wykręci!

Panna Barlove zrobiła lekko zawstydzoną minę:

– To nie było nic trudnego, panie generale. Chętnie mogę panu to wyjaśnić. Przede wszystkim zwróciły moją uwagę okoliczności śmierci Jane. Po pierwsze, wiedziałam, że ma zupełnie zdrowe serce, co wykluczało śmierć z przestraszenia, po drugie, ta książka, po trzecie, światło...

– Jaka książka? Jakie światło?

– Książka, którą Jane trzymała w ręku. To była powieść kryminalna autorki, której Jane serdecznie nie cierpiała. Zastanowiło mnie, dlaczego biedaczka sięgała właśnie po nią... Potem dowiedziałam się, że w bibliotece

nie paliło się światło. To oczywiście mogło wiele wyjaśnić. Po prostu po ciemku mogła nie widzieć, jaką książkę wyciąga. Tylko z drugiej strony dlaczego Jane w ogóle sięgała po książki nie zapalwszy wpieryw światła? To się zupełnie nie zgadzało, panie generale!

– I wtedy doszła pani do wniosku, że coś jest nie tak jak należy?

– Właśnie! W niedzielę po kościele wpadłam na posterunek policji i powiedziałam im o swoich podejrzeniach. Sierżant Madox nie potraktował mnie poważnie, ale obiecał zawiadomić inspektora Crasha. O! Inspektor Crash, choć jest mężczyzną, to bardzo inteligentny człowiek! Rozmawiałam z nim w poniedziałek. Wysłuchał mnie bardzo uważnie i zgodził się ze mną, że warto spróbować zastawić małą pułapkę na mordercę. Jak państwo wiedzą, pułapka rzeczywiście się zatrzasnęła!... W żadnym wypadku nie mógł dopuścić do sekcji...

Najtrudniej było mi zrozumieć, w jaki sposób zorganizował sobie alibi. Potem usłyszałam, jak pan generał zarzuca panu Jamesowi, że ruszał jego sprzęt wędkarski. Przypomniałam sobie, że ma pan w tej szafie wiele szpilek z takimi bardzo długimi przezroczystymi nitkami, a że panna Webster wspomniała akurat o jakiejś zasłonie dymnej, tak jakoś mi się to wszystko skojarzyło... Zasłona dymna, fałszywe alibi, niewidoczna nitka... Zrozumiałam, jak to było zrobione...

Zamilkła trochę zadyszana i triumfalnie powiodła wzrokiem po zasłuchanej czwórce.

– A jak pani odgadła, że to Harold był mordercą?

– O, to było łatwe. Rozważałam też oczywiście i inne możliwości, ale on najbardziej pasował. Wiem, że stale potrzebował pieniędzy. Poza tym to był bardzo zły

chłopak. W gruncie rzeczy nie miałam wątpliwości. Już jako dziecko był trudnym chłopcem. Kiedyś wrzucił mi sól do herbaty. Teraz powtórzył tę samą psotę. Tylko tym razem to już nie była sól... Ludzie na ogół lubią powtarzać te same czynności... Taka już jest ludzka natura...

– Nie wmówi mi pani, że podejrzewała go pani tylko dlatego, że kiedyś osolił pani herbatę!

Panna Barlove skromnie spuściła oczy.

– Ma pan rację, generale. Miałam jeszcze inne przesłanki. Jak państwo pamiętają, w dniu śmierci Jane stawiałam jej kabałę. Wyszedł bardzo niedobry układ kart. Wynikało z niego, że biedna Jane umrze. I nie tylko to. Z kart można było wyczytać, że Jane grozi niebezpieczeństwo ze strony młodego bruneta. Pan Harold był jedynym brunetem w tym domu, a ja wiedziałam, że karty prawdę mówią, panie generale...

BARLIET I NIEŻYWA SŁUŻĄCA

czyli

morderstwo po francusku

To był jeden z tych listopadowych dni, kiedy ciężkie chmury dotykają stromych dachów domów, chodniki pokrywa delikatna warstewka błota, a powietrze przesiąknięte jest wilgocią, która przenika pod ubrania przechodniów. W takich dniach w pomieszczeniach na Quai des Orfèvres już od rana pali się światło, a Sekwana za oknami tonie w welonach mgły i gołębie, jak zawsze przysiadające na parapetach, mają nastroszone, wilgotne pióra.

Już od rana komisarz Barliet czuł się ociężały, senny i znużony. Inspektorzy, którym wypadło zajrzeć do jego gabinetu, wycofywali się szybko na palcach i wnet się wśród nich rozniosło, że stary jest dziś naburmuszony i lepiej mu w oczy nie wchodzić.

Pracy było mało. Ostatnio nie zdarzyła się żadna sprawa z gatunku tych, które elektryzują reporterów i czytelników popołudniówek. Trafiała się wyłącznie sama rutyniarska policyjna robota, której Barliet szczerze nie lubił, choć wykonywał ją pilnie, jak na solidnego urzędnika policyjnego przystało.

Około dziesiątej uporawszy się z pierwszą porcją najrozmaitszych nieciekawych sprawozdań i raportów

komisarz pomyślał sennie, że nadszedł już chyba czas, aby posłać kogoś po kanapki i piwo, ale jakoś nie mógł zdecydować się zawołać któregoś z młodszych inspektorów, rozmawiających półgłosem w sąsiednim pokoju.

Około godziny jedenastej drzwi do gabinetu otworzyły się i stanął w nich Leclerck, najmłodszy inspektor z brygady Barlieta. Zupełnie zapomniał, że komisarz nie jest dziś w dobrym nastroju, i już od progu zawołał głośno:

– Szefie! Mamy morderstwo!

Jego cała sylwetka wyrażała podniecenie i chęć działania. Barliet pomyślał z rozbawieniem, że przed wielu laty, kiedy sam był w wieku Leclercka, również wpadał w gorączkę przy każdej nowej zbrodni, z jaką wypadło mu się zetknąć.

– Gdzie? – zapytał. – I kogo zabito?

– Na ulicy Saint-Antoine – wyrecytował Leclerck – zabito młodą dziewczynę. Pracowała u właściciela małego bistro.

– Kelnerka?

– Nie, szefie, służąca. Paskudnie ją załatwili. Ktoś wpakował jej nóż w kark...

– Kto jest tam na miejscu? Czy ktoś od nas?

– Od nas nie ma nikogo. Są tam tylko chłopcy z miejscowego komisariatu. Zawiadomiłem już techników i lekarza, zaraz tam wyruszają... – zająknął się i spojrzał niepewnie na Barlieta, bo w tej chwili dopiero zrozumiał, że przekroczył swoje kompetencje. Nikt mu nie kazał wyręczać szefa.

– W porządku, mały – uśmiechnął się Barliet – zaraz tam pojedziemy, zawołaj jeszcze Javreta.

Podniósł się ciężko zza biurka, przeciągnął leniwie i popatrzył za okno. Normalnie lubił te wyprawy poza ponury gmach przy Quai des Orfèvres, ale w taki dzień wolałby jednak pozostać za biurkiem, zagubiony w oceanie ważnych i mniej ważnych papierków, poznaczonych kolorowymi znakami paraf i fioletowym tuszem pieczęci.

Pojechali oczywiście samochodem. Po drodze Leclerck, jeszcze w dalszym ciągu podniecony, referował to, o czym dowiedział się z telefonicznego meldunku:

– Tę dziewczynę znalazła żona właściciela bistro. Wpadła na chwilę do mieszkania i zobaczyła ją w kuchni. Leżała obok zlewu i w karku jej tkwił nóż. Podobno wszyscy tam są strasznie zdenerwowani...

Barliet nie bardzo go słuchał. I tak wszystko musiał obejrzeć sam i nie chciał sobie psuć tego obrazu, który ukształtuje się w jego świadomości już po przyjeździe, kiedy niespiesznie przejdzie się po wszystkich pomieszczeniach, w których na co dzień przebywali bohaterowie dramatu, wchłonie atmosferę tych miejsc i porozmawia z osobami, zaplątanymi w ową sprawę. Dlatego też wolał, zamiast słuchać Leclercka, wyglądać przez okno citroena i gapić się na przechodniów nurzających się we wszechobecnej listopadowej wilgoci.

Samochód ostro zahamował przed starym, wysokim domem, pokrytym liszczami odpadającego tynku. Obok stały już dwa auta. Radiowóz dzielnicowego komisariatu i karetka techniczna z Quai des Orfèvres. Dwóch policjantów w przemokniętych pelerynach bezskutecznie usiłowało odsunąć od wejścia kamienicy krąg napierających gapiów.

Weszli po marmurowych schodach na drugie piętro.

Otworzył im policjant. Na widok Barlieta wyprężył się służbiście. Przywitał ich sam komisarz z dzielnicowego komisariatu.

– Panie komisarzu, komisarz Fauchois melduje swoją obecność na miejscu przestępstwa.

Barliet niezgrabnie usiłował przerwać tę wypowiedź, ale mu się to nie udało. Komisarz Fauchois powiedział, co miał do powiedzenia, i usłużnie czekał na polecenia.

Barliet mocno skrępowany, komisarz Fauchois bądź co bądź równy był mu rangą, zapytał:

– Czy można obejrzeć ofiarę?

– Ależ oczywiście, niech pan komisarz pozwoli...

Przeprowadzono go ciasnym korytarzem do kuchni. T technicy i fotografowie kończyli właśnie swą pracę. Dziewczyny nikt nie poruszył. Leżała wyciągnięta na pokrytej kafelkami podłodze, a w jej karku tkwił, wbity na głębokość kilkunastu centymetrów, duży kuchenny nóż. Wielka kałuża ściętej krwi rozlewała się wokół jej szyi. Dziewczyna ubrana była w tanią, niebieską sukienkę. Sukienka była podwinięta i kształtne nogi dziewczyny widoczne były w całej okazałości.

– Dziękuję. To mi wystarczy. Gdzie mógłbym porozmawiać z domownikami?

Komisarz Fauchois aż skręcał się w wewnętrznym pragnieniu, aby dogodzić wymaganiom przybyszów z Quai des Orfèvres, więc natychmiast pospieszył z wyjaśnieniami:

– Zgromadziłem wszystkich w jadalni. Czy chciałby pan ich zobaczyć?

– Po kolei, komisarzu. Po kolei. Najpierw chciałbym rozmawiać z panią domu. I nie tu, w kuchni... –

behradnie spojrzął na ciało dziewczyny rozciągniętej na podłodze.

– Ależ oczywiście – zawołał komisarz Fauchois – przejdziemy do sypialni, tam jest zupełnie dobrze, nikt panu nie będzie przeszkadzał...

Sypialnia była ciasna. Mieściło się w niej tylko wielkie podwójne łóżko, szafa z lustrem i dwa filigranowe krzeselka. Na ścianach wisiały wyblakłe reprodukcje oprawione w ramki przyozdobione drobnymi muszelkami i wielki czarny krzyż. Nie było natomiast małżeńskiej fotografii z rodzaju tych, które zazwyczaj widuje się w takich sypialniach.

– Oni tu śpią? – zagadnął Barliet komisarza Fauchois, bo przecież coś musiał powiedzieć, ale, zaraz uświadomił sobie niedorzeczność tego pytania i poczuł się jeszcze bardziej skrępowany obecnością zasapanego z emocji komisarza.

– Państwo Marchais śpią tutaj – wyjaśnił skwapliwie Fauchois – ich syn Louis ma oddzielny pokój. Angelika, to znaczy ta zamordowana, spała w kuchni...

– Ach, więc jest i syn...

– Tak, mają syna. Studiuje na Sorbonie chemię.

Zapadło milczenie, bo Barliet nie wiedział, o co więcej zapytać. Nie siadał jeszcze, tylko rozglądał się po sypialni. To znaczy udawał, że się rozgląda. W rzeczywistości czekał na to, aby energiczny komisarz Fauchois zdecydował się wreszcie powrócić do swoich podwładnych i pozostawić go samego.

Kiedy milczenie przedłużało się, a stojący obok Barlieta inspektorzy Leclerck i Javret poczęli zdradzać oznaki zniecierpliwienia, wyciągając z kieszeni fajkę powiedział:

– Drogi komisarzu, dziękuję za wprowadzenie w

sprawę. Sądzę, że może pan wrócić do swych obowiązków. Oczywiście – dodał pospiesznie – będziemy w stałym kontakcie. Na pewno będziemy potrzebowali pomocy pana i pana ludzi.

Fauchois poczerwieniał lekko i skłonił się sztywno.

– Oczywiście, panie komisarzu. Jesteśmy zawsze do dyspozycji pana.

Kiedy już sobie poszedł, Barliet usiadł ostrożnie na jednym z krzesłek, zapalił fajkę i wydał polecenia inspektorowi:

– Leclerck, sprowadzisz mi tu panią domu, a ty, Javret, powęszysz trochę w sąsiedztwie. Popytasz o tych ludzi.

Pani domu okazała się tęgą blondynką o nieokreślonym wieku. Jej obfity biust zdawał się wylewać z wąskiego dekoltu granatowej, mocno podniszczonej sukienki. Usiadła z wahaniem na drugim krzeselku i nerwowo spletała i rozplatała palce obu dłoni. Na jej policzkach wystąpiły żywe rumieńce, a na czole srebrzyły się maleńkie kropelki potu.

– Takie nieszczęście, panie komisarzu – powiedziała – takie straszne nieszczęście. I co ja powiem jej matce? Zaufała mi...

– Pani знаła jej matkę? – zapytał.

– Znałam, panie komisarzu. Pochodzimy z tej samej wsi. To była moja przyjaciółka. Tylko potem ja wyszłam za męża i przyjechałam tutaj, a ona została na wsi. Przed rokiem napisała do mnie, że jej córka Angelika chce koniecznie znaleźć sobie miejsce w Paryżu. U nas akurat było miejsce, bo poprzednia służąca wyszła za męża. Więc napisałam...

Zamilkła i bezradnie popatrzyła na Barlieta.

Pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Więc pracowała u pani od roku?

– Była raczej członkiem rodziny. Pomagała nam w domu, bo my oboje z mężem...

– Ale płaciła jej pani?

Poczerwieniała jeszcze mocniej.

– Oczywiście, panie komisarzu. Przecież należało się jej...

– Z kim się zadawała? Miała jakiegoś chłopca?

– To była przyzwoita dziewczyna, panie komisarzu. W niedzielę chodziła do kościoła. Raz w tygodniu do kina. Ale nie zadawała się z żadnym chłopcem.

– A miała jakieś przyjaciółki?

– Ona była do nas bardzo przywiązana... Lubiliśmy ją wszyscy, czuła się u nas jak w rodzinie... Nie szukała towarzystwa.

Barliet pomyślał przez chwilę, a potem powiedział:

– Może mi teraz pani powie, jak to właściwie było dziś rano...

– To było straszne, panie komisarzu. To jest straszne... – poprawiła się – bardzo ciężko mi o tym mówić...

– Wiem, proszę pani – zgodził się Barliet – niestety, musimy jakoś przez to przebrnąć...

– Rozumiem – zgodziła się posłusznie – opowiem to jeszcze raz. Wstaliśmy jak zwykle o siódmej. Angelika przygotowała nam śniadanie. Była taka jak zwykle, pogodna i spokojna. Nie spodziewała się, biedaczka... O ósmej Louis poszedł na wykłady. W piętnaście minut potem poszliśmy z mężem do baru. Otwieramy zawsze o wpół do dziewiątej. Angelika została w domu. O pierwszej miała przynieść obiad. W naszym barze nie

mamy zaplecza i nie prowadzimy żadnych dań na gorąco. Same kanapki... Pan rozumie...

Barliet kiwnął głową. Znał takie bistra, gdzie można było dostać tylko wino, kawę i najprostsze przekąski.

– Na obiad miała ugotować zupę cebulową i potrawkę cielęcą... – zaczęła płakać.

Barliet nie popędzał jej i spokojnie palił fajkę. Opanowała się szybko.

– Około dziesiątej przypomniałam sobie, że nie zostawiłam jej pieniędzy. Dziś mógł przyjść inkasent po należność za światło... Wzięłam pieniądze z kasy i poszłam do mieszkania...

– Kto w tym czasie pozostał w barze?

– Lucjan oczywiście. To znaczy mąż..

– I co było dalej?

– Drzwi do mieszkania były lekko uchylone... Bardzo mnie to zdziwiło. Już na progu zawołałam. Nie odpowiadała. Weszłam do kuchni, a tam... – Urwała i znowu zaczęła płakać.

– I co ja teraz powiem jej matce, panie komisarzu? Co ja powiem?

Barliet odczekał taktownie chwilę, a potem zapytał:

– Czy z mieszkania coś zginęło? Nie stwierdziła pani jakichś braków?

Ożywiła się i podniosła głowę.

– Nie, panie komisarzu. Wszystko było na swoim miejscu...

Barliet z lekkim rozbawieniem pomyślał, że ta zapłakana kobieta nie straciła jednak głowy, gdy wykryła trupa w swojej kuchni, i z pewnością jeszcze przed zawiadomieniem policji sprawdziła skrupulatnie wszelkie schowki, w których przechowywała swe skarby.

Pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Czy Angelika chętnie wpuszczała obcych do mieszkania?

– Nie, panie komisarzy. Zawsze uchylała tylko drzwi zamknięte na łańcuch. Była bardzo ostrożna...

– Nie wyobraża sobie pani, kogo mogła wpuścić dziś rano?

Bezradnie pokręciła głową. Łzy ponownie popłynęły z jej oczu.

– Nie wiem, panie komisarzy... po prostu nic nie potrafię wymyślić...

– Dziękuję pani. To byłoby na razie wszystko. Gdyby pani była łaskawa poprosić teraz męża...

Pan Lucjan Marchais, w przeciwieństwie do swojej żony, panował nad sobą. Był sztywny i uroczysty. Zdawał sobie w pełni sprawę z powagi sytuacji i starał się zachowywać odpowiednio. Był to tęgawy, łysy mężczyzna około pięćdziesiątki.

– Niech pan siada, panie Marchais – Barliet wskazał mu fajkę krzesło. – Rozmawiałem już z pana żoną, ale i od pana chciałbym uzyskać trochę potrzebnych mi informacji.

Marchais ze zrozumieniem kiwnął głową i sztywno przysiadł na brzeżku krzeselka.

– Jaka właściwie była ta dziewczyna? Lubił ją pan?

Marchais odchrząknął i odpowiedział:

– Nie zwracałem na nią większej uwagi, panie komisarzy. Nie przeszkadzała w domu i była bardzo pożyteczna. Ale chyba była bardzo przyzwoitą dziewczyna. Zawsze na swoim miejscu. Bardzo dobrze gotowała – dodał trochę niepewnie.

– Czy miała jakiegoś chłopca?

– Nie wiem, panie komisarzu. Nie interesowałem się tym. Żona lepiej by chyba panu na to odpowiedziała...

Chociaż – dorzucił po kilku sekundach milczenia – obilo mi się coś o uszy. Pan komisarz wie, jak to jest, klienci opowiadają człowiekowi różne rzeczy...

– I co mówili panu klienci?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy to była prawda. To wyglądało mało prawdopodobnie. Ktoś mi powiedział, że widział naszą Angelikę z tym małym Robertem od Bergeretów, ale ja w to nie wierzę...

– Dlaczego?

– Bo to była przyzwoita dziewczyna, a ten Robert to naprawdę nic dobrego. Ona by się z nim nie zadawała.

– Kto to jest ten Robert? Gdzie on mieszka?

– To syn szewca z naszej ulicy. Chuligan. Miał już dwa wyroki. Trochę go się tu ludzie boją...

Barliet zamyślił się. Nie miał na razie więcej pytań i był trochę głodny. Nie jadł dziś jeszcze drugiego śniadania. Pomyślał, że właściwie można by poprosić, aby Marchais przyniósł coś do przegryzienia ze swojego baru. Doszedł jednak do wniosku, że nie wypada.

Wstał ciężko z krzeselka, rozprostował się i o mały włos nie przeciągnął, co by zrobił z pewnością u siebie na Quai des Orfèvres.

– Dziękuję panu, panie Marchais. Porozmawiamy sobie jeszcze później.

Rozejrzał się za popielniczką, bo chciał wypróżnić fajkę, ale popielniczki w sypialni nie było. Gdyby był w pokoju sam, wyrzuciłby popiół do jednej z doniczek, a tak musiał nie wypróżnioną fajkę schować do kieszeni.

– Chciałbym się teraz rozejrzeć po mieszkaniu – powiedział.

Wyszli do przedpokoju. Musieli się zatrzymać w progu, bo właśnie dwóch policjantów wynosiło nosze, na których spoczywał przykryty prześcieradłem podłużny kształt. Lekarz policyjny, doktor Molié, naciągał odporne rękawiczki i szykował się do wyjścia.

– Dzień dobry, doktorze – powiedział Barliet. – Co ciekawego może pan nam powiedzieć?

– Czołem, komisarzu – ucieszył się Molié. – Nic ciekawego, najpierw będę musiał ślicznotkę pokrajać. Wtedy może coś interesującego panu powiem.

– Czas śmierci?

– Gdzieś między dziewiątą a dziesiątą trzydzieści. Raczej zresztą bliżej dziewiątej, choć to nic pewnego – zastrzegł się doktor i uporał się wreszcie z nieposłusznymi rękawiczkami. – Na mnie już czas, komisarzu. Moi nieboszczycy na mnie czekają – zaśmiał się hałaśliwie, podniósł z podłogi swą nieodłączną czarną walizkę i ruszył do wyjścia.

Barliet nie pytał, kiedy otrzyma wyniki sekcji. Wiedział, że doktor Molié pracuje bardzo szybko i da mu znać, gdy tylko upora się ze swą robotą.

W drzwiach kuchni, skąd wyniesiono zwłoki, ukazał się Leclerck. Barliet kiwnął na niego. Inspektor zbliżył się i komisarz już chciał mu wydać polecenie, ale przypomniał sobie o obecności usztywnionego właściciela mieszkania.

– Może pan, panie Marchais, przejść do jadalni, do swojej żony – powiedział. – Wydaje się, że nie bardzo dobrze zniosła to wszystko. Dobrze by było dać jej jakieś kropelki.

A gdy Marchais odszedł, powiedział do Leclercka:

– Na tej ulicy mieszka szewc. Nazywa się Bergeret. Skocz do niego i sprawdź, co robił jego syn dzisiaj rano. Nie rób żadnych głupstw i nie strasz nikogo. Po prostu grzecznie zapytaj się i wracaj tu czym prędzej.

Leclerck uszczęśliwiony, że otrzymał konkretne polecenie, zawinął się na pięcie i pomknął do wyjścia, a Barliet zabrał się do oględzin mieszkania.

Na początek wsadził głowę w uchylone drzwi prowadzące do jadalni. W pokoju, koło okrągłego nakrytego serwetą z frędzlami stołu siedziała pani Marchais i płakała. Mąż pochylał się nad nią i szeptał jej coś do ucha. Barliet wycofał się dyskretnie i nacisnął klamkę sąsiednich drzwi.

Pokoik był malutki. Mieściło w nim się tylko żelazne łóżko z mosiężnymi gałkami, starannie zaślane, niewielki stolik, jedno krzesło i szafka. W tym pokoju nie było kwiatów, za to na ścianie nad łóżkiem wisały wycięte z ilustrowanych magazynów kolorowe fotografie mniej lub bardziej rozebranych dziewczyn. Podszedł do szafki i otworzył ją. W środku były książki i zeszyty. Kilka podręczników z zakresu chemii o podniszczonych okładkach, kilkanaście kryminalnych powieści w tanich wydaniach, kilka grubych zeszytów i trzy numery *Playboya*. Barliet pomyślał, że to z nich pewno wycięto fotografie wiszące nad łóżkiem. Pogmerał chwilę w książkach, przerzucił zeszyty zapełnione chemicznymi wzorami i formułkami, rozejrzał się jeszcze raz po pokoju i ruszył do wyjścia.

W kuchni urzędowali jeszcze technicy, a wszystko poszpane było srebrzystym proszkiem. Na widok

Barlieta wyprężyli się służbiście i przerwali swoje czynności.

– Nie przeszkadzam, chłopcy?

– Nie, panie komisarzu – zameldował starszy z nich – właściwie już skończyliśmy.

– No to teraz ja się tu rozejrzę.

Wyciągnął z kieszeni fajkę, wypróżnił ją z popiołu do kubła na śmiecie, przysiadł na kuchennym stołku, nabił fajkę tytoniem i zapalił.

Kuchnia była niewielka, Koło zlewu, gdzie przedtem leżała nieżywa dziewczyna, rozlewała się wielka szkarłatna plama skrzepniętej krwi. Barliet zastanowił się, gdzie właściwie sypiała ta dziewczyna. Ale zaraz się zorientował. W kącie obok starej obdrapanej lodówki stało złożone łóżko polowe. Nie spostrzegł za to nigdzie pościeli. Pomyślał, że przechowywali ją zapewne w wielkiej szafie w przedpokoju. Obok łóżka stała niewielka czarna skrzynka, a właściwie staroświecki kuferek. I on pokryty był warstwą srebrzystego proszku.

– Co jest w tym kuferku? – zapytał.

– Jej rzeczy, panie komisarzu. Nic ciekawego. Oczywiście przeglądaliśmy.

Podniósł się ze stołka i podszedł do kuferka. W środku były spódnice, sukienki, bielizna. Wszystko przełożone jakimś zeschniętym ziołem o silnym, przyjemnym zapachu. W tekturowym pudełku, które się tam też znajdowało, były nici, igły, napaśtek, małe nożyczki, czarny chłopski różaniec z dużych paciorków i kilka listów.

Wszystkie pisane były tym samym starannym, ale niewprawnym charakterem. Wszystkie zaczynały się jednakowo:

„Kochana Angeliko! W pierwszych słowach mojego

listu donoszę ci, że zdrowa jestem i ojciec, i twoja siostra Róża...”

Dalej następowały podobne do siebie wiadomości o sąsiadach, o chrzcinach, weselach i szczęśliwych poślach, o chorobach i śmierci ludzi i zwierząt.

Zniechęcony odłożył listy do tekturowego pudełka i schował je do kuferka. Potem usiadł na stołku i w zamyszeniu spokojnie palił fajkę.

* * *

Siedzieli w małym bistro przy ulicy Świętej Agnieszki. Za oknami rozlewał się wilgotny listopadowy półmrok. Pili czerwone młode wino. Barliet zamówił małże i sałatkę z krewetek i długo się wahał, czy nie lepiej pasowałaby do niej lampka koniaku. Javret i Leclerck nic nie jedli.

Barliet kazał zatrzymać samochód przed tą knajpką, gdy wracali na Quai des Orfèvres, bo był głodny i wiedział, że w takim stanie nie bardzo potrafi pracować. Jadł powoli i ze smakiem, a oni cierpliwie czekali, aż się posili. A kiedy skończył, otarł usta papierową serwetką i powiedział:

– Powtórz jeszcze raz, co było u tego szewca.

Leclerck przyzwyczajony już, że Barliet lubił wystuchiwać nieraz po kilka razy tych samych meldunków swoich inspektorów, powtórzył to, o czym meldował przed godziną.

– To okropne pijaczyny cała ta ich rodzina. Stary był już urzęnięty w trupa, choć jeszcze nie jadł obiadu. Jego żona też nie lepsza. Jechało od niej winem na kilometr. Nie bardzo chcieli ze mną gadać, a szef kazał przecież, żeby traktować ich grzecznie. W końcu

wydobyłem z nich, że młody Bergeret ulotnił się z samego rana i nie mają pojęcia, gdzie się obraca. Sądzę, szefie, że trzeba by go poszukać. Chłopcy z dzielnicowego komisariatu dostawili by go w try miga...

– Nie ma na razie podstaw do takiego dostarczenia...

– Może by się znalazły, szefie – wtrącił się milcząco dotąd Javret. – Pani Aubrun, sklepikarka z sąsiedniego domu, twierdzi, że dwa razy widziała tę Angelikę w towarzystwie młodego Bergereta.

– To nic nie zmienia – upierał się Barliet – to stanowi tylko podstawę do przysłania normalnego wezwania do nas. Na poszukiwania jeszcze za wcześnie...

Barliet czasami lubił trzymać się rygorystycznie przepisów, które w gruncie rzeczy wydawały mu się często śmieszne i niezyciowe.

Zapadło milczenie. Komisarz wyjął z kieszeni fajkę i zapytał:

– A co mówią o tych Marchais?

– Różnie, szefie – odpowiedział Javret. – Na ogół ich lubią i teraz im współczują, ale niektórzy chcieliby im przy okazji podłożyć świnię. Jak zawsze w takich wypadkach.

– Co mówią?

– Nic konkretnego, ale pani Leroux, ich sąsiadka z tego samego piętra, wyznała mi, że po takich świętoszkach to można się było tego spodziewać...

– Mówi, że zabili tę dziewczynę?

– Nie w tym sensie, szefie. Jej raczej chodziło o to, że oni byli za przyzwoici, tacy za bardzo na pokaz... – nie wiedział, jak wyrazić swoją myśl, ale dzielnie brnął dalej – chodzi o to, że nie zdziwiła się zbytnio, kiedy ten balon pewnego dnia pękł z okropnym trzaskiem i

w tej rodzinie wydarzyło się wreszcie coś bardzo pa-
skudnego... Rozumie szef, o co mi chodzi?

– Rozumiem, mały. A jak oni żyją ze sobą? Żad-
nych kłótni, awantur?

– Żadnych. Jedzą sobie z dziobków jak gołąbki, z
tym, że stara trzyma męża pod pantoflem i w rzeczywi-
stości kręci całym interesem. Na zewnątrz jednak stary
zachowuje fason i pragnie uchodzić za głowę rodziny.
Ona to szanuje. Gdy chcą z nią coś załatwić, zawsze
powtarza, że musi zapytać męża, ale w rzeczywistości
to ona o wszystkim decyduje i trzyma kasę.

– Co z synem?

– Nic ciekawego. Nigdzie specjalnie nie podskaku-
je. Uczy się. W zeszłym roku kupili mu motor. Trzyma
go w komórce u dozorczy.

– Jacyś koledzy? Dziewczęta?

– Pewnie i jakieś są, ale nic sąsiadom nie wpadło
w oko.

– Trzeba będzie porozmawiać z tym chłopakiem.

– Oczywiście, szefie. Mogę tam skoczyć po połu-
dniu – zaofiarował się Leclerck.

– Nie potrzeba, mały. Sam z nim jutro pogadam.
No, czas się zbierać.

Dopili swoje wino i przywołali właścicielkę.

* * *

Ranek następnego dnia przywitał Paryż niespodzie-
wanym nawrotem ładnej pogody. Gęste niskie chmury,
które od tygodnia wisiały nad miastem, rozplynęły się
gdzieś nocą i przez szyby okien zajrzało do mieszkań
nieśmiało listopadowe słońce.

Barliet był już od rana w dobrym humorze i podśpiewywał nawet w czasie golenia. Pani Barliet podając mu śniadanie żartowała, że minął się z powołaniem i zamiast babrać się w gąszczu ponurych zbrodni, powinien poświęcić się karierze operowej. To był żart powtarzany przy takich okazjach już od lat dwudziestu, ale Barliet zawsze reagował na to lekko zafrasowaną miną, co ona właśnie bardzo lubiła.

Na Quai des Orfèvres też już nie było ani śladu ospałego nastroju ostatnich dni. U progu jego gabinetu przywitał Barlieta jak zawsze podniecony Leclerck.

– Dzień dobry, szefie!. Są już wyniki sekcji. Ta mała była w ciąży...

Barliet powoli ściągnął płaszcz i powiesił na wieszaku stojącym tuż za jego biurkiem. Potem usiadł, wyciągnął z kieszeni fajkę i powiedział:

– Spodziewałem się czegoś w tym rodzaju. Pokaż protokół.

Studiował go długo i uważnie otaczając się kłębamii dymu. Z protokołu wynikało, że dziewczyna zginęła w wyniku przecięcia ostrym narzędziem naczyń krwionośnych w szyi i że była w trzecim miesiącu ciąży.

Odłożył protokół i zamyślił się.

– Teraz, szefie, koniecznie trzeba będzie przestukać tego syna szewca – zaryzykował Leclerck.

Barliet pokiwał głową:

– Trzeba będzie, i nie tylko jego.

– Szef myślał o młodym Marchais?

– Właśnie. Jego przede wszystkim. Zajmę się tym sam. Ty tymczasem poszukasz mi młodego Bergereta. Sprowadzisz go tu do nas.

– Jasne, szefie. Już się robi.

Kiedy za rozradowanym Leclerkiem zamknęły się drzwi, na biurku Barlieta zadzwonił telefon. Leniwie podniósł słuchawkę.

Dzwonił sędzia śledczy Fevret. Barliet serdecznie go nie cierpiał, więc zeszywniał wewnątrz, gdy usłyszał w słuchawce znajomy głos:

– Komisarz Barliet? Dlaczego pan do mnie dotychczas nie dzwonił? Przecież wiadomo panu, że mamy współpracować w sprawie tego morderstwa przy ulicy Saint-Antoine? Od rana czekam na pana telefon...

W głosie sędziego pobrzmiwał ton łagodnego wyrzutu.

– Zaczynam pracę dopiero o dziewiątej, panie sędzio. Właśnie zamierałem do pana dzwonić. A poza tym nie mam nic specjalnie nowego do powiedzenia. Już wszystko zreferowałem panu wczoraj. Aha, okazało się, że ta dziewczyna była w ciąży...

– To ciekawe, panie komisarzu... Czy zamierza pan kogoś aresztować?

– Jeszcze nie na tym etapie, panie sędzio. Na razie będę prowadził dalsze przesłuchania. Jeżeli pan sędzia chciałby w nich uczestniczyć... – w głosie Barlieta pojawił się cień wahania.

– Nie, komisarzu – pośpiesznie przerwał sędzia – w obecnej chwili nie jest to jeszcze konieczność. Oczywiście, kiedy już pan kogoś aresztuje, wtedy wezmę udział w przesłuchaniach. Proszę mnie zawiadomić, gdyby zechciał pan kogoś aresztować.

– Nie omieszka, panie sędzio.

Odłożył słuchawkę i sapnął z przejęciem, jakby skończył jakąś ciężką pracę. Rozmowy z sędzią Fevret zawsze wyczerpywały go nerwowo. Nigdy właściwie nie mógł zrozumieć, czego naprawdę oczekuje od niego

ten śliski jak węgorz, dobrze ułożony, młody człowiek, wyczuwał tylko instynktownie, że tamten ma mu za złe coś bliżej nieokreślonego i mgławicowego.

Na ulicę Saint-Antoine Barliet pojechał taksówką. Wszedł do małego bistro, jakby był tylko jednym z klientów. Lokal był mały i dość obskurny. Lada ze staroświeckim ekspresem do kawy, gabłota z kanapkami, sześć niewielkich stolików z marmurowymi blatami, a wszystko jakby lekko przysypane warstewką kurzu, którego w rzeczywistości tu nie było.

Marchais królował za bufetem. Robił wrażenie tłu-
stego, najedzonego pająka czatującego w rogu pajęczyny.

Oczywiście poznał Barlieta i jego usta rozciągnęły się w przyjaznym uśmiechu.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Czy wpadł już pan na jakiś ślad?

Jego pytanie zabrzmiało zupełnie naturalnie, jakby pytał o cenę kalafiorów na straganie albo prosił o użyczenie zapalek.

Barliet przysiadł na jednym ze stołków stojących przy ladzie.

– Jeszcze nie, panie Marchais – wyjaśnił nabijając fajkę – jeszcze nie. Ale mogę pana zapewnić, że postaram się wykryć tego, kto to zrobił.

– Nie wątpię, panie komisarzu – poważnie zapewnił Marchais. – Napije się pan czego?

Zamówił czerwone wino. Było młode, ale zupełnie smaczne.

– Pusto dzisiaj u pana – powiedział rozglądając się po lokalu.

– Ruch zaczyna się właściwie dopiero po południu. W naszej okolicy wszyscy o tej porze pracują...

Barliet pokiwał głową ze zrozumieniem, a potem nagle powiedział:

– Ona jednak miała chłopca, panie Marchais. Była w ciąży.

Marchais, który właśnie odstawiał butelkę na półkę, zamarł nagle nieruchomo.

– Coś podobnego! – wykrzyknął po chwili. – A wydawało się, że to taka porządna dziewczyna!

– Porządnym dziewczynom też czasami coś takiego może się przydarzyć.

– Nie powinno, panie komisarzu! – ożywił się gwałtownie Marchais. – Dla mnie porządna dziewczyna znaczy po prostu porządna dziewczyna, a takie się nie puszczają. Gdybym wiedział, że ona...

– Gdyby pan wiedział, że się puściła, nie trzymałby pan jej w swoim domu?

Marchais zmarszczył się, a potem powiedział:

– Właśnie tak, panie komisarzu. Może to niemożliwe, co teraz powiem, ale ja jestem staroświecki i nie wstydzę się swoich poglądów. Dla mnie młoda dziewczyna po prostu powinna być czysta. Tylko takie szanuję i uznaję. Nie ścierpiałbym niemoralności pod swoim dachem. Gdybym wiedział, że Angelika zadaje się poważnie z jakimś mężczyzną, natychmiast usunąłbym ją. Może jestem surowy, za surowy, ale tak mnie wychowano. Mój ojciec był pod Verdun, panie komisarzu...

Barliet nie bardzo rozumiał, dlaczego fakt, że stary pan Marchais walczył pod Verdun, miał wyjaśnić surowość poglądów jego syna, ale zachował te wątpliwości dla siebie. Pokiwał więc tylko głową, dopił wina i zapytał:

– Nie przychodzi panu do głowy, kim mógłby być ten mężczyzna?

Marchais zamyślił się. Objawiło się to intensywnym zmarszczeniem czoła i przymrużeniem oczu.

– Nie mam pojęcia, panie komisarzu... Mówiłem już, że nie wiem, z kim się zadawała. Nie mam pojęcia...

Pomilczał chwilę, a potem przechylił się do Barlieta i konfidencjonalnie zniżając głos dodał:

– Wspominałem już panu komisarzowi o tych plotkach. Ktoś, nie pamiętam już kto, mówił mi, że widział Angelikę z młodym Bergeretem. Wtedy wydało mi się to zupełnie nieprawdopodobne... Ale teraz... Pan go przesłucha, panie komisarzu?

– Oczywiście, proszę pana. Ale na razie chciałbym porozmawiać z pana synem.

Marchais wyprostował się i zeszywniał, a w jego głosie zabrzmiało szczere oburzenie:

– Pan chyba nie przypuszcza, panie komisarzu, że mój syn?...

– Nic nie przypuszczam, proszę pana. Po prostu pana syn jest jedyną osobą z pana rodziny, z którą dotychczas nie rozmawiałem. Nie chcę mu zawracać głowy i przysyłać wezwania do nas, więc sam wpadłem tutaj...

– Mój syn jest obecnie w domu. Jeżeli więc pan komisarz sobie życzy – Marchais nie tracił tonu nieufności i urazy.

– Wpadnę tam na chwilę – powiedział Barliet i niespiesznie dopił wino ze szklanki.

* * *

Otworzyła mu pani Marchais. Przywitała Barlieta jak starego znajomego, ale i ona zeszywniała, gdy wyjaśnił jej cel swojej wizyty. Bez słowa zaprowadziła go do

pokoju Louisa. Zatrzymała się przed wejściem i zapukała do drzwi. Barliet pomyślał, że sam nigdy nie pukał wchodząc do pokoju swej córki.

Młody Marchais okazał się zewnętrznie zupełnie niepodobny do swych rodziców. Szczupły, wysoki, o nerwowej wyrazistej twarzy, młody człowiek ubrany był w ciemnowisniowy sweter i wyszarzałe dżinsy. Zmierzył komisarza niepewnym spojrzeniem i przełknął ślinę.

– Nazywam się Pierre Barliet, jestem komisarzem policji kryminalnej. Chciałem z panem porozmawiać o tym nieszczęściu... Czy mogę usiąść?

– Ależ oczywiście, panie komisarzu. Poznałem pana od razu. Widziałem wiele pana fotografii w gazetach...

Barliet usiadł i wyciągnął z kieszeni fajkę.

– Przyjemnie tu u pana – powiedział. – A pan nie usiądzie?

– Wolę stać, panie komisarzu. Najlepiej rozmawia mi się na stojąco.

– Jak pan woli – zgodził się Barliet – mnie to zupełnie nie przeszkadza.

Pomyślał przez chwilę, a potem powiedział:

– Angelika była w ciąży.

Rozdygotane dłonie Louisa znieruchomiały nagle.

– Czy to... pewne?

– Nie ma najmniejszej wątpliwości. Była w trzecim miesiącu. Czy zaskoczyło to pana?

Louis nic nie powiedział, ale po jego twarzy przebiegł jakiś cień.

Barliet zapalił fajkę i nie zmieniając tonu zapytał:

– Nigdy się pan do niej nie zalecał?

– Panie komisarzu – Louis podniósł głos. – Jak pan może przypuszczać coś podobnego? Ja i ta dziewczyna?

– Nie lubi pan dziewcząt, Louis? Ja w pana wieku...

– Panie komisarzu, ja naprawdę nie mam czasu na dziewczęta... Muszę szybko skończyć studia. W naszym domu się nie przelewa. Mój ojciec...

Barliet westchnął cicho:

– Zdaję sobie sprawę, jakiego rodzaju człowiekiem jest pana ojciec. Wiem, że nie pochwalałby pana, gdyby zamiast nauki uganiał się pan za spódniczkami. Ale młodość ma swoje prawa. Przecież nie wmówi mi pan, że w pana wieku nie interesują pana jeszcze kobiety, zresztą...

Barliet wskazał fajką rozwieszoną nad łóżkiem fotografie wycięte z Playboya:

– Nie woził pan żadnych dziewcząt na motorze?

– Czasem. Koleżanki ze studiów – powiedział Louis i lekko się zaczerwienił – a te fotografie...

– Nie potrzebuje się pan tłumaczyć – uśmiechnął się Barliet – znam życie. Za czasów mojej młodości nie było niestety Playboya. Musiały nam wystarczyć kolorowe pocztówki sprzedawane pokątnie w okolicach placu Pigalle. Zanim się ożeniłem, miałem ich całą kolekcję. Potem żona wszystkie spaliła – pomilczał przez chwilę, a potem ponowił pytanie:

– No więc jak to było? Nie zalecał się pan do Angeliki?

Louis usiadł ciężko na łóżku i zaczął nerwowo wyłamywać sobie palce. Zupełnie jak matka – pomyślał Barliet.

– Panie komisarzu, pan mi nie wierzy, a ja naprawdę nie dowalałem się do Angeliki. To była ładna dziewczyna, ale w tym domu coś takiego w ogóle nie wchodziło w rachubę. To było niemożliwe. Ojciec by

do czegoś takiego nie dopuścił, a i matka też ma oczy otwarte...

– Nigdy pan nie próbował?

– Nigdy, panie komisarzu. Coś takiego nie przyszło mi nawet na myśl.

Barliet pokiwał ze zrozumieniem głową, a potem zmienił temat pytań.

– Czy nie zauważył pan, z kim zadawała się ta dziewczyna?

Znowu jakiś nieokreślony cień przemknął po twarzy chłopca.

– Nie mam pojęcia, panie komisarzu. Nie interesowałem się nią zupełnie. Była, jak by to powiedzieć – zająknął się bezradnie – ona była prawie niezauważalna. To znaczy – poprawił się szybko – oczywiście stale krzątała się po mieszkaniu, sprzątała, gotowała i tak dalej, ale w gruncie rzeczy nie była widoczna. Traktowałem ją tak jakoś...

– Jak sprzęt domowy – powiedział Barliet.

Chłopak znowu się zaczerwienił:

– To jest okrutne, co pan mówi, ale chyba właśnie tak było.

– No dobrze – mruknął komisarz – ale coś pan chyba mógł zauważyć, choćby niechący – nalegał – na przykład jak zachowywała się w sierpniu. To nie tak dawno...

– W sierpniu? Dlaczego w sierpniu? – zdziwił się Louis i poczerwienił jeszcze bardziej.

– Ona była w trzecim miesiącu ciąży, proszę pana – wyjaśnił Barliet – dlatego właśnie pytam o sierpień. A propos – ożywił się nagle. – Czy ona wtedy była tu z wami? A może gdzieś wszyscy wyjechaliście?

Przez dłuższą chwilę Louis milczał i Barlietowi żal

się zrobiło chłopaka. Pomyślał, że gdyby jego syn nie umarł jeszcze jako niemowlę, to byłby teraz niewiele starszy od młodego Marchais. I zrobiło mu się przykro, że mężczy go teraz pytaniami, na które ten sympatyczny, nerwowy chłopiec nie ma najmniejszej ochoty odpowiadać...

– W sierpniu, w sierpniu, panie komisarzu, ona była tutaj. My nie mamy zwyczaju wyjeżdżać w lecie. Nie stać nas na to, panie komisarzu. Ojciec mówi, że urlopy i wakacje to dobre dla leniuchów i nierobów...

– I pan nie wyjeżdża na wakacje? – w głosie Barlieta zabrzmiała nutka współczucia.

– Gdy byłem młodszy, oczywiście wyjeżdżałem. Na obozy i kolonie. W tym roku pozostałem w Paryżu. Miałem zaległy egzamin... Pan rozumie. Tylko mama wyjeżdżała, na kilkanaście dni. Do siostry na wsi...

Znowu zamilkł i zamyślił się. Jego spojrzenie pobiegło gdzieś za plecy Barlieta i znieruchomiało.

– I w sierpniu nie zauważył pan w zachowaniu Angeliki jakiejś zmiany? Nic panu się nie przypomina?

– Nic, panie komisarzu. Zupełnie nic.

Louis był już teraz zupełnie opanowany. Głos jego stał się oschły i wzrok w dalszym ciągu spoczywał gdzieś na ścianie.

– Wielka szkoda – powiedział Barliet. – A teraz pytanie z innej parafii. To tylko formalność – wyjaśnił spieszenie. – Od której był pan wczoraj na wykładach? Z domu wyszedł pan podobno około ósmej...

Twarz chłopaka powlokła się bladością. Znowu zaczęła wyłamywać sobie palce.

– Z domu wyszedłem rzeczywiście o ósmej – powiedział po chwili – ale wczoraj nie byłem na wykładach. Nie poszedłem na wykłady...

- Miał pan randkę? – zapytał obojętnie komisarz.
- Nie, panie komisarzu, nie miałem randki. Po prostu bolała mnie głowa. Poszedłem na spacer...
- W taką pogodę?
- Lubię spacerować w czasie deszczu... Panie komisarzu! – Wybuchnął nagle. – Nie mam żadnego alibi! Dlaczego pan mnie nie aresztuje?! Na co pan jeszcze czeka? Ubrdał pan sobie, że uwiodłem tę małą, a potem bojąc się skandalu zabiłem ją! Dlaczego pan mi nie zakłada kajdanek?!
- Na to zawsze jest jeszcze czas – spokojnie odpowiedział Barliet i uśmiechnął się do chłopaka.

* * *

- Mamy go! – zameldował Javret. – Leclerck przy prowadził go tu przed dwoma godzinami. Siedzi teraz w przechowalni i kruszeje. Czy pan go przesłucha, szefie?
- Barliet powoli rozpiął jesionkę.
- Zaraz z nim pogadam. Ty tymczasem załatwisz coś dla mnie. Weź sobie kogo chcesz do pomocy i sprawdź mi kilka rzeczy. Poczekaj, zaraz ci wszystko wypiszę na kartce, żebyście czegoś nie poplątali.
- Zdjął palto, powiesił je na wieszaku. Usiadł przy biurku i na kartce wyrwanej z bloku wypisał swoim dużym starannym pismem, za które go zawsze chwalono, gdy był jeszcze uczniem, kilka poleceń.
- Weź to i nie zgub. A teraz daj tu tego chłopaka.
- Syn szewca Bergereta nie wyglądał na dostatecznie skruszonego. Mierzył Barlieta przenikliwym spojrzeniem i widać było, że szykuje się do wygarnięcia swoich żalów. Ubrany był w dzinsy i czerwoną kurtkę ze

sztuczne-go tworzywa. Miał długie, chyba dawno nie myte włosy. Barliet zagłębił się w lekturze jakiegoś skoroszytu, który przed sobą położył. Zawarte w nim maszynopisy nie miały nic wspólnego z osobą młodego Bergereta ani nawet z morderstwem przy ulicy Saint-Antoine, ale chłopak nie musiał o tym wiedzieć.

– No tak – powiedział w pewnej chwili zamykając skoroszyt – znowu się spotkaliśmy.

– Nigdy z panem w życiu nie rozmawiałem – burknął chłopak.

– Ze mną nie – pogodnie wyjaśnił Barliet – ale miałeś już do czynienia z policją.

– I co z tego?

– Nic, zupełnie nic. Za co siedziałeś?

– Pan ma tam wszystko napisane – wskazał palcem na leżący na biurku skoroszyt – po co strzępić sobie bez potrzeby język.

– Chcę usłyszeć od ciebie. I radzę ci się nie stawiać. Gdy pożyjesz tyle lat co ja, sam dojdiesz do wniosku, że nie warto drażnić policjantów. Teraz uwierz mi na słowo.

– No niech będzie – parsknął chłopak – siedziałem dwa razy. Raz to było za politykę. W maju w sześćdziesiątym ósmym...

– Co zrobiłeś?

– Kontestowałem oczywiście.

– A konkretnie?

– Wybijałem szyby w sklepach.

– Aha, a za drugim razem?

– Przyłożyłem takiemu jednemu... Akurat gliny się przyplątały... A w ogóle czego przyczepiliście się do mnie? O co teraz znowu chodzi? – ożywił się gwałtownie i prawie już krzyczał. – Pana ludzie zdjęli mnie z

samego rana i przywlekli tutaj. To jest bezprawie! Nie macie prawa mnie aresztować!

– A kto ci powiedział, że jesteś aresztowany? – zapytał Barliet i starannie przypalił fajkę.

Bergeret obrzucił go zdumionym spojrzeniem. Zastanowił się przez chwileczkę, a potem zapytał już o wiele spokojniej:

– To po co ta cała szopka? Po co mnie wyciągnęli z łóżka i nie dali zjeść śniadania?

– Chcę z tobą porozmawiać o dziewczętach, synu.

– O dziewczętach? O co panu chodzi? Nie wolno może podrywać? Wyszedł zakaz?

– Wolno, synku. Ale jeżeli potem takiej poderwanej stanie się coś złego...

– O rany! To wy mnie chcecie zrobić w zaciukanie tej dziewczuchy od państwa Marchais! – w głosie chłopaka zabrzmiało zrozumienie połączone z nutką zdziwienia. – O to wam chodzi?!

– Nie spodziewałeś się?

– Prędeż by mi kaktus wyrósł na dłoni, niżbym o tym pomyślał! Przecież ja jej prawie w ogóle nie znałem!

– Widywali was razem. Ludzie mają oczy...

– No i co z tego? Byłem z nią ze dwa razy w kinie. Ale to było dawno, w sierpniu.

– Potem już jej nie podrywałeś?

– Nie leżała mi, szefie. Nie ten rozmiar.

– Nie sypiałeś z nią?

– Co pan, komisarzu?! Z nią? Z taką cnotką?

Barliet przyjrzał mu się uważnie:

– Przypomnij sobie. To ważne. I nie kręć, synu. Nie radzę ci kręcić.

– Nie mam nic do kręcenia! – zaperzył się Bergeret.

– Cizia była zupełnie nie do życia. Gęś z głębokiej prowincji. W ogóle nic nie rozumiała. W kinie nie pozwalała się nawet złapać za kolano. Można było mdłości dostać – wzruszył ramionami. – Ona była chyba pomyłona. Nie pozwalała się dotknąć...

– A jednak – powiedział powoli Barliet – właśnie wtedy w sierpniu ta niedotykańska puściła się z jakimś chłopcem. O tym wiemy na pewno...

– Bzdura! – wykrzyknął chłopak. – Co mi tu pan zasuwa, nigdy w to nie uwierzę. Przecież sam próbowałem... – zamilkł speszony i obrzucił komisarza szybkim spojrzeniem.

– Więc jednak próbowałeś! – roześmiał się Barliet. – A może jednak ci się udało? No, jak tam było naprawdę?

– Panie komisarzu! – w głosie Bergereta wyczuwało się zdenerwowanie. – Dlaczego miałbym kłamać? Gdyby to była prawda, powiedziałbym panu od razu, że się z nią kochałem. Nie ma przecież w tym niczego złego. No nie? Policja o to nie mogłaby mieć żadnych pretensji. Była przecież pełnoletnia. Tylko Marchais mógłby mi dać po uszach, że niby wnoszę zgniliznę moralną pod jego chrześcijański dach, ale jego to, za przeproszeniem, ja...

– Nie wyrażaj się tak, synu – przerwał mu Barliet. – Interesuje mnie co innego. Powiedz mi, czy tak samo chętnie przyznałbyś się do poderwania dziewczyny, gdyby okazało się, że zaszła w ciążę?

– Angelika była w ciąży? – Bergeret poderwał się z krzesła. – Co za historia!

– Siadaj, synu – Barliet osadził go na miejscu surowym spojrzeniem. – Naprawdę tak cię to zdziwiło?

Nie mówiła ci o tym? Przypomnij sobie dobrze. Kiedy ci o tym powiedziała?

Bergeret bezradnie popatrzył na komisarza, potem nerwowym ruchem poprawił opadające na czoło włosy:

– Panie komisarzu! W co wy mnie chcecie zrobić? I dlaczego właśnie ja mam być podejrzany? Przecież to nie ja zrobiłem jej dziecko! I zresztą niech pan pomyśli! Czy ja wyglądam na takiego, który by się za bardzo przejmował, gdyby jakaś dziewczyna z mojego powodu zaszła w ciążę? Miałbym z tego powodu ją zabijać? Panie komisarzu...

– A jednak – cicho powiedział Barliet – mój mały, jesteś jedyną osobą, z którą Angelika zadawała się na gruncie, że tak powiem, towarzyskim. O nikim innym nie słyszeliśmy. Wczoraj rano wpuściła do kuchni osobę, którą znała. Nikogo obcego by tam nie wpuściła. Znała cię i nie bała się ciebie. Widzisz więc...

– Nie wrobicie mnie w to, przekłęci gliniarze! – wrzasnął Bergeret i ponownie poderwał się z krzesła. – Nie macie prawa mnie w to wrabiać!

– Milcz! – twardy głos Barlieta podziałał na chłopa jak uderzenie. Milcz i siadaj spokojnie! Nie ty będziesz mnie pouczał, do czego mamy prawo, a do czego nie mamy prawa. Ty masz obowiązek odpowiadać na nasze pytania.

– Panie komisarzu...

– Odpowiadaj. Czy w sierpniu tego roku zadawałeś się z Angeliką? – Barliet uświadomił sobie nagle, że właściwie nie pamięta nazwiska zamordowanej służącej, a ściślej musi chwileczkę się namyślić, żeby je sobie przypomnieć. – To znaczy, czy zadawałeś się z Angeliką Trollot?

- Nie zadawałem się. Już mówiłem...
- Chodziłeś z nią do kina.
- Tylko dwa razy...
- Kochałeś się z nią?
- Nie! Nie! Powtarzam jeszcze raz, że nie!
- Czy wiedziałeś, że była w ciąży?
- Nie! Nie zamieniłem z nią słowa od dwóch miesięcy!
- A jeżeli ktoś powie, że widział cię z nią w ostatnich dniach?
- To będzie beczelnie kłamał! Niech mi pan pokaże takiego, który to mówi, niech mi pan tylko pokaże...
- Co robiłeś wczoraj rano?
- A co to pana obchodzi! Mówiłem, że nie mam z tym wszystkim nic wspólnego.
- Co robiłeś wczoraj rano? Przypomnij sobie.
- To co zwykle. Najpierw spałem, potem jadłem śniadanie. Potem wyszedłem z domu.
- O której wyszedłeś? Dokąd?
- Nie patrzyłem na zegarek. A dokąd, to już moja prywatna sprawa.
- Wyobraź sobie, że to jest jednak i nasza sprawa. Będziesz sobie musiał wszystko o dniu wczorajszym przypomnieć i wyliczyć się z każdej minuty. Takie jest życie, synu.
- Z niczego nie będę się wyliczał. Nic wam do tego, co robiłem wczoraj rano – z uporem powtórzył chłopak – nie wasz interes. To nie ja – uśmiechnął się szyderczo – muszę dowodzić swojej niewinności. Wy musicie mi udowodnić, że mam coś wspólnego z tą całą parszywą sprawą. A wy nic nie macie przeciwko mnie, tylko parę babskich plotek. Nic więcej!

Barliet westchnął lekko i położył dymiącą fajkę na skoroszytcie. Popatrzył smutno na zdenerwowanego chłopca:

– Jak chcesz, synu. Chciałem z tobą po prostu pogadać. Ty wolisz, żeby to było oficjalne przesłuchanie. Twoja wola. Zostaniesz oficjalnie przesłuchany.

Nacisnął guzik dzwonka do pokoju inspektorów. Po chwili w drzwiach stanął Javret. Poruszał jeszcze ustami. W lewym ręku trzymał nie do jedzoną kanapkę z serem. Przełknął, otarł usta wierzchem dłoni i powiedział:

– Jestem, szefie.

– Weźmiesz tego chłopaka do siebie i przesłuchasz go oficjalnie do protokołu. Przesłuchasz go na okoliczność jego znajomości z zamordowaną wczoraj Angeliką Trollot i na to, co robił wczoraj między ósmą a dziewiątą rano. Po obiedzie zmieni cię Leclerck. Odpoczniesz trochę i wieczorem znowu go przejmiesz. Rano pójdziesz sobie do domu. Dam ci wolny dzień.

Twarz długowłosego chłopaka stała się zacięta i zła. W spojrzeniu, którym obrzucił Barlieta, było morze nienawiści.

– Nie mam nic do powiedzenia. Powiedziałem już wszystko. Nie powiem więcej ani słowa.

– Powiesz, kochasiu – roześmiał się Javret – widziałem facetów dużo twardszych od ciebie, którzy też pękali. Ty nie znasz jeszcze naszych możliwości.

Podszedł do Bergereta i przyjaźnie klepnął go po ramieniu:

– No, zbieraj się, przyjacielu. Idziemy. Musimy się zabrać do roboty.

* * *

Barliet właśnie zapinał już jesionkę, gdy telefon na jego biurku zadzwonił przenikliwie. Pomyślał, że to pewnie pani Barliet chce się dowiedzieć, czy wróci dziś na obiad, i odczuł lekkie wyrzuty sumienia, że nie zadzwonił dotychczas do żony. Podeszedł szybko do aparatu i podniósł słuchawkę. Usłyszał pełen łagodnego wyrzutu głos sędziego śledczego:

– Komisarz Barliet? Miał mnie pan informować o przebiegu śledztwa...

– Pamiętam o tym, panie sędzio. Nie mam po prostu nic nowego do zakomunikowania...

– Nie prowadzi pan żadnych przesłuchań? – w głosie sędziego odczuwało się teraz nutkę zdziwienia. – Nie przeprowadzono żadnych nowych czynności śledczych?

Barliet poczuł, że się poci. Wprawdzie był w jesionce, co mogło wyjaśniać przyczynę, ale nagle przypomniał sobie, że właściwie odczuwał nieprzyjemną lepkość na karku prawie przy każdej rozmowie z sędzią Fevret. Starając się zdusić narastającą falę zdenerwowania zaczął wyjaśniać:

– Panie sędzio, śledztwo oczywiście toczy się nadal. W tej chwili nawet przesłuchiwana jest jedna osoba...

– Czy ma pan zamiar ją aresztować?

– W tej chwili nie, panie sędzio...

– A kiedy wreszcie dokona pan jakiegoś aresztowania? Jeżeli będziemy zwlekać, prasa dobierze się nam do skóry, oni tylko czekają na taką okazję, panie komisarzu...

Barliet otarł zroszone potem czoło i jękając się lekko odpowiedział:

– Pan sędzia rozumie, że nie mogę przecież

aresztować pierwszej lepszej osoby, którą później będzie trzeba wypuścić. Oczywiście...

– Wszystko rozumiem, komisarzu – przerwał niecierpliwie sędzia – niemniej opinia publiczna domaga się od nas szybkiego działania. Mam nadzieję, że jutro już pan kogoś aresztuje?

– Postaram się, panie sędzio – wybąkał Barliet. – postaram się kogoś jutro aresztować. Tylko, że...

– To świetnie! – wykrzyknął sędzia przerywając komisarzowi. – To znakomicie! Nic tak nie podnosi w oczach opinii publicznej autorytetu organów ścigania, jak sprawność i szybkość działania! Kiedy już pan dokona aresztowania, proszę mnie natychmiast zawiadomić. Włączę się do przesłuchań. Dziś nie mam już czasu, pan rozumie, ważne spotkanie służbowe, czekam jutro na pana telefon! Do widzenia, komisarzu!

Barliet chciał pewne sprawy jeszcze wyjaśnić, ale było już za późno. Zanim zdążył otworzyć usta, usłyszał stuk odkładanej słuchawki.

Westchnął ciężko i przez chwilę zamarł nieruchomo ze słuchawką w ręku. Położył ją na widełki. Pomedytował trochę, potem zadzwonił do żony i powiedział jej, że nie wróci dziś wcześniej.

Obiad zjadł w pobliskiej restauracji „Odèon”. Zamówił zupę rybną i duszonego królika. Wypił dwie duże szklanki czerwonego wina. Potem przyszła mu ochota na calvados. Zamówił lampkę i sącząc ją powoli rozmyślał o prowadzonej sprawie. O młodym Bergerecie, który nie chciał wyjaśnić, co robił wczorajszego ranka, o nerwowym chłopcu, który dziwił się, że nie został zaaresztowany, o pani Marchais, zamieniającej się w sopol lodu, gdy oświadczył, że pragnie porozmawiać

z jej synem, i o panu Marchais, królującym za bufetem swojego bistro na kształt gromowładnego Jowisza. I pomyślał też o nieżywej służącej, prostej dziewczynie z Bretanii, która nie pozwalała chłopcom chwycić się za kolana, a wczoraj zaufała mordercy. O niej Barliet myślał najwięcej.

Kiedy wypił już calvados i zastanawiał się, czy nie zamówić drugiej kolejki, w drzwiach sali restauracyjnej stanął inspektor Leclerck. Rozglądał się niepewnie i dopiero po chwili spostrzegł Barlieta.

Podszedł do niego spieszenie, przeciskając się między stolikami, a Barliet obserwując go pomyślał z bolesnym skurczem serca, że jego własny syn, gdyby żył, mógłby być podobny do młodego inspektora. Była to myśl, na której komisarz łąpał się i iż od kilku miesięcy i której serdecznie nie znośił. Był już więc wewnętrznie naburmuszony, kiedy inspektor dojrzał do jego stolika.

– Czego chcesz? – zapytał oschle. – Czy już nie można spokojnie zjeść obiadu?

Leclerck spieszył się.

– Myślałem, szefie – tłumaczył się pospieszenie – że szef będzie zadowolony, jeżeli zaraz zawiadomię pana o tym, czego się dowiedziałem...

– W przyszłości – głos Barlieta stał się zręczliwy – jeżeli to nie jest kwestia życia i śmierci, nie przeszkadzaj mi przy obiedzie. Ale teraz, jak już tu jesteś, powiedz, czego się dowiedziałeś. Siadaj, synu.

Leclerck poczerwieniał jak rak zalany wrzątkiem.

– Przepraszam, szefie. Ale wydawało mi się...

– Powiedziałem siadaj. Jeżeli już tu jesteś, mów, co masz do powiedzenia.

Inspektor przysiadł niepewnie przy stoliku i zaczął referować:

– Rozmawiałem z czterema klientami. Bardzo łatwo można było ich odnaleźć. Oni przychodzą tam codziennie. To było bardzo proste...

– I co ci powiedzieli?

– Niestety, nie są zgodni. Trzech mówi coś zupełnie innego niż czwarty...

– To się zdarza, synu. Tak jest zawsze. Musisz się do tego przyzwyczaić. Co mówi tych trzech?

– Oni mówią, że było tak jak zwykle, najpierw przyszła ona, a potem dopiero on. Czwarty mówi, że było odwrotnie.

– Ale żaden z nich nie twierdzi, że przyszli razem?

– Nie, szefie. Żaden.

– I to jest chyba najważniejsze, chłopcze – powiedział Barliet i przestał się burmuszyć. – Oczywiście jest jeszcze młody Marchais. Co z nim?

Leclerck natychmiast wyczuł, że humor Barlieta powrócił do normy i ton jego wypowiedzi stał się z miejsca swobodny.

– Z tym, szefie, nie było kłopotów. To sprawdzał inspektor Fouchet. Początkowo myśleliśmy, że to w ogóle nic nie da. Okazało się, że wszystko jest cholernie proste, wystarczyło popytać na uniwersytecie. Od razu znalazło się całe mrowie świadków. On tam był...

– Przez cały czas?

– Przez cały czas, szefie. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego kłamał.

– Chyba zrozumiesz – uśmiechnął się Barliet. – Miał swój cel, żeby kłamać. Tak mi się przynajmniej

wydaje. Wszystko zależy teraz od tego, co wycisną z młodego Bergereta. A propos, jadłeś już obiad?

– Nie, szefie.

– Zamów coś szybko, korzystając z okazji. Dziś przed nocą nie będziesz już wolny. Musisz zastąpić Javreta. Przesłuchuje Bergereta. Zjesz coś i zastąpisz go do wieczora. Powie ci, pod jakim kątem masz zadawać pytania.

– Z przyjemnością, szefie. Wycisnę go jak cytrynę – radośnie oznajmił Leclerck i począł rozglądać się za kelnerką, a Barliet pomyślał, że ten chłopiec zbyt może ochoczo zgłasza się do każdej roboty i manifestuje swoją radość w chwilach, gdy naturalnym odruchem powinno być raczej zniecierpliwienie i po raz już któryś w ostatnich dniach Barliet zastanowił się, czy gorliwość Leclercka nie jest przypadkiem czymś przeznaczonym dla niego, jakąś maską na pokaz, ukrywającą prawdziwe uczucia. Potem jednak przypomniał sobie, że sam będąc w wieku Leclercka również cieszył się z każdego polecenia, jakie otrzymał, i zawstydził się trochę swej odruchowej nieufności.

Leclerck tymczasem przywołał kelnerkę, a Barliet przy sposobności zamówił nową szklaneczkę calvadosu.

* * *

– Muszę dziś kogoś aresztować – powiedział Barliet ocierając serwetką usta – sędzia Fevret spodziewa się tego po mnie.

– Nie musisz przecież słuchać się Fevreta – powiedziała zgryźliwie pani Barliet odstawiając filiżankę z kawą – nie jest twoim przełożonym. Prefekt ceni cię bardzo.

– Sęk w tym – roześmiał się komisarz – że choć Fevret nie jest moim przełożonym, zachowuje się tak, jakby nim był, a ja niestety zupełnie nie potrafię sobie z tym poradzić. Coś mnie paraliżuje, gdy słyszę jego głos – wyznał – nie umiem go przywołać do porządku.

– Mówiłam ci tyle razy – westchnęła pani Barliet – żebyś nie przejmował się tym człowiekiem. Niech sobie zrządzi, taki już ma paskudny charakter. Nie zwracaj na niego uwagi.

– Oczywiście, że nie zwracam – odpowiedział wstając od stołu, ale w głosie jego nie było wielkiego przekonania – niemniej postaram się mu zrobić przyjemność.

Był właściwie w dobrym humorze i gdyby nie to, że wiedział, iż nie uniknie dziś dłuższych konferencji z sędzią śledczym, samopoczucie Barlieta określić by można jako doskonałe. Wprawdzie listopad przypominał sobie, że jest jednak miesiącem jesiennym, i za oknami nie było już śladu wczorajszego słońca, ale nawet uporczywie siąpiący deszcz nie był w stanie zepsuć humoru komisarza. Tak było zawsze w dniach, kiedy zbliżało się rozwiązanie prowadzonej właśnie sprawy. Wtedy pogoda przestawała właściwie istnieć i Barlietowi było zupełnie obojętne, czy pada deszcz, czy też świeci słońce.

Na Quai des Orfèvres inspektorzy natychmiast wyczuli jego nastrój i dostosowali się do okoliczności. Stali się odrobinę bardziej służbiści, a jednocześnie zdawali sobie sprawę, że mogą sobie pozwolić na pewnego rodzaju poufałość, która w innym czasie mogła wywołać odruch niechęci komisarza.

– No i co z tym małym? – zapytał Barliet Javreta,

którego lekko zaczerwienione oczy zdradzały, że ma za sobą nie przespaną noc.

– Pękł, szefie. Teraz śpi. Tu są jego zeznania – wręczył Barlietowi kilka kartek maszynopisu. – O piątej rano podpisał wszystko jak należy. Na każdej stronie.

Barliet pospiesznie przerzucił maszynopis.

– Tak. Trzeba będzie to wszystko sprawdzić – powiedział zapalając fajkę.

– Wydaje się, że mówił prawdę – zauważył inspektor. – Był już tak zmordowany, że me miał chyba siły kręcić.

– W porządku, chłopcze. Sprawdzeniem zajmie się ktoś inny. Ty zmykaj do domu i żebym cię tu przed jutrem nie oglądał.

– Już znikam, szefie. Ale prawdę mówiąc mógłbym dziś popracować. Już mi się odechciało spać...

– Mówię, że nie chcę cię tu oglądać...

– Odmeldowuję się.

Kiedy już sobie poszedł, Barliet przez chwilę studiował jeszcze zeznania Bergereta, a potem wezwał do siebie Leclercka.

– Słuchaj, mały – powiedział – musimy dziś skończyć tę historię. Pan sędzia Fevret cholernie się niecierpliwi, a i mnie znudziło się dreptanie w kółko. Sprowadzisz mi tu ich wszystkich, powiedzmy na dwunastą...

– Kogo mam wezwać, szefie? – zapytał niepewnie Leclerck.

– Wszystkich. Trójkę Marchais i młodego Bergere-ta. Zrobimy konfrontację. Zobaczymy, co mają do powiedzenia. Syn Marchais być może jest na wykładach. Ściągniesz go stamtąd. Bergereta sprowadzi się z aresztu. Starych zabierzesz z ich lokalu. Niech zamykają

zakład na kluczyk i będą tu na dwunastą. Odpowiadasz mi, synu, za to głową, by nikogo nie brakowało.

– Zrobi się, szefie. Będą wszyscy – dziarsko zapewnił Leclerck.

– No to zmykaj i bierz się do roboty.

O dwunastej rzeczywiście nikogo nie brakowało. Siedzieli na przyniesionych z sąsiednich pokoi krzeselkach i niepewnie wpatrywali się w Barlieta. Stary Marchais nie tracił napuszonej powagi i godności, ale i w jego spojrzeniu czaił się niepokój. Pani Marchais była wyraźnie zdenerwowana. Jej prawa powieka drżała lekko. Od czasu do czasu zagryzała nerwowo wargi. Młody Marchais wiercił się niespokojnie na swym krzeselku i bez przerwy gestem dobrze znanym Barlietowi wyłamywał swoje długie palce. Bergeret robił wrażenie człowieka, któremu jest już wszystko jedno. Ponuro zwiesił głowę i wpatrywał się intensywnie w jakiś punkt niebyt czystej podłogi. Komisarz nie spieszył się. Palił fajkę i metodycznie przeglądał leżące przed nim maszynopisy. Pierwszy odezwał się stary Marchais:

– Panie komisarzu – rzekł z godnością. – Chciałbym zaprotestować przeciwko formie, jaką zastosowano ściągając nas tutaj. Jestem obywatelem i płatnikiem podatków. Jestem członkiem zarządu Stowarzyszenia Chrześcijańskich Kupców Miasta Paryża. Wydaje się, że przekroczył pan swoje kompetencje wzywając nas tu w ten sposób. Zostałem dosłownie porwany...

– Niech pan składa skargę – sucho przerwał Barliet. – Przy prefekturze istnieje specjalny wydział skarg i zażaleń. W każdej chwili służę panu dokładnym adresem...

– Nie omieszka skorzystać – sztywno skłonił się Marchais i zamilkł z godnością.

Barliet przez jakiś czas studiował jeszcze maszynopisy, a potem odłożył fajkę i powiedział:

– Zebraliśmy się tutaj, by porozmawiać o śmierci Angeliki Trollot. To była młoda dziewczyna i wcale nie chciała umierać, a mimo to ktoś ją zamordował.

Zamilkł i popatrzył na zgromadzonych, potem dodał:

– Dziewczyna była w ciąży. Morderstwu nie towarzyszył rabunek. Nie stwierdziliśmy, by miała jakichś wrogów. W tej sytuacji jedynym logicznym motywem zabójstwa mogła być chęć zatuszowania sprawy ojcostwa. Ktoś zupełnie nie miał ochoty zostać ojcem nieślubnego dziecka. Zadanie śledztwa sprowadzało się do ustalenia, z kim Angelika zadawała się w sierpniu, kiedy zaszła w ciążę, i jak wygląda alibi osób, które z nią wtedy były związane. Alibi oczywiście dotyczy dnia śmierci Angeliki...

– W sierpniu – powiedział Marchais – Angelika spotykała się z tym chuliganem – palec Marchais wskazał na Bergereta – klienci mi mówili, że widują ich razem. Mam wrażenie, że pan komisarz dobrze zbada jego alibi. Jest czymś głęboko oburzającym, że tacy chuligani, karani sądownie wiele razy...

– W porządku, proszę pana – przerwał Barliet – wszystko wiemy o chuliganach. Mamy ich na oku, panie Marchais. Młody Bergeret rzeczywiście starał się w sierpniu poderwać Angelikę. Był z nią dwa razy w kinie...

– Byłem – wtrącił się obojętnie Bergeret – byłem i przysięgam, że nawet nie pozwoliła się pomacać...

– Pan mu wierzy! – wykrzyknął Marchais. – Przecież

właściwie to on się przyznaje! Uwiódł dziewczynę, e potem zabił!

– Panie Marchais – spokojnie odrzekł Barliet. – Być może ten chłopak uwiódł Angelikę. Ale jej nie zabił. Ma niewzruszone alibi na przedwczorajszy ranek. Od godziny ósmej trzydzieści przebywał w towarzystwie niejakich Franciszka Dauvet i Filipa Becau. Widziało ich razem kilkanaście osób. Ci panowie zajmują się kolportażem holenderskich wydawnictw pornograficznych. Oferują je turystom na placu Pigalle. Bergeret działał wraz z tymi panami. Tego rodzaju proceder jest karalny. Bergeret długo nie chciał się przyznać, że maczał w nim palce. W końcu zrozumiał, że lepiej odpowiadać za rozpowszechnianie pornografii niż za morderstwo. Za pierwsze zamykają na kilka miesięcy, do aresztu, za drugie na ogół ucinają głowę...

– I pan wierzy temu chuliganowi?! – głos pana Marchais dźwięczał szyderczo. – Powinszować policji! Za co my właściwie płacimy podatki!

– Niestety, panie Marchais, zeznanie Bergereta stało przed naszym spotkaniem sprawdzone. On rzeczywiście przedwczoraj rano sprzedawał pisemka pornograficzne. Widziało go wiele osób.

Marchais wzruszył ramionami.

– Pan komisarz zdaje sobie chyba sprawę, że zeznanie takiego typu i osobników jemu podobnych...

– Zdaję sobie sprawę – twardo oświadczył Barliet – zdaję sobie sprawę ze wszystkiego. Między innymi zdaję sobie sprawę z faktu, że doskonale wiecie, kto zabił Angelikę Trollot. Wiecie o tym dobrze i świadomie osłaniacie mordercę.

– Panie komisarzu! – twarz pana Marchais stała się

popielata. – Panie komisarzu! Pan nas obraża! Pan ma do czynienia z poważnymi ludźmi, a nie z pętakami. Wypraszamy sobie takie insynuacje! Pan nie ma prawa nas obrażać!

– Nie mam – spokojnie zgodził się Barliet. – Nie mam i daleki jestem od tego. Po prostu stwierdzam fakty.

– Panie komisarzu!

– Spokój! – głos Barlieta nabrał nagle twardości stali. Uderzył otwartą dłońią w rozrzucone po biurku maszynopisy i powtórzył:

– Spokój! Nie mamy czasu na rozmaite ecie-pecie. Musimy ustalić prawdę. Zrozumiano? A kto będzie mi przeszkadzał – dodał już spokojniej – tego po prostu każę odprowadzić do aresztu. Czy wszystko jasne?

Powiódł po nich wzrokiem. Zastygli na swych krzesłkach i tylko ich spojrzenia zdradzały niepokój. Barliet pyknął kilkakrotnie z fajki, potem potarł czoło wierzchem dłoni i powiedział spokojniej:

– Wracajmy do rzeczy. Jeżeli przyjmujemy, że młody Bergeret nie mógł zabić Angeliki, to w takim razie jest niesłychanie mało prawdopodobne, by był ojcem jej dziecka. Musimy rozejrzeć się za innymi kandydatami.

Zamilkł i przez chwilę wpatrywał się w wieszak, na którym powiesili swoje palta.

– To zdarzyło się w sierpniu. Wtedy pani – wskazał fajką na panią Marchais – wyjechała na kilkanaście dni do siostry. W domu pozostali: pani syn, mąż i Angelika... Angelika była ładną dziewczyną...

– Panie komisarzu – głos pani Marchais przypominał pianie koguta – pan chyba nie sądzi, że Louis...

– Co sądzę, okaże się na końcu – przerwał jej Barliet

– na razie po prostu stwierdzam fakty. Mówiłem już o tym i proszę mi nie przeszkadzać...

– Louis i ta dziewczyna! Przecież to nonsens! Mój Louis...

– Czy mam panią kazać wyprowadzić?

Umilkła, ale widać było, że w każdej chwili może na nowo wybuchnąć. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, komisarz Barliet byłby już z pewnością nieboszczykiem.

– Nie tylko pani syn, ale i pani jest podejrzana. Miała pani wystarczające powody, by zabić tę dziewczynę. Po prostu z miłości do syna. Gdyby doszła pani do wniosku, że przez Angelikę pani syn mógłby zwichnąć karierę... Wydaje się, że w pewnych okolicznościach nie zawahałaby się pani przed zbrodnią...

– Panie komisarzu, jak pan śmie! – młody Marchais poderwał się z krzeselka i zacisnął pięści. – Jak pan śmie mówić coś podobnego!

Barliet usadził go energicznym ruchem dłoni:

– Siadaj, synu! Musisz wiedzieć, że policjanci mają już taką parszywą wyobraźnię i potrafią wydumać sobie rzeczy najbardziej paskudne. To takie obrzydliwe zawodowe skrzywienie. Ale możesz być spokojny. Twoja matka nie zabiła tej dziewczyny. Ty o tym zresztą wiesz doskonale.

Przerwał i popatrzył na nich surowo.

– Pani Marchais nie mogła zabić Angeliki Trollot. Przedwczoraj od ósmej trzydzieści rano do godziny dziesiątej przebywała w barze. Czterech klientów może poświadczyć jej alibi. Angelika zginęła gdzieś między godziną dziewiątą a dziesiątą trzydzieści.

– Panie komisarzu! – histerycznie krzyknął młody Marchais. – Na co pan właściwie czeka?! Przecież to ja

właśnie nie mam alibi na ten ranek. Dlaczego pan mnie nie zaaresztuje? Pytałem się, i to już wczoraj.

Wyraz bezgranicznego zdumienia odmalował się na nalanej twarzy pana Marchais. Bezgłośnie poruszył kilkakrotnie wargami, a potem powiedział:

– Czy ty przypadkiem nie zwariowałeś? Synu, opamiętaj się!

– Właśnie, że nie! – krzyknął Louis. – Nie potrzebuję żadnych pouczeń! Wiem, co mówię!

Barliet westchnął cicho i podrapał się w tył głowy. Ten chłopak coraz bardziej zaczynał mu się podobać. Jego spontaniczność była wzruszająca. Popatrzył przez chwilę na deszcz siąpiący za oknem, na zmoczonego gołębia przycupniętego na parapecie i zebrał się w sobie, aby mieć siłę sprawić przykrość temu sympatycznemu chłopcu. Powiedział:

– Na razie nie interesują mnie twoje okrzyki. Chciałbym, żebyś odpowiedział jasno na kilka pytań. Po pierwsze, czy w sierpniu tego roku korzystając z wyjazdu matki utrzymywałeś intymne kontakty z zamordowaną dziewczyną?

– Uważaj, Louis! Nie odpowiadaj na to pytanie – głos starszego pana Marchais stał się nagle suchy i rzeczowy. – Nie odpowiadaj na żadne pytanie bez adwokata...

– Louis ma oczywiście prawo zażądać obecności adwokata – pogodnie stwierdził Barliet. – Osobiście nie widzę jednak żadnej ku temu konieczności. Przecież go o nic nie oskarżam.

Louis obrzucił ojca niechętnym spojrzeniem i oświadczył:

– Nie potrzebuję adwokata. Na pytanie to panu

odpowiedziałem już wczoraj. Nie mam nic do dodania.

Barliet uśmiechnął się do chłopca:

– Czy bardzo kochasz ojca?

– To nie ma nic do rzeczy! – zaperzył się chłopak.

– Gównu panu do tego, kogo kocham, a kogo nie!

– Tak sądzisz? – uśmiech nie ustępował z twarzy Barlieta. – Sądzę, że jednak bardzo go kochasz. Chciałbym mieć takiego syna. Niestety jednak prawdę trzeba ujawnić...

– Co pan ma na myśl?!?

– Prawdę, synu. Tylko prawdę.

– Dlaczego pan męczy to dziecko!? – w głosie starszego Marchais zabrzmiały patetyczne tony. – Złożyłem skargę do prefekta...

– Nie jest pan godny takiego syna – spokojnie powiedział Barliet – ani takiej żony. Żona skłamała dla pana. Wybaczyła panu wszystko i skłamała. Syn chciał się dla pana poświęcić i wziął na siebie ciężar podejrzeń...

– Co pan mówi... wybełkotał Marchais i twarz jego stała się purpurowa – co pan mówi...

– Prawdę, proszę pana. A prawda wygląda tak. W sierpniu, gdy żona wyjechała do krewnych, zainteresował się pan Angeliką. Uległa panu. To zresztą typowe dla tych dziewczyn ze wsi. Niedostępna dla chłopców z zewnątrz, nie mogła odmówić gospodarzowi. To jest zgodne z tradycją, proszę pana. Z wiejską tradycją. I potem wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że dziewczyna zaszła w ciążę. Ujawnienie tego dla pana byłoby ostateczną klęską. Byłoby końcem świata. Pan, wzór wszelkich cnót chrześcijańskich, ojcem nieślubnego dziecka? Członek zarządu Stowarzyszenia

Chrześcijańskich Kupców Miasta Paryża? To było nie do pomyślenia – przerwał i zaciągnął się fajką. – Pan wolał zabić i zlikwidować sprawę raz na zawsze...

– Pan, pan... jak pan śmie, ja... – zabełkotał Marchais i oczy wyszły mu z orbit. – Ja pana...

– I może by się to panu udało – spokojnie kontynuował Barliet – gdyby nie pana najbliżsi. Gdyby nie ci, którzy pana kochali. Żona i syn. Syn kochał pana tak bardzo, że gotów był na siebie wziąć ciężar podejrzeń. W sierpniu pod nieobecność matki, Louis musiał zaobserwować pana zaloty do Angeliki. Kiedy wczoraj z nim rozmawiałem, nagle uświadomił sobie, że to tylko pan mógł być mordercą. I podjął decyzję, która przynosi mu zaszczyt jako dobremu synowi. Chciał skierować podejrzenia na siebie. Powiedział, że w dniu morderstwa nie był na wykładach i nie ma odpowiedniego alibi. Ale policja jest dokładna, proszę pana – Barliet odłożył fajkę i splótł ręce – stwierdziliśmy, że przedwczoraj Louis Marchais na wykładach był obecny i w żaden sposób nie mógł zabić Angeliki Trollot. W tej sytuacji powstało pytanie, musi pan to przyznać, kogo pana syn chciał ochronić kierując na siebie podejrzenia. Sytuacja była jednoznaczna...

Barliet znowu ujął fajkę i zaczął w niej gmerać metalowym przyrządem, zakupionym przed kilkoma dniami, który miał zastąpić kawałki miedzianego drutu, jakimi się dotychczas posługiwał. Po chwili przerwał milczenie, podniósł oczy znad fajki i powiedział:

– Jeszcze bardziej charakterystyczne było zachowanie pani Marchais. Po prostu stworzyła fałszywe alibi. Nie sądzę, żeby była pana współniczką, ale szybko domyśliła się wszystkiego i postanowiła ująć sprawę

w swoje ręce. Pani Marchais jest w gruncie rzeczy głową waszej rodziny – tu Barliet skłonił lekko czoło w kierunku kobiety – i załatwia sama wszystkie zawile rodzinne sprawy. Oświadczyła mi, że przedwczoraj o ósmej piętnaście razem z mężem udała się do waszego baru. To była nieprawda, panie Marchais. Pan przyszedł do baru dopiero za piętnaście dziesiąta. Stwierdziło to aż trzech klientów pańskiego bistro... Miał pan aż za wiele czasu, żeby zabić tę dziewczynę. Morderca nie potrzebował przychodzić z zewnątrz. Angelika nie otwierała nikomu drzwi. Morderca był wewnątrz mieszkania, a ofiara niczego się nie spodziewała...

– Pan nie ma prawa... – wysapał Marchais – przecież to wszystko brednie! Jestem niewinny!

– Niewinnym osobom nie jest potrzebne fałszywe alibi, panie Marchais – spokojnie stwierdził Barliet – a pan ani słowem nie sprostował twierdzenia żony, że przedwczoraj razem zeszliście do baru. To chyba przesądza sprawę.

Patrzyli na niego, a spojrzenia ich były ciężkie i naderżone nienawiścią. Odwrócił wzrok i bezmyślnie zaczął przewracać kartki maszynopisu rozłożone na staroświeckim biurku. Potem kiedy miał już zamiar zawołać Leclercka, by wyprowadził Marchais, ustawiony na biurku telefon zadzwonił przenikliwie.

Ujął słuchawkę. Posłuchał przez chwileczkę, a potem powiedział:

– Dzień dobry, panie sędzio... Oczywiście, że nie zapominam o panu... Właśnie chciałem do pana zadzwonić. Chcę dokonać aresztowania... Nazywa się Lucjan Marchais. Był jej pracodawcą... Oczywiście, zaraz go pan przesłucha. Odsyłam go do pana z całą

dokumentacją ...Słucham? Ależ tak Możemy go przesłuchać wspólnie! Do zobaczenia, panie sędzio.

Odłożył słuchawkę na widelki i odruchowo otarł lekko spocone czoło. Listopadowy deszcz za oknem mżył równomiernie, a przemoczony gołąb wolno spacerował po parapecie.

SPROWADŹ MI MĘŻA, BARLOW!

czyli

morderstwo po amerykańsku

Jeszcze raz delikatnie pociągnąłem nosem i tym razem poznałem ten zapach. Nie mogłem się pomylić. To była marihuana. Ktoś w tym pokoju, zupełnie niedawno, musiał sobie nieco popalić. Mimo klimatyzacji w powietrzu unosił się mdlący zapaszek. Nie wyglądała jakoś zupełnie na taką, która lubi sobie popalić. Nie pasowała.

Była tłusta. Dosyć stara i tłusta. Włosy miała oczywiście ufarbowane. Siedziała w głębokim fotelu i patrzyła na mnie. Przyglądała mi się uważnie, a miała przy tym minę, jakby naprzeciw niej siedział nie facet w średnim wieku, z początkami łysiny, ale zdechły szczur albo coś równie obrzydliwego.

W długich palcach zakończonych jaskrawo czerwonymi szponami obracała moją kartę wizytową.

– A więc to pan jest tym prywatnym łapaczem, którego mi polecono. Muszę przyznać, że nie wygląda pan na spryciarza.

Pomyślałem, że wielu facetów sparzyło się już noim nijakim wyglądem, ale nic nie powiedziałem. Uśmiechnąłem się tylko możliwie jak najuprzejmiej.

– Zresztą nie lubię za bardzo sprytnych facetów – dodała – wie pan, o jakich mi chodzi.

Nie bardzo wiedziałem, ale na wszelki wypadek grzecznie przytaknąłem ruchem głowy.

Zapadło milczenie. Nie spieszyła się z wyjaśnieniami, czego chce, a ja nie widziałem najmniejszego powodu, żeby ją poganiać. Miałem mnóstwo czasu.

– Panie Barlow – zdecydowała się w końcu – chcę pana wynająć.

Nie poruszyłem się i nie przestałem się uśmiechać.

– Jaka jest pana taksa?

– Zależy za co, proszę pani – wyjaśniłem grzecznie – nie podejmują się każdej roboty. Na przykład za chińskiego boga nie chciałbym nigdy choćby o włos przekroczyć zakazów prawa. Nawet za najwyższe honorarium.

Roześmiała się. Przypominało to trochę zapuszczanie silnika w zdezelowanym samochodzie.

– Nie wiedziałam, że ma pan tak delikatne sumienie Barlow. Ci, którzy mi pana polecali, jakoś mi o tym nie wspominali...

Pomyślałem, że dobrze by było zapytać, kto mnie właściwie jej polecił, ale dałem spokój. Nie było to w końcu najważniejsze.

– Otóż, panie Barlow, nie będę wymagała od pana niczego, co mogłoby zranić pana delikatne sumienie. Ale jednego będę wymagała. Dyskrecji.

– Droga pani – powiedziałem – firma Barlow nie ma zwyczaju zdradzać tajemnic swoich klientów. Może pani mówić spokojnie.

Zmierzyła mnie od stóp do głowy sceptycznym spojrzeniem, a jej obwisłe, wypełnione sadfem podgardle

zafalowało nieprzyjemnie.

– Widzi pan – powiedziała – ukradziono mi pewien przedmiot. Ściślej, naszyjnik z pereł. Wiem, kto go ukradł. Po prostu chciałabym mieć ten naszyjnik z powrotem.

– To jest robota akurat dla policji...

Przerwała mi niecierpliwie:

– Niech pan nie zawraca głowy. Policja nie ma nic do tego, Nie chcę żadnych glin wtykających nosy w moje sprawy. Tak samo jak na naszyjniku zależy mi i na dyskrecji...

– To taka rodzinna kradzież? – zapytałem domyślnie. – Syn? Córka?

– Nie mam dzieci – warknęła ponuro. – Skąd panu przyszło do głowy, że mam dzieci?

Wzruszyłem ramionami.

– Po prostu tak sobie pomyślałem. Ludzie najczęściej nie chcą zawiadamić policji, gdy chodzi o syna lub córkę.

– W moim wypadku – sapnęła gniewnie – nie chodzi o dzieci. Chodzi o męża.

Przerwała i przyjrzała mi się uważnie. Milczałem dyplomatycznie. Przez chwilę jakby zmagająca się z sobą, a potem dodała wyjaśniająco:

– Jest młodszy ode mnie. Trochę młodszy i bardzo głupi. Ale ja go kocham...

– I on ukradł pani naszyjnik?

– On podarował go tej zdzirze. Wiem o tym.

– Jest pani pewna, że to mąż zabrał ten naszyjnik? Nikt inny? Może ktoś ze służby?

– On. Nikt inny nie mógł dostać się do szkatułki.

– Czy chce pani wystąpić o rozwód?

– Nie. Powiedziałam, że kocham tego sukinsynka. Chcę, żeby pan odebrał naszyjnik od tej zdzirzy. I chcę, żeby on się przestraszył, żeby wreszcie zrozumiał, że nie wolno mnie bezkarnie wodzić za nos.

Chcę, żeby wrócił do domu.

– To trudna sprawa, proszę pani. To będzie kosztować i za skutki nie bardzo mogę ręczyć.

– To znaczy, że mam wyrzucić pieniądze w błoto?

– Nie ująłbym tego w ten sposób – powiedziałem spokojnie. – Da mi pani jedną setkę zadatku. Pokryję z tego niezbędne koszty. Gdyby mi się nie udało, z zadatku odliczy się koszty i moje honorarium w wysokości jednego dziesiątaka dziennie, a resztę zwrócę pani. To znaczy zwrócę, jeżeli mi się nie uda z tym naszyjnikiem. Jak mi się powiedzie, dorzuci mi pani jeszcze cztery setki, a ja wystawię oddzielny rachunek kosztów własnych. Urządza to panią? Mnie się wydaje, że jednak potrafię rozejrzeć się za tym naszyjnikiem i wszystko będzie w porządku...

– Nie chodzi mi tylko o ten naszyjnik – warknęła – chcę mieć jeszcze i tego sukinsynka w domu. Szlag mnie trafia, gdy pomyślę o tej zdzirze!

– Postaram się, żeby i on wrócił. To się chyba da zrobić, jeżeli rzeczywiście buchnął te perły. Ale czy pani naprawdę tak na nim zależy? Najprawdopodobniej spietra się, że go pani może wsadzić do pierdła za te perełki, i grzecznie wróci do domu. Ale będzie pani cholernie nienawidził i nawieje przy pierwszej okazji, wtedy gdy już nie będzie pani miała na niego żadnego haka...

– Nie pana zafajdany interes, co będzie potem. Na

razie chcą panu zapłacić parą setek za to, żeby teraz wrócił do domu i przyniósł w zębach ten naszyjnik...

– W porządku. Jak sobie pani życzy. Ale jeżeli mam się zabrać do tej sprawy, muszę wiedzieć coś bliższego o pani mężu, o tej zdzirze i o tym naszyjniku.

Opowiedziała mi o mężu, o zdzirze i naszyjniku. Zapisalem sobie to i owo. Potem dała mi zadatek. Podziękowałem, pożegnałem się i wyszedłem. Pod koniec mojej wizyty była już zniecierpliwiona i wyraźnie czekała, kiedy sobie pójdą.

* * *

Zaparkowałem wóz koło małego baru na jednej z przecznic Sunsetu. Od rana nic nie jadłem, nie piłem i w żołądku kręcił mi się nielichy korkociąg. Jednocześnie zalewałem się potem, bo pogoda była cholernie dobra i na niebie nie widać było ani chmurki. Kilkakrotnie ocierałem chustką czoło i teraz można ją było wyżąć. Ale mimo tego nie wstąpiłem nigdzie po drodze na drinka ani na coca-cola, tylko przebijałem się przez zasmrodzone spalinami ulice, aż do tego baru. Lubią solidnie załatwiać sprawy, których się podjąłem, i wiedziałem, że, zanim zabiorą się do roboty, powinienem pogadać z Joe Carprightem.

Nie zawiodłem się. Siedział w tym barze kiwając się monotonnie nad pustą szklanką i obojętnym wzrokiem omiatał ściany, ladą, za którą urzędował mały skrzywiony barman, i kąt, w którym ustawiono telewizor.

Usiadłem obok niego i na powitanie pstryknąłem palcami w rondo kapelusza. Nic nie odpowiedział. Zachowywał się tak, jakby mnie nie zauważył. Zamówiłem

podwójnego bourbona dla niego i dla siebie, a potem już tylko dla siebie coca-colę i sandwicze.

Wypiliśmy. Zabrałem się do jedzenia. A kiedy skończyłem, powiedziałem:

– Mam, stary, klientkę. Chciałbym się o niej czegoś bliższego dowiedzieć. Nazywa się Mitford. Pani Eve Mitford.

Pomyślał przez chwilę, co objawiło się ściągnięciem skóry na czole. Potem powiedział:

– Postaw mi jeszcze podwójną.

Zamówiłem whisky dla niego i dla siebie i czekałem cierpliwie na to, co mi opowie. Teraz już wiedziałem, że trafiłem dobrze i uzyskam potrzebne informacje. Joe nigdy nie domagał się kolejnego poczęstunku, jeżeli nie miał niczego do powiedzenia. A miał wiele do opowiadania. Przez dwadzieścia lat był reporterem miejskiego działu *Los Angeles Times* i odznaczał się fotograficzną pamięcią. Kiedy wylano go z pracy przed pięciu laty, zakotwiczył się na stałe w tym barze i udzielał informacji wszelkim potrzebującym. Oczywiście za odpowiednią opłatą.

Wypił, obtarł usta wierzchem dłoni i powiedział:

– Płać, synu. Przypadkowo wiem co nieco o tej babce. Wyciągnąłem z portfela banknot pięciodolarowy i położyłem go obok jego szklaneczki.

Popatrzył na paperek. Skrzywił się okropnie.

– Nie jesteś hojny, synu.

– Sam jestem potrzebny. Nie stać mnie na więcej.

Westchnął ciężko i pokiwał głową. Jego oczy pozostały nieruchome i bezbarwne jak woda w głębokiej studni, z której nikt nie czerpie.

– Ciężkie czasy, synu. Ale niech już tak będzie. Ta

babka jest cholernie twarda. Tak przynajmniej o niej mówią. Przez wiele lat kręciła się przy giełdzie. Nakręciła sobie sporo dziaćków. Miała szczęście i nie słyszała o tym, co ludzie nazywają skrupułami. Jak stuknęła jej pięćdziesiątka, wycofała się z interesów. I wyszła za męża.

– Dopiero wtedy?

– Dopiero. Przedtem miała kilku chłopców do łóżka od czasu do czasu. Ale nie za często. Szajba jej odbiła dopiero, gdy stuknęło jej pół wieku. Kupiła sobie męża, Franka Mitforda...

– Co wiesz o nim?

– Gardło mi zaschło.

Zamówiłem następną kolejkę.

Wypiliśmy.

– Ten Frank to taki niewydarzony artysta – powiedział – miał kiedyś wernisaż w Nowym Jorku. Ale mu nie wyszło. Podobno krytycy się na niego zawzięli. Przyjechał do nas przed trzema laty. Chciał się zacześcić przy filmie. Też nie wyszło. Zdechłby chyba z głodu albo zabrał się do uczciwej roboty, gdyby nie ta babka. Kupiła go na męża. Dostała bzika na jego punkcie.

– Dużo jest od niej młodszy?

– Chyba ze dwadzieścia lat.

Pomyślałem przez chwilę i przypomniałem sobie o słodkim zapachu wypełniającym pokój pani Mitford. Zapytałem:

– Czy on zażywa narkotyki?

Joe wzruszył ramionami.

– Cholera go wie. Oni prawie wszyscy, ci artyści, coś pociągają. Taki u nich obyczaj.

– A pani Mitford?

– Nie nudź, synu. Nie wiem. Postaw mi jeszcze lepiej coś do picia. Na przykład piwko.

* * *

Ten pokój był błękitny. Cholernie błękitny. Ściany były pokryte niebieską tapetą, pościel na łóżku była także niebieska, a dziewczyna siedząca na stołku miała błękitne oczy i szlafroczek. Nawet nie starała się go obciągnąć, tak że mogłem oglądać jej długie opalone nogi wystające beczelnie spod rozchylnych fałdów.

– Nie rozumiem, po co właściwie pan do mnie przyszedł – powiedziała i sięgnęła po papierosa z roz-poczętej paczki, leżącej na stole.

Podsunałem jej zapalniczkę.

– Tłumaczyłem pani, że przychodzę tu z polecenia pani Mitford.

– Powinam pana wyrzucić stąd na zbity pysk.

– Ale nie zrobiła pani tego. Możemy więc poroz-mawiać.

– Czego właściwie pan chce? Pierwszy raz w życiu rozmawiam z prywatnym gliną i czuję się dosyć głupio.

– Przyzwyczaj się pani. Do wszystkiego można się przyzwyczać.

– Nie wiem, czy będę miała na to ochotę.

– Będzie pani. Mogę to pani obiecać. Zwłaszcza, że mam wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia.

– To niech pan mówi. Nie mogę się doczekać.

– Chodzi mi o pewien naszyjnik z pereł. Podarował go pani Frank. Pan Frank Mitford;

Jej błękitne oczy stały się nagle czujne i nieprzyjemne w wyrazie.

– Nikomu nic do tego, co mi podarował Frank. To moja prywatna sprawa.

– Niekoniecznie – powiedziałem. – Czasami przyjęcie podarunku może człowieka zaprowadzić na ławę oskarżonych pod zarzutem paserstwa, jeżeli ten podarunek jest kradziony.

Mierzyła mnie swym błękitnym spojrzeniem i paliła papierosa.

– Jesteś trochę za cwany, przyjemniaczku. Zanim człowieka skażą za paserstwo, trzeba udowodnić, że wiedział, iż taki przedmiot pochodzi z kradzieży...

– To nie będzie trudno, ślicznotko – powiedziałem sięgając po papierosa z paczki leżącej na stole – a nawet, jeżeli cię nie skażą, to i tak stracisz ten naszyjnik i nabawisz się mnóstwa kłopotów...

– Jakich kłopotów?

Zapaliłem papierosa, zaciągnąłem się wonnym dymem i wyjaśniłem jej:

– Będziesz oskarżoną w nieprzyjemnym procesie. Prasa będzie o tym pisała. Wyobraź sobie tytuły: „Striptizerka oskarżona o paserstwo”, „Zdejmowała majtki, ale nakładała perły”. Nie mam zresztą wyobraźni. Chłopcy z gazet wymyślą z pewnością bombowe tytuły, o jakich nam się teraz nawet nie śni. Tego rodzaju reklama z pewnością ci nie pomoże. Żaden właściciel lokalu nie będzie chciał zatrudnić striptizerki z sądową przeszłością, nawet jeżeli w procesie cię uniewinnią i tylko przekażą perły właścicielce...

– Trujesz, kochany. Nawet jeżeliby doszło do procesu, nie będzie tak źle. A w ogóle to radziłabym ci zmywać się stąd jak najprędzej. Za chwilę będzie tu Frank. Dzwonił do mnie. On nie ma poczucia humoru.

Może cię uszkodzić, przyjemniaczku... Ja też mogę ci zrobić krzywdę...

Teraz ja wzruszyłem ramionami.

– Z Frankiem też muszę pogadać. Jego żona chce go oskarżyć o kradzież. I nie widzę, dlaczego nie mogłaby tego zrobić. W ich małżeństwie istnieje ścisły podział majątkowy. Tak spisano w intercyzie. Perły należą do pani Mitford i do nikogo więcej. Twój Frank jest po prostu złodziejem i nietrudno to będzie udowodnić...

– Spróbuj, kochanie. Warto zawsze próbować...

Gdzieś za moimi plecami zachrobotało coś przy drzwiach. Podniosłem się i odwróciłem w tamtą stronę. Drzwi były zamknięte i nikt nie wchodził do błękitnego pokoju. Za plecami usłyszałem jej głos:

– Możesz wejść, Frank. Jest tu ze mną tylko prywatny glina, wynajęty przez twoją żonę. Daj mu wy-cisk!

Postąpiłem kroczek w stronę drzwi. Jeżeli, jak mówiła ta dziewczyna, ten facet był naprawdę taki ostry, to rzeczywiście mogło dojść do draki.

Nie doszło. Potężny cios w tył głowy zachwiało mnie na nogach. Jęknąłem i niemrawym ruchem sięgnąłem pod marynarkę, gdzie na rzemiennym uchwycie wisiał mój automatyczny colt 38. Wtedy dostałem po głowie po raz drugi. Tym razem jeszcze mocniej. Błękit tapet spłynął mi na oczy i mózg, i utonąłem w tym błękitcie.

* * *

To nie była moja głowa. To z pewnością była głowa kogoś innego, tylko przejściowo umieszczona na moim obolałym karku. Tak mi się przynajmniej wtedy wydało. Poruszyłem tą nie swoją głowę i zaskowyczałem

z bólu. Ale ze mnie jest twardy facet. Nie łamię się z byle powodu. Nie chciałem więc łamać się tylko dlatego, że wymienili mi głowę. Zacząłem więc kłąć.

Kłąłem długo i z przejęciem. Potem spróbowałem się podnieść. Błękitne ściany wirowały i waliły się na mnie. Wiszący u sufitu żyrandol wyciągał ku mnie swoje łapska. Stół przykryty błękitną serwetą twistował zawzięcie na swych czterech nogach, a niebieska pościel na rozestłanym łóżku falowała łagodnie, jak tafla wody w ogrodowej sadzawce.

Tylko ona była nieruchoma. Nieruchoma i martwa jak woskowa figura z muzeum okropności. Bo rzeczywiście wyglądała okropnie.

Leżała na wznak na tym łóżku. Błękitny szlafroczek rozchylił się, odsłaniając opalony na ciemnoczekoladowy kolor brzuch, długie nogi i kształtne, sterczące piersi. Jasnoblond, prawie białe włosy spływały miękką falą z niebieskiej poduszki. Za to na twarz lepiej było nie patrzeć. Dostała pocisk dużego kalibru gdzieś między oczy. To naprawdę nie był przyjemny widok.

– O Jezu – powiedziałem. – O Jezu, ale cię urządzili, laleczko... Potem zobaczyłem pistolet. Automatyczny colt kaliber 38. Leżał na podłodze, na samym środku puchatego niebieskiego dywanu. W powietrzu unosił się silny smród spalonego prochu. Papużka w fikuśnej klatce, zawieszona koło okna, przewijała się beztrosko wokół swojego drążka.

Pomyślałem, że znam ten pistolet. Ukucnąłem na środku pokoju i zacząłem mu się przyglądać. Potem sięgnąłem pod marynarkę. Rzemienienny uchwyt, na którym wieszam zawsze swoją spluwę, dyndał sobie swobodnie i wesoło, nie objuczony żadnym ciężarem.

Teraz nie miałem już najmniejszych wątpliwości. To był mój pistolet. Posłużono się nim wtedy, kiedy leżałem ululany dwoma ciosami w potylicę.

Nie dotknąłem pistoletu. Coś kołatało mi się pod czaszką na temat odcisków palców. Nie bardzo jeszcze sobie uświadamiałem, o co chodzi, ale już rozumiałem, że nie powinienem dotykać tego pistoletu.

Podniosłem się ciężko i usiłowałem wyprostować. Wirowanie pokoju powoli ustawało, ale głowa w dalszym ciągu nie należała do mnie. Poszukałem wzrokiem barku. Stał sobie w kącie pokoju, obok wielkiego telewizora. Podszedłem do niego. Na szczęście nie był pusty. Stała w nim butelka whisky i ginu. Sięgnąłem po whisky. Pociągnąłem sobie raz i drugi. A może i trzeci. Potem powiedziałem:

– Dość, kochany. Zalejesz się jak świnia. Na whisky będzie czas potem. Teraz zapalisz sobie papieroska.

Sięgnąłem do kieszeni. Pod palcami, tuż obok paczki cameli, poczułem jakiś obcy przedmiot. Właściwie wiele drobniotkich przedmiocików. Rząd maleńkich kuleczek nawleczonych na sznurek. Bezmyślnie wyciągnąłem to z kieszeni i podniosłem na wysokość oczu. To były perły. Sznur pięknych dużych pereł, białych, o różowawym odcieniu.

I wtedy otworzyły się drzwi i weszli oni. Dwaj policjanci z pistoletami w dłoni. Obejrzelі sobie wszystko.

– W porządku, przyjemniaczku – powiedział jeden kierując lufę pistoletu w kierunku mojego brzucha – stoj spokojnie i podnieś ręce do góry.

Stałem spokojnie i podniosłem ręce. Nie dyskutuję z ludźmi, którzy kierują we mnie lufę pistoletu,

– Obszukaj go, Jack.

Drugi glina podszedł do mnie i obmacał mnie fachowo. Od razu znalazł zawieszony pod marynarką pusty uchwyt na pistolet. Popatrzeli na ten uchwyt, na mnie i na broń porzuconą na środku puszystego dywanu.

– Twoja maszyna? – zapytał wyższy z nich, ten, który pakował mi lufę do brzucha.

– Nie wiem – powiedziałem.

– O rany, on nie wie – zdziwił się drugi – nie wie, czym wykończył tę babeczkę. Opuść łapy i podaj nam te perły.

Opuściłem ręce i podałem im naszyjnik.

– Ładne kuleczki. Czyje to?

– Nie wiem.

– Znalazłeś pewnie na ulicy, jak szedłeś do tej cizy...

– Nie będę z wami rozmawiał. Poczekamy na chłopaków z wydziału zabójstw. Wy róbcie swoje i nie bawcie się w detektywów.

Wyższy glina uśmiechnął się miękko.

– Jack, ten przyjemniaczek nie chce z nami gadać. Widziałeś, jaki ważny?

– Widzę, Bob. To jakiś bardzo ważny facet. Pewno ma tatusia w senacie i nie będzie sobie strzępił języka na rozmowy ze zwyczajnymi glinami.

– Nie chcesz rozmawiać? – zapytał jeszcze raz wyższy i nie przestawał się uśmiechać.

– Nie z wami.

Schował pistolet do kabury, a potem z rozmachem, na odlew trzepnął mnie po twarzy. Moja głowa zakotyła się jak kwiatek na wietrze. Splunął i uderzył mnie po raz drugi. Poczułem, że z nosa zaczyna kapać mi krew.

– Rozkwasileś mu mazak, Bob – powiedział ten niższy – ładna robota.

– Jak się będzie stawał, dostanie jeszcze raz. Słuchaj, przyjemniaczu, nie ze mną takie numery. Ze mną będziesz gadał, kiedy tylko mam na to ochotę. Ja jestem twardy glina, a ty tylko zafajdany, parszywy morderca, przyłapany na gorącym uczynku. I zanim pošlę cię do komory gazowej, będziesz musiał rozmawiać z każdym policjantem, który będzie miał na to ochotę. Jak się nazywasz?

– Peter Barlow.

– No, już lepiej. Dlaczego ją zaciukałeś?

Milczałem. Nie miałem zamiaru z nim dyskutować.

Podniósł w górę wielką jak bochen zaciśniętą pięść i zamierzył się na mnie. Nie uderzył jednak, bo zza okna doleciał dźwięk policyjnej syreny. Opuścił rękę i splunął mi na buty.

– Poczekaj. Teraz dopiero dostaniesz za swoje. Chłopcy z wydziału zabójstw umieją rozmawiać z takimi jak ty. Zrobią z ciebie mokrą plamę, kochasiu.

– Zobaczymy – powiedziałem obcierając wierzchem dłoni krew kapiącą z nosa. – Znam dobrze chłopców z wydziału zabójstw, nie pogłoszczą cię za to, żeś mnie tak urządził...

* * *

– Podpisz to – powiedział porucznik Simon Dulth i podsunął mi pod nos kilka spiętych spinaczem stron maszynopisu. – Podpisz na każdej stronie.

– Pozwolisz, że raczej przedtem przeczytam, co tam jest napisane.

Zrobił bardzo zdziwioną minę. Porucznik Dulth, gdy

się dziwił, stawał się łudzaco podobny do zakłopotanego wyżła, który nie wie, czym naraził się swojemu panu.

– Trzeba mieć zaufanie do policji – powiedział z wyrzutem.

Wzruszyłem ramionami:

– Mam cholerne zaufanie, ale wolę przeczytać.

Nic nie odpowiedział, więc zabrałem się do czytania. Wszystko się zgadzało. W maszynopisie nie było nic więcej ponad to, co im opowiedziałem. Podpisałem każdą stronę i odsunąłem protokół. Siedzieliśmy w gabinecie porucznika Dultha w wydziale zabójstw komendy miejskiej. Na ścianie za plecami porucznika wisiała oprawiona w ramki instrukcja przeciwpożarowa.

Dulth zatarł nerwowo ręce, a jego wydatna grdyka zadrgała, jakby coś usiłował połknąć i właśnie się zdławił.

– I powiedz, Peter, co właściwie mam z tobą zrobić. Wpakowałeś się w nieliczną kabałę.

– Daj mi trochę czasu, Simon – powiedziałem – daj mi trochę czasu, a wszystko się wyjaśni.

Porucznik znowu przybrał minę zakłopotanego pieska.

– Nie da rady, Peter. Przyjaźń przyjaźnią, ale będę cię musiał przyskrzynić. Radzę ci się rozejrzeć za dobrym adwokatem. Nie mogę ci dać czasu. Wyznam ci coś. Jakoś cholernie podoba mi się moja posada. I wcale nie chcę jej tracić. Iris by mi nigdy tego nie wybaczyła...

– Przecież chyba nie wierzysz, że załatwiłem tę małą...

– To nie jest kwestia wiary, Peter. Ja w ogóle jestem niewierzący i nawet nie wiem, co to znaczy wierzyć. To nie mój resort. Tym niech się zajmują pastorzy i księża. Mnie interesują tylko fakty, a ty je dobrze

znasz. A jakbyś miał jakieś wątpliwości, to ja ci je mogę przypomnieć...

Z mojej miny widać wywnioskował, że mam jednak wątpliwości, bo zabrał się do przypominania:

– ...o godzinie 14.35 dostajemy anonimowy telefon, że w mieszkaniu panny Kate O'Toole popełnione zostało morderstwo. Oczywiście wyruszamy tam na syrenie. Drogą radiową wzywamy też najbliższy patrol. Ci z patrolu przyjeżdżają na kilka minut przed nami. I co widzą? Panna Kate O'Toole załatwiona jest na cacy, a nad jej zwłokami ze sznurem pereł w rękę stoi prywatny łapacz, niejaki Peter Barlow... Co więcej, wszystko wskazuje na to, że załatwiono dziewczynę z pistoletu tegoż Barlowa. Pistolet leży sobie na dywanie. Strzelano z niego niedawno, a w magazynku brakuje jednego pocisku... Tenże Barlow zapytywany przez przybyłych policjantów nie udziela żadnej odpowiedzi...

Przerwałem mu:

– Nikt jeszcze nie stwierdził, że zabito ją naprawdę z tego pistoletu. Do tego trzeba dopiero balistycznej ekspertyzy, a jeżeli chodzi o tych policjantów, to...

Teraz on mi przerwał:

– Daj spokój, Peter. Jesteś za cwany na to, żeby składać skargi na nerwowych policjantów. Trochę ich poniosły nerwy, ale to się zdarza. A co do tego pistoletu, to przestańmy się czarować. Za dwadzieścia cztery godziny będą wyniki ekspertyzy i ty chyba nie masz wątpliwości, jakie to będą wyniki...

Nie miałem wątpliwości, ale nie dawałem za wygraną.

– Ale na razie nie masz jeszcze wyników. Zwracam ci też uwagę, że na tym pistolecie nie będzie moich odcisków...

– Wcale nie jestem taki pewny, że nie będzie. Jeżeli było tak, jak mówisz, i rzeczywiście leżałeś uśpiony w czasie, gdy ktoś załatwiał tę dziewczynę, to potem jak już ją wykończył, mógł ci na chwilę włożyć spluwę w garść. Sam tak bym zrobił na jego miejscu...

Miał rację, miał cholernie dużo racji. Na jego miejscu zapakowałbym pana Barlowa do pudła, nie zastanawiając się ani przez chwilę nad tym, co robię. Ale ja wcale nie chciałem być zamknięty. Jeżeli miałem się jakoś wykaraskać z tej historii, musiałem działać, a diabelnie trudno jest coś zrobić, jeżeli człowiek siedzi za kratkami. Postawiłem wszystko na jedną kartę.

– Umówmy się tak, Simon – powiedziałem – ty mi dasz szansę i ja tobie dam szansę. Zrobimy taki handelek...

Już nie miał wyglądu skołowanego wyżła. Twarz mu stężała, a oczy przybrały wygląd twardych niebieskawych kamyków.

– Nie wydaje mi się, Peter, byś miał mi coś do zaoferowania – wycedził powoli.

Nie chciałem tego robić. Bardzo nie chciałem tego robić, na swój sposób lubiłem przecież porucznika Dultha, ale w pewnych sytuacjach człowiek popełnia jednak rozmaite obrzydlistwa. Powiedziałem więc:

– Mam, Simon. Niestety mam. Ofiaruj mi dwadzieścia cztery godziny czasu, a ja w zamian za to ofiaruję ci całkowity zanik pamięci... Przysięgam, że raz na zawsze zapomnę o tym, co zdarzyło się dwa lata temu w czasie śledztwa w sprawie zabójstwa Billa Robinsa. Zapomnę, co zrobiłeś z zeznaniami Billa Walta i dla czego to zrobiłeś...

Podniósł się i wsparł zaciśniętymi pięściami o biurko.

Był blady jak pietruszka, tylko na środku czoła wyskoczyła mu czerwona nabrzmiąta plamka. Pomyślałem, że za chwilę mnie uderzy. Wcałe bym mu tego nie miał za złe. Ale jakoś mi nie przyłożył, tylko powiedział cichym świszczącym głosem:

– Ty sukinsynu, ty mały, zapieprzony sukinsynu. A ja myślałem, że jesteś moim przyjacielem...

* * *

Po powrocie do domu przede wszystkim zrzuciłem łachy i wskoczyłem do wanny. Rozbity łeb nabrzmiwał bólem i utrudniał myślenie. A miałem o czym myśleć. Wyciągnąłem się w wannie i starałem się relaksować. Potem wylazłem z kąpieli, wytarłem włoschatym ręcznikiem i ubrałem się. Poczuję się znacznie lepiej. Nalałem więc sobie na dwa palce whisky, wypilem i zacząłem kombinować.

Miałem dwadzieścia cztery godziny ofiarowane mi przez porucznika Dultha. Dobę. Mnóstwo czasu. W ciągu doby można przeprowadzić zamach stanu, obalić konstytucję, w ciągu doby można napisać natchniony poemat i zarobić za niego Nobla, w ciągu doby można się ożenić, owdowieć i popełnić samobójstwo z rozpączy, można namalować obraz, można zarobić na giełdzie tysiące dolarów i jeszcze więcej przegrać w pokera. Dwadzieścia cztery godziny to cholernie dużo czasu. Tylko nie wolno go marnować.

Nalałem sobie następną porcję whisky i postanowiłem, że nie będę marnował czasu. Usiadłem przy telefonie i zadzwoniłem do pani Mitford.

Sama podniosła słuchawkę.

– Co, to już pan? – zdziwiła się. – Przecież rozsta-
liśmy się przed kilku godzinami. Miał pan dzwonić
dopiero jutro...

Jej głos w słuchawce brzmiał jak porechotywanie
tłuściutkiej ropuchy.

– Tak, proszę pani – zgodziłem się grzecznie – tak
się jednak złożyło, że chciałbym z panią porozmawiać
jeszcze dzisiaj...

– Rozmawiał pan z tą zdzirą?

– Tak, proszę pani.

– Oddała panu perły?

– Niezupełnie, proszę pani...

– To czego pan mi zawraca głowę?!

– Chciałem uzyskać od pani pewne dodatkowe in-
formacje...

– Powiedziała mi już wszystko, co może się panu
przydać...

– Chodzi o drobiazgi...

– Dobra. Wał pan, ale szybko. Nie mam już dziś na
pana czasu.

Zapaliłem papierosa, zaciągnąłem się dymem i po-
wiedziałem:

– Czy nie orientuje się pani, gdzie może przeby-
wać pani mąż?

Odpowiedziało mi milczenie. Myślałem, że już się
wyłączyła, ale po chwili jednak się odezwała:

– No wie pan. Teraz to już mnie pan zastrzelił.
Przecież właśnie panu za to płacę, żeby go pan odnalazł
i sprowadził do domu...

– Wiem, proszę pani – przerwałem jej spieszenie –
doskonale pamiętam. Myślałem jednak, że może mi
pani coś zasugeruje...

– Nic nie zasugeruję. Rób pan swoją robotę. Płacę panu za to.

– Jeszcze jedno, proszę pani. Niech się pani jeszcze nie wyłącza. Jeszcze tylko jedno małe pytanie...

– Mam nadzieję, że nie takie kretyńskie jak poprzednie...

– To takie bardzo osobiste pytanie, mam nadzieję, że się pani nie obrazi...

– Nie obrażam się na tych, którym płacę.

– To świetnie, bo właśnie się trochę obawiałem, a firma Peter Barlow nie ma zwyczaju obrażać swoich klientów...

– No dosyć tych grzecznościowych zagrywek, o co właściwie chodzi.

Nabrałem oddechu i zapytałem:

– Czy pani czasem pali marihuanę?

W słuchawce coś zaskrzeczało, a potem zapadła długa cisza. Po kilkunastu sekundach zaryzykowałem:

– Nie wyłączyła się pani?

Okazało się, że się nie wyłączyła. Odezwała się. W jej rechocie nie było oburzenia, ale coś jakby cień zdziwienia:

– Co panu przyszło do głowy? Co za kretyński pomysł! Dlaczego miałabym palić?

– Nie wiem, proszę pani. Tak się tylko zapytałem.

– Musiał pan dostać chyba porządnie po łbie i wszystko się w nim panu pokićkało. Żegnaj pana, panie Barlow. Na przyszły raz proszę dzwonić tylko wtedy, gdy ma pan coś konkretnego do powiedzenia.

Odłożyła słuchawkę. Przez chwilę ja trzymałem swoją jeszcze przy uchu, potem położyłem ją na widełki. Dobre kilka minut bębniłem palcami po blacie biurka.

Pałitem papierosa i myślałem. Miałem ochotę łyknąć sobie jeszcze jednego kielicha, ale zrezygnowałem. Nie warto pić na pusty żołądek. Jadłem dziś mało i znowu byłem porządnie głodny.

W książce telefonicznej odnalazłem numer tego baru, do którego wpadłem przed południem. Połączenie uzyskałem od razu. Bez trudu zgodzili się poprosić do aparatu Joe Carprighta. Jednak długo nie mógł się zdecydować podnieść tyłka z barowego stołka, tak że zacząłem się już niepokoić. W końcu zamruczał w słuchawkę:

- Czego tam? Kto się do mnie przypieprza?
- Cześć, mówi Peter Barlow. Gadałem dziś z tobą przed południem.
- Pamiętam, synu – jego głos wyraźnie złagodniał – dałeś mi piątaka.
- Możesz zarobić jeszcze dwa piątaki albo niech będzie, całe dwie dychy.
- Słucham cię, synu, uważnie, przyjemnie mówisz.
- Potrzeba mi bliższych informacji o tym Franku Mitfordzie.
- Narozrabiał coś?
- Tak na to wygląda.
- Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Musiałbym się przepytać chłopaków. Na kiedy ci to potrzebne?
- Wyobraź sobie, że na już. Szczególnie mnie interesuje, czy nie ma jakichś przyjaciół, przyjaciółek, wiesz, takich od serca...
- Na już, to się możesz wypchać, synu. Jest za gorąco, żebym dla głupich dwóch dych ruszał się stąd gdziekolwiek. Na jutro o tej samej porze, to może będę coś wiedział...

– Joe, co powiesz o trzech dychach? To zupełnie ładna sumka.

– Gównu, synu. Nawet dla setki papierków nie ruszę się stąd dzisiaj. Za gorąco.

– Joe, mnie naprawdę na tym zależy. Jeżeli nie będę miał tych informacji, może być ze mną nieziemska krewa...

– Współczuję, synu. Bardzo mi przykro, ale ja mam swoje zasady. Nikt nie może powiedzieć, że Joe Carpright nie ma swoich zasad. Za to mnie właśnie wylali z tej szmaty. Gdy jest tak gorąco jak dziś, Joe Carpright siedzi w barze i nie ma na to rady.

Poczułem, że wargi mam spękane i obolałe. Polizałem je delikatnie koniuszkiem języka. Obrzmiały guz na potylicy pulsował tępy, narywającym bólem, opuchnięty nos delikatnie przypominał o swoim istnieniu. Poczułem się starym, przegrany człowiekiem. Joe Carpright miał swoje zasady.

Już chciałem odłożyć słuchawkę, gdy usłyszałem w niej znowu jego głos:

– Poczekaj, synu. Coś mi się przypomniało. Powiem ci to za frajer. Ten Mitford, jak tu przyjechał z Nowego Jorku, trzymał się z takim drugim malarzyną, Jackiem Bovery. Rozrabiali razem. Zrobili nawet wspólnie wystawę. Miała fatalne recenzje. Może ci się to przyda...

– Może, Joe, dziękuję. Nie znasz przypadkiem adresu tego drugiego?

– Poszukasz w biurze adresowym. Jeżeli ten Bovery jest jeszcze w naszym miasteczku.

* * *

Przy drzwiach nie było żadnego dzwonka. Zastukałem więc raz i drugi. Odpowiedział mi niezrozumiały skowyt. Nacisnąłem więc klamkę i wlałem do środka.

Nie jestem facetem, który dziwi się byle czemu i rozdziawia gębę ze zdumienia, jeżeli na przykład okaże się, że jakaś cizia ma potrójny biust albo coś w tym rodzaju. Muszę jednak przyznać, że tym razem trochę mnie zatknęło. To wnętrze – to była mocna rzecz.

Ze wszystkich stron patrzyły na mnie setki oczu. Ogromnych, wielkich, średnich i zupełnie malutkich. Spoglądały na mnie ze ścian, z sufitu, a także z podłogi. Były wśród nich oczy zielone, błękitne, fioletowe, a nawet i purpurowe. Wszystkie były nieruchome, ale ich spojrzenia wwiercały się we mnie i przenikały mnie na wskroś. Były pięknie i starannie wymalowane olejnymi farbami, i widać było, że ten, co je namalował, wiedział, jak to się robi.

Na wąskim polowym łóżku, w kącie obszernego pustego pokoju leżał najdziwniejszy facet, jakiego dotąd w życiu widziałem. Odziany był w wyszarzałe dżinsy i coś na kształt szczątków purpurowego szlafroka przewiązanego pasmem drutu w kolorowej izolacji. Nogi miał bose i brudne. Włosy długie i chyba jeszcze brudniejsze. Broda składała się z kilku oddzielnych, bardzo długich kosmyków. Kiedy poruszył głowę, zobaczyłem, że do jednego ucha przypięty ma wielki klips w kształcie rozkwitającej róży.

Uniół się lekko ze swego pośłania i popatrzył na mnie. Miał spojrzenie martwe i głębokie jak sztolnia kopalni.

Patrzył tak na mnie przez dłuższą chwilę, a potem powiedział:

- Ile przyniosłeś?
- Przełknąłem ślinę i wzruszyłem ramionami.
- Co miałem przynieść?
- Nie jesteś od Billa?
- Jestem od samego siebie.

Stracił zupełnie zainteresowanie moją osobą. Położył się z powrotem i patrząc gdzieś w sufit, w jedną z par tych niesamowitych oczu, powiedział:

– Idź sobie. Nie potrzebuję cię tutaj. Myślałem, że jesteś od Billa. Zresztą nie potrzebuję nowej przesyłki. Mam jeszcze zapasy.

Mógłbym się założyć o dziesiątaka, co zawierają te zapasy. Widziałem w życiu oczy wielu narkomanów.

- Panie Bovery, mam kilka pytań do pana.
- Idź już sobie. Nie interesują mnie twoje pytania.
- Nie ciekawi pana, kim jestem i po co tu przyszedłem?

Widać go nie ciekawiło, bo nawet nie drgnął, tylko dalej gapił się w te ślepie wymalowane na suficie.

Poszukałem wzrokiem jakiegoś krzesła. Nie było żadnego. Wobec tego podszedłem do jego legowiska, energicznie odsunąłem trochę w bok jego nogi i przysiadłem się połową pośladka.

Nie zareagował zupełnie.

Zapałem papierosa i zacząłem zastanawiać się, w jaki sposób troszeczkę go rozruszać. Pomyślałem, że dobrze by mu zrobiły ze dwa solidne klapsy, ale na to było za wcześnie. Spróbowałem w inny sposób:

- Nie będzie już więcej przesyłek od Billa.
- Trochę się zainteresował, ale nie za bardzo.
- Przecież płacę gotówką...

– Nie o to chodzi. Bill ma cię po prostu dosyć. Przystał cię lubić.

Pomedytował przez chwilę, ale nie wydawał się zbyt przejęty moim oświadczeniem. Nadal intensywnie wpatrywał się w sufit.

– Trudno. Idź już sobie do swojego Billa. Dostanę skądinąd.

Widać facet nie miał trudności z dostawami. Trzeba było spróbować z nim z innej beczki.

Pogmerałem w wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnąłem z niej pamiątkową odznakę Filadelfijskiego Klubu Myśliwskiego z roku 1909. To bardzo ładna odznaka. Duża, błyszcząca, z mnóstwem interesujących szczegółów.

Podsunałem ją mu pod nos na wystarczająco długo, by ją mógł zobaczyć, potem szybko wrzuciłem odznakę do kieszeni. Wolałem, żeby się jej za długo nie przyglądał.

– O, glina! – wybąkał stabiutko. – Idź sobie do domu, gliniarzu. Nic tu nie wywieszysz.

– Przeciwnie, kochasiu, już wywęszyłem. Wystarczająco wiele, by cię zapudlić, a w pudle nie będzie żadnych zastrzyków...

Uniósł się, wsparł na rękach i zaczął mi się przyglądać. Tym razem już z zainteresowaniem, nawet powiedziałbym z dużym zainteresowaniem. Aby je jeszcze podsycić, dorzuciłem:

– Wystarczy dobrze poszukać w tym pokoju. Na pewno człowiek dogrzebałby się jakichś proszków czy ampułek. Możesz zostać zatrzymany za posiadanie narkotyków. To także jest karalne.

– Ktoś ci rozbił nos, gliniarzu – powiedział ni w

pięć ni w dziesięć i nagle się rozplakał. Jego usta wygięły się w podkówkę a spod zaczerwienionych powiek wypłynęły dwie wielkie łzy. Potem poleciały i następne.

Siedziałem i paliłem papierosa. Czekałem, aż się wychlipie. Nie miał jednak zamiaru przestać. Płakał bezgłośnie, ale za to bardzo intensywnie. Miał w oczach spore zapasy cieczy.

W końcu mi się znudziło czekać. Ująłem go oburącz za poły purpurowego szlafroka i energicznie potrząsnąłem.

– Przestań się mazać, artysto. Wcale nie mam zamiaru cię zamykać. Chcę tylko trochę porozmawiać. Ot i wszystko.

Potrząsałem nim niby bezwolnym manekinem, a klips w kształcie róży, który miał zawieszony przy prawym uchu na srebrnym breloczku, zakofyłał się gwałtownie.

– Opowiesz mi o Franku Mitfordzie. O swoim kumplu. Chcę się z nim zobaczyć...

Nie przestał płakać, ale za to niespodziewanie oburącz chwycił mnie za gardło. Miał mocny chwyt. Przez chwilę widziałem przed sobą jego bezdenne oczy, z których płynęły kropliste łzy, a w szyję wgniatały mi się stalowe sprężyny jego palców. Zabrakło mi powietrza w płucach, a tętno w skroniach zadudniło boleśnie. Setki oczu na suficie i na ścianach zamrugały filuternie, a potem wszystko wokół przybrało barwę czerwoną, coraz czerwiejszą.

Z całej siły rąbnąłem go pięścią w podbródek. Przez szkarłatną mgłę zobaczyłem jego głowę odskakującą do tyłu i w tej samej chwili fala świeżego powietrza wdarła mi się do płuc, a czerwona barwa otulająca świat zwiewną firanką rozmyła się gdzieś po kątach.

Siedział oparty o ścianę i patrzył na mnie. Przyłożyłem mu jeszcze raz i drugi, a może nawet i trzeci. Trochę mi ulżyło. Zapaliłem papierosa i obmacałem gardło. Potem chwyciłem go za kark i powlokłem do łazienki.

Nie nadawał się na razie do rozmowy. Wsadziłem mu łeb do umywalki i puściłem strumień wody. Po takiej kuracji szybko przyszedł do siebie, otworzył zapuchnięte oczy i popatrzył na mnie całkiem przytomnie. O wiele przytomniej niż przedtem, nim dałem mu wycisk.

Zaciągnąłem go z powrotem do pokoju i rzuciłem na łóżko. Zwalił się jak bezwładny tłumok i zaczął przernikliwie a cichutko.

– Teraz porozmawiamy, kochasiu – powiedziałem – jeżeli nie chcesz dostać solidniejszego jeszcze łomotu.

– Nie będę mówił o Franku – zabełkotał – to mój przyjaciel. Nie zrobił nikomu nic złego...

Roześmiałem mu się w nos.

– Będziesz rozmawiał. Wiesz o tym dobrze, że będziesz. Nie stawiaj się niepotrzebnie. Żal mi cię trochę i nie chciałybym zrobić ci krzywdy,...

– Nie będę rozmawiał – zaprotestował słabiutko – nie będę...

Zabrałem się do roboty i po kilku minutach był już zupełnie chętny do rozmowy. Firma Peter Barlow nie lubi stosować tego rodzaju metod, ale jej szef i personel w jednej osobie jeszcze bardziej nie lubi wędrować za kratki w charakterze podejrzanego o morderstwo. Ktoś powiedział, że cel nie powinien uświęcać środków. Być może miał rację, ale obecnie raczej nieskłonnym byłbym do dyskusji na ten temat.

Tak więc zastosowałem środki specjalne i pogawędziliśmy trochę o Franku Mitfordzie. Czas uciekał,

tysiące oczu wlepiały w nas ze ścian i sufitu swoje martwe kolorowe spojrzenia, a my gawędziliśmy.

Dowiedziałem się paru interesujących rzeczy. Dowiedziałem się, że Frank Mitford czuł się nieszczęśliwy w małżeństwie, dowiedziałem się, że palił marihuanę, i co więcej, dowiedziałem się, że dzisiaj dzwonił do Jac-ka Bovery i skarżył się, że umiera ze strachu.

Miałem pewne trudności z otrzymaniem informacji, skąd dzwonił Frank Mitford. Pan Bovery usiłował kręcić w tej kwestii. Przywołałem go do porządku i zastosowałem środki łagodnej perswazji. Oczywiście poskutkowało i w końcu dowiedziałem się, skąd dzwonił.

Gdy skończyliśmy pogawędkę, byłem już solidnie zmęczony. Ułożyłem faceta wygodnie na jego leżance, podałem mu szklankę wody.

– Żegnaj, bracie – powiedziałem – dziękuj Bogu, że nie jestem specjalnie twardym facetem. Mogłoby być gorzej. A co do tych narkotyków – dodałem – to na razie nie będę składał zameldowania. Pamiętaj jednak, że w każdej chwili mogę się rozmyślić. Myśl sobie o tym i odpoczywaj.

Zanim wyszedłem, pociąłem jeszcze kabel od jego telefonu. Wolałem, żeby nie dzwonił do Franka.

Było już późno. Dawno zapadł wilgotny gęsty mrok, ale upał trzymał dalej i wypełniał wnętrze mojego wozu. Zaparkowałem przy chodniku, paliłem papierosa i myślałem. Rozmyślałem o Franku Mitfordzie i o jego żonie, rozmyślałem o dziewczynie, której wpakowano między oczy pocisk z mojego pistoletu, o biednym zeszmaczonym narkomanie, który wypaplał wszystko, co wiedział o swoim najserdeczniejszym kumplu. Potem pomyślałem o poruczniku, człowieku, który ofiarował mi dobę.

Doszedłem do wniosku, że nadszedł czas porozmawiania z porucznikiem Dulthem. Zapuściłem silnik i podjechałem do najbliższej budki z telefonicznym aparatem.

O tej porze porucznik Dulth zapewne przebywał już w domu. Tak się złożyło, że znałem jego domowy numer.

Przez dłuższą chwilę nikt nie podnosił słuchawki. Już miałem zrezygnować, gdy pobekiwanie w słuchawce urwało się i usłyszałem głos kobiety:

– Halo?

– Dobry wieczór, Iris – powiedziałem. – Mówi Peter, daj mi Simona do aparatu...

– O, on z tobą chętnie porozmawia – powiedziała po chwili wahania, a jej głos zabrzmiał dziwnie nieprzyjaźnie.

Poczekiałem jeszcze chwileczkę i usłyszałem ochrypnięty głos porucznika Dultha:

– Gdzie teraz jesteś, Peter?

Nie uważałem za wskazane informować go o tym:

– Nieważne. Mam do ciebie taką sprawę...

Przerwał mi w sposób raczej mało wytworny.

– I ja mam do ciebie sprawę, ty cholerny, zapieprzony sukinsynu. Powiedz mi, gdzie jesteś, a pojedę tara i zrobię z ciebie mokrą plamę!

Bardzo mi wywody porucznika Dultha nie przypadły do gustu. Spróbowałem delikatnie przerwać mu tok wypowiedzi:

– O co chodzi, Simon? Czy coś się stało?

– I ty mnie ośmielasz się jeszcze pytać, czy coś się stało? Stało się! Wyobraz sobie, zawszony cwaniaczku, że się stało! Przed dwoma godzinami zostałem zawieszony w czynnościach służbowych. Na wniosek prokuratora okręgowego!

– Bardzo mi przykro, Simon, ale co to ma wspólnego ze mną?

– I ty się jeszcze pytasz? Zawiesili mnie za to, że ciebie wypuściłem z pudła, gówniarzu!

W budce telefonicznej było gorąco i duszno niby w łaźni tureckiej. Otarłem pot z czoła i twarzy, rozluźniłem krawat. Kapelusz zsunął mi się na tył głowy. Czulem, fizycznie czulem, jak przylepia mi się do włosów. Po drugiej stronie drutu porucznik Dulth miotał na mnie coraz bardziej wyrafinowane przekleństwa. Gdyby głos mógł czynić krzywdę, byłbym już teraz zmasakrowanym nieboszczykiem. Tak zmasakrowanym, że identyfikacja nastęrczać by mogła sporo kłopotów. Na szczęście głos jest tylko głosem. Zaczekałem cierpliwie do chwili, kiedy porucznik Dulth zamilknie na sekundę dla nabrania tchu, i wpadłem mu w środek piętrowego przekleństwa:

– Chwileczkę, Simon! Wiem dokładnie, co czujesz i co byś zrobił, gdybym znalazł się w zasięgu twojej ręki. W porządku. Przyjmuję to do wiadomości, ale przejdźmy do konkretów. To ważne, Simon, jak do tego doszło...

– Jak doszło? Zwyczajnie. Jakaś gnida zawiadomiła prokuraturę, że policja wypuściła na wolność człowieka zatrzymanego nad trupem dziewczyny. I że z broni tego faceta ta dziewczyna została zastrzelona. Prokurator okręgowy ma już dawno na pieńku z naszym starym. Przyjechał do komendy i zrobił nieziemski raban. Powiedział, że wytoczy śledztwo przeciwko policji. Nasz stary narobił w portki ze strachu. Kazał ciebie szukać, a mnie z miejsca zawiesił...

– Nie mogłeś mu wytłumaczyć?...

– Wytłumaczyć? Ty byś mu spróbował coś tłumaczyć, ty...

– Daj spokój, Simon. Nie czas teraz na kłótnie. Musimy jakoś z tego wybrnąć... Nie wiesz przypadkiem, kto zawiadomił prokuraturę?

– Myślisz, że spowiadali się z tego przede mną? Sam chciałbym to wiedzieć! Gdybym dostał tę gnidę w swoje łapska! O Jezu, gdybym go dostał...

– Zdaje mi się, Simon – powiedziałem z namysłem – że wiem, kto dał cynk do prokuratury. To była chyba ta sama osoba, która zawiadomiła was o morderstwie...

– Kto to był, Peter?

– Morderca, Simon. Morderca. I wydaje się, że wiem kto to jest...

Pogadaliśmy jeszcze przez kilka minut, powiesiłem słuchawkę i wyszedłem z budki telefonicznej.

* * *

Odetchnąłem głęboko, ale powietrze na zewnątrz budki było także nagrzane i wilgotne. Stałem na bocznej, słabo oświetlonej ulicy, zabudowanej rozlatującymi się ruderami. Ulica była pusta, tylko w oknach niektórych domów paliło się światło. W jednym z nich siedziała czarnowłosa kobieta i patrzyła się na mnie. Była bardzo czarnowłosa, rozczochrana i paliła papierosa.

Podszedłem kilka kroków w kierunku mojego samochodu. Pomyślałem, że jednak przydałoby się coś zjeść. Nie odmówiłbym sobie także podwójnej whisky. Mogłaby być nawet bez lodu i wody sodowej. Pomyślałem, że tej nocy czeka mnie jeszcze wiele roboty i zanim

wybiore się na łowy, powinienem wskoczyć do jakiegoś baru.

Wsiadłem do samochodu i wyciągnąłem z kieszeni kluczyki. Ale nie zapaliłem motoru. Przypomniało mi się, co powiedział porucznik Dulth. Szukano mnie. Od kilku godzin wszystkie gliny w Los Angeles rozglądają się za mną. Prawdopodobnie policyjna krótkofalówka co jakiś czas powtarza mój rysopis, numer mojego kołnierzyka i numer wozu. Gliny w naszym mieście znają się na swoim fachu i jeżeli się na kogoś zawezmą, to wcześniej czy później wpada w ich łapy. I to raczej wcześniej niż później. A ja wcale nie miałem na to ochoty.

Rozejrzałem się wokół. Ulica była nadal pusta i bezлюдna. Jakiś kot balansował na krawędzi wielkiego blaszanego pojemnika na śmieci. Czarnowłosa kobieta w oknie paliła papierosa i gapiła się na mnie. Z kilku stron dolatywały dźwięki rozkręconych na pełen regulator telewizorów. Niebo pokryte było różowym odbłaskiem neonów, świecących w innych dzielnicach, i gwiazdy były na nim nieobecne.

Wiedziałem, że nie wstąpię już do żadnego baru i nie napiję się whisky. Nie mogłem też użyć mojego samochodu. Nie powinienem ryzykować jazdy z niezmienionymi numerami rejestracyjnymi. Zasunąłem szyby, wyszedłem z wozu i starannie zamknąłem drzwi. Miałem odrobinę nadziei, że kiedy to się wszystko skończy, wrócę na tę ulicę i być może zastanę na niej jeszcze swój samochód. Ale to była bardzo słaba nadzieja.

Wsadziłem w usta papierosa, pomachałem dłonią czarnowłosej kobiecie w oknie i ruszyłem przed siebie. Czekał mnie wielomilowy spacer, a nigdy doprawdy nie byłem dobrym piechurem.

Szedłem tak z kilkanaście minut i zrozumiałem, że

piesza wędrówka nie ma sensu. Poruszając się w takim tempie, dotarłbym do tego kanionu dopiero gdzieś koło południa. A wtedy byłoby już z pewnością zbyt późno. Poza tym wcale nie było powiedziane, że w ogóle dotarłbym na miejsce przeznaczenia. Człowiek wędrujący pieszo nocą po peryferiach naszego miasta jest dla policjantów automatycznie człowiekiem podejrzanym. Skierowałem się więc w kierunku ruchliwych ulic i zacząłem rozglądać się za taksówką. Dwukrotnie spotkałem policjantów. Raz mijał mnie dwuosobowy patrol. Rozmawiali z sobą. Nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi, ale serce podeszło mi do gardła. Drugi raz było znacznie gorzej. Wóz policyjny jechał wolniutko, tuż przy krawężniku. Starłem się nie zwracać na nich najmniejszej uwagi, ale oni zainteresowali się mną wyraźnie.

Kilkadziesiąt metrów jechali tuż obok krawężnika i obserwowali mnie uważnie. W pewnej chwili dodali nieco gazu i wyprzedzili mnie. Chciałem już odetchnąć z ulgą i wytrzeć spocone czoło, ale okazało się, że nie mam czego się cieszyć. Wóz nagle zahamował, a w okienku ukazała się głowa w policyjnej czapce. Czekali, aż podejść.

Miałem ochotę zawrócić na pięcie i rzucić się do ucieczki. Nie zrobiłem tego. Wiele mnie kosztowało, żeby tego nie zrobić. Pamiętałem jednak, że cztery kółka policyjnego wozu są szybsze od moich nóg i że bywają nerwowi policjanci, którzy cholernie lubią sobie postrzelać.

Spokojnym, odmierzonym krokiem zbliżyłem się do wozu.

– Hej! – krzyknął człowiek w policyjnej czapce. – Czego tu szukasz po nocy?!

Podszedłem jeszcze kilka kroków, nie spiesząc się zapaliłem papierosa i powiedziałem zgodnie z prawdą:

– Szukam taksówki. W tej cholernej dzielnicy nigdzie nie, można złapać taksówki.

Pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Racja. Nikt tu nie jeździ taksówkami. A w ogóle to niezbyt bezpiecznie szwendać się tu po nocy. Jak nie można oberwać po karku. Tu już zabijano ludzi do słownie dla paru dolarów...

Wzruszyłem ramionami.

– Nie jestem, chłopcy, taki znowu bardzo strachliwy. W drugim okienku samochodu pojawiła się jeszcze jedna policyjna gęba. Jej właściciel powiedział:

– Tu widzieli już takich mocnych. Niejeden kurował się potem w szpitalu albo już gryzie piasek.

– Dziękuję za ostrzeżenie, będę uważał.

– Nie na wiele ci się to przyda. Poczekaj, nie odchodź. Zrobimy tak. Wsiadaj do wozu. Podrzucimy cię do najbliższej taksówki.

Drzwi samochodu otwały się i ten, który siedział na drugim siedzeniu, szerokim gestem zaprosił mnie do wnętrza. Pochyliłem głowę i wlałem do środka. W wozie było ich trzech. Dwóch na przednim siedzeniu, trzeci na tylnym – obok mnie. Bez przerwy żuł gumę i stracił zupełnie zainteresowanie moją osobą. Wtuliłem się w kąt siedzenia, starając się być jak najmniej widoczny. We wnętrzu wozu było okropnie gorąco i śmierdziało benzyną.

Ruszyliśmy. Po chwili zorientowałem się, że nikt na mnie nie patrzy. Ściągnąłem więc kapelusz, położyłem go na siedzeniu obok siebie i wytarłem czoło mokrą od potu chustką.

Jechaliśmy wolno. Kierowca pogwizdywał cichutko przez zęby. Odezwał się radiotelefon:

– Halo 117, halo 117, zgłoś się, odbiór...

– To do Harry'ego – mruknął kierowca i ponownie zaczął gwizdać. Radiotelefon gadał coś bez przerwy, gliny milczały, a ja wyglądałem przez okienko wypatrując taksówki. Dojrzałem ją w chwili, gdy z głośnika zaczął dobiegać tekst policyjnego komunikatu:

„Uwaga, wszystkie wozy, uwaga, wszystkie wozy, przypominam dane dotyczące osób poszukiwanych, które należy bezzwłocznie zatrzymać. Numer pierwszy: Steve Harrison. Lat siedemnaście. Wzrost około sześciu stóp. Włosy czarne, bardzo długie. Ubrany jest w dżinsy i koszulkę z napisem »Pamięci Jimmy'ego Hendrixa«. Jest w stanie zamroczenia narkotykami. Uzbrojony w brzytwę...”

Pokazałem w kierunku zaparkowanej w oddaleniu taksówki.

– O, tam jest taksówka... Kierowca skinął głową:

– W porządku. Widzę, właśnie tam jedziemy.

Głos z głośnika kontynuował: ... „Numer drugi. Peter Barlow. Prywatny detektyw. Wzrost pięć stóp i siedem cali. Szczupłej budowy ciała. Lat czterdzieści. Ma podrapaną twarz. Może być uzbrojony. Ostatni raz, kiedy go widziano, ubrany był...”

Wóz ostro zahamował.

– No, wyłaż, bracie, masz już taksówkę... – powiedział kierowca,

Otworzyłem drzwiczki i wyszedłem na zewnątrz. Starając się, by światło ulicznej latarni nie padło mi na twarz, nachyliłem się w kierunku wozu:

- Dziękuję za pomoc, chłopcy!
- Nie przejmuj się – powiedział ten, który zaprosił mnie do środka. – Powodzenia!

Zawróciłem na pięcie i ruszyłem w kierunku taksówki. Starłem się iść wolno, spokojnie, nie zdradzając, jak mi spieszo oddalić się ód nich. Przeszedłem może z dziesięć kroków.

Okrzyk za plecami zabrzmiał jak puknięcie nadmufanej torebki, w którą ktoś uderzył otwartą dłońią.

- Hej, ty! Zaczekaj!

To był głos tego, który zuł gumę. Wrośłem w chodnik i zeszywniałem jak nieboszczyk w lodówce miejskiej kostnicy. Poczułem, bardzo wyraźnie poczułem, że mam plecy i kark.

- Wróć! – głos gliny był zdecydowany i twardy. To był głos gliny, który się nie zna na żartach.

Kierowca taksówki, obok której już stałem, spojrział na mnie z najwyższym zainteresowaniem. Odwróciłem się niespiesznie. Z otwartych drzwi policyjnego wozu wyglądał glina. Wyszczerał zęby w przyjaznym uśmiechu. W prawej wyciągniętej przed siebie ręce trzymał mój kapelusz.

- Zapomniałeś kapelusza – powiedział – jesteś, bracie, cholernie roztargniony.

* * *

Wjechaliśmy w wąski kanion. Droga stała się nie-
możliwie wyboista i mimo że wóz był solidnie resoro-
wany, o mały włos nie przygryzłem sobie języka, gdy
mówiłem do kierowcy:

- Niech się już pan zatrzyma. Przyjechaliśmy.

Zahamował i spojrzał na mnie nieprzyjaźnie.

– Rany boskie – sapnął – co ja mam z tymi klientami. Zachciało się panu po nocy pchać na takie wertypy.

Sięgnąłem po portfel i wyciągnąłem zeń kilka banknotów. W sumie było tego o wiele więcej niż wystukał licznik. Spojrzenie kierowcy wyraźnie złagodniało, ale nie przestał narzekać:

– Gdyby nie to, że wysiadł pan z policyjnego wozu, za żadne pieniądze nie przyjechałbym tutaj. Taka nocna jazda za miasto nie jest zbyt bezpieczna. Niejeden taksjarsz przekonał się o tym na własnej skórze.

Nie miałem ochoty na pogawędki z taksjarszem. Bez słowa podałem mu pieniądze i wysiadłem. Zaczął zawracać. W ciasnym kanionie nie szło to zbyt sprawnie. Poczekalem, aż wreszcie odjedzie. Przez chwilę oślepiły mnie reflektory, a zaraz potem zobaczyłem czerwone gwiazdy tylnych świateł odjeżdżającej taksówki. Zostałem sam.

Przez kilkanaście sekund stałem nieruchomo i przyzwyczajalem się do ciemności. Łatwo się przyzwyczaiłem. Nie mam wprawdzie oczu nietoperza, ale okazało się, że ciemność nie jest zupełna. Świecił księżyc i gwiazdy. Tysiące, miliony gwiazd. Nie pamiętam już, kiedy przedtem ostatnio widziałem tyle gwiazd. Niebo nad Los Angeles jest bezgwiazdne, otulone opończą spalin i rozświetlone odbłaskami kolorowych neonów.

Pomyślałem, że wolę gwiazdy od neonów. Oddychałem pełną piersią. To było prawdziwe czyste powietrze, przeniknięte wonią ziół, trawy i kwitnącej manza nity. Lepki upał, który towarzyszył mi od tyłu godzin, zagnął się gdzieś zupełnie. Pozostał wśród rozgrzanych

murów, wśród zatrutych spalinami kanionów ulic, we wnętrzach barów i budek z telefonicznymi aparatami.

Zapragnąłem położyć się wśród tych ziół i krzewów, oddychać wonnym powietrzem i gapić się w gwiazdy. Ale nie mogłem tego zrobić. Musiałem się spieszyć. Cholernie spieszyć, jeżeli nie chciałem, by w najbliższym czasie pierwszy lepszy glina zapakował mnie do pudła, skąd przy sprzyjających okolicznościach prowadzi prościutką ścieżka do hermetycznej komórki wypełnionej kwasem pruskim. Musiałem znaleźć mordercę. I udowodnić mu winę.

Tęsknie pomyślałem o moim pistolecie spoczywającym teraz jako dowód rzeczowy w sejfie komendy policji i ruszyłem drogą wiodącą w prawo, w odgałезienie kanionu, przy którym jak sztyldwach na warcie sterczał słup z tabliczką. Nie potrzeba było palić zapalek, żeby odczytać, co wypisano na tej tabliczce. Wystarczyło światło księżyca.

Napis głosił: „Posiadłość prywatna państwa Mitford. Wstęp wzbroniony”.

Wszedłem na teren prywatnej posiadłości państwa Mitford. Przeszedłem może dwieście jardów, a może trochę więcej, i nagle z za zakrętu drogi wyłoniła się zalana księżycową poświatą polana. Na tej polanie połyskując w srebrzystym świetle księżyca stał dziwaczny domek, stanowiący skrzyżowanie chatki Baby Jagi z nadbudówką miniaturowego transatlantyku. Cała budowla podziurawiona była okrągłymi okrętowymi iluminatorami. W kilku z nich paliło się światło.

Podszedłem bliżej do domku i spróbowałem zajrzeć do środka przez jeden z iluminatorów. Niewiele zobaczyłem. Fragmenty ścian i plecy mężczyzny w jasnej

flanelowej marynarce. Mężczyzna odwrócony był do mnie tyłem i nie mogłem dojrzeć jego twarzy.

Podszedłem do drzwi. Nie zapukałem. Po prostu delikatnie spróbowałem nacisnąć klamkę. Poddała się. Pchnąłem drzwi, które otworzyły się bezszelestnie, i wszedłem do środka.

Pokój był niski, wyłożony ciemną boazerią i do złudzenia przypominał wnętrze okrętowej kabiny. Na ścianach wisiały stare morskie mapy, barometry i wysuszone rozgwiazdy. Nie pachniało jednak morzem i wodorostami. Wnętrze wypełniał za to słodkawy zapach marihuany. Po prostu śmierdziało marihuaną.

Mężczyzna w jasnej marynarce nie był zdziwiony. Patrzył na mnie obojętnie zaczerwienionymi oczami i nic nie mówił.

Zdjąłem kapelusz i rzuciłem go na wielki skórzany fotel

– Dobry wieczór – powiedziałem. – Czy pan Frank Mitford?

Apatycznie pokiwał głową i nie ruszył się z miejsca.

Usiadłem sobie wygodnie na drugim fotelu, założyłem nogę na nogę, podciągnąłem nogawkę i zapaliłem papierosa.

– Niech pan sobie usiądzie – zaproponowałem uprzejmie – mam z panem do pomówienia.

Automatycznie usiadł i nadal wpatrywał się we mnie zaczerwienionymi oczami, które nic nie wyrażały.

– Jestem Peter Barlow z agencji detektywistycznej Petera Barlowa – wyjaśniłem. – Dziś rano, a właściwie wczoraj rano – poprawiłem się zerkając na wielki staroświecki zegar w kształcie starodawnego okrętu zawieszony na ścianie – pana żona wynajęła mnie...

Skinął obojętnie głową.

– ...wynajęła mnie, żebym pana odszukał i skłonił do powrotu do domu. Miałem także odebrać naszyjnik z pereł, który stanowił własność pana żony, a który podarował pan pannie O'Toole. Udałem się więc do panny O'Toole i pogawędziliśmy trochę. Chciałem sprawę załatwić polubownie...

Nadal milczał, a jego zaczerwienione oczy były tak obojętne w wyrazie, jak oczy rasowej krowy przeżuwiającej pokarm. Poczułem się piekielnie zmęczony, jakbym przeżył już tysiąc lat albo nawet i więcej.

– Nie ma pan czego do picia? – zapytałem.

Wskazał mi barek w kącie pokoju. Wstałem z fotela.

Podszedłem do barku, znalazłem butelkę whisky. Nalałem sobie do szklaneczki na dwa palce, wypilem. Potem powtórzyłem całą operację. Zmęczenie jednak nie chciało ustąpić. Wróciłem na fotel, znowu założyłem nogę na nogę, popatrzyłem na niego i podjąłem na nowo swoją opowieść:

– Więc poszedłem do panny O'Toole. Gawędziliśmy sobie i nie bardzo mogliśmy dojść do porozumienia. Potem ktoś zachrobotał do drzwi. Ona powiedziała, że to pan przychodzi. Widocznie na pana czekała. Potem dała mi po głowie. Straciłem przytomność. A kiedy ją odzyskałem, ona już nie żyła. Była zastrzelona z mojego pistoletu. Perły pańskiej żony włożono mi do kieszeni. Ktoś zawiadomił gliny. Nakryli mnie i byli przekonani, że ja załatwiłem tę dziewczynę...

Przerwałem i czekałem, co mi powie. Nic nie powiedział, więc ciągnąłem dalej:

– Wszystko wskazuje na to, że to pan załatwił tę małą. Czekwała właśnie na pana. Przestraszył się pan

swojej żony i skandalu i wykorzystał sytuację, żeby zrobić mnie w tę historię.

– Nie zabiłem jej – powiedział cicho – nie zabiłem Kate...

Wzruszyłem ramionami.

– Na razie policja jeszcze myśli, że to ja ją zabiłem. Ale porucznik Dulth jest innego zdania. Najlepszy dowód, że tak jest, to to, że mnie wypuścił. Obawiam się, że skończy pan w komorze gazowej, panie Mitford...

Zobaczyłem w jego oczach coś, jakby cień przestachu. Widocznie moje słowa zaczęły docierać powoli do jego otumanionej marihuaną mózgowicy. Postanowiłem iść za ciosem:

– To nie jest przyjemny rodzaj śmierci. Przywiązują człowieka do fotela i zamykają w betonowej komorze. Potem w suficie otwiera się taka mała klapka i wrzucają przez nią do środka grudki cyjanku potasu. Wpadają one do naczynka z wodą, które ustawią panu koło nóg. Oczywiście miał pan zawiązane, ale usłyszycie pan pluśnięcie i syk. Oczywiście postanowi pan, że za żadne skarby nie wciągnie pan powietrza, ale w końcu zacznie się pan dusić, otworzy usta i odetchnie...

– Nie zabiłem Kate, nie zabiłem – wymamrotał niewyraźnie.

Wstałem z fotela i rozejrzałem się po pokoju.

– Gdzie jest telefon? – zapytałem. – Muszę zadzwonić do pana żony.

Przełknął ślinę i wybełkotał:

– Nie trzeba dzwonić do mojej żony, nie trzeba...

Uśmiechnąłem się do niego przyjaźnie.

– Zostałem wynajęty, żeby pana odnaleźć. Odnalazłem. Muszę zawiadomić klientkę. Firma Peter Barlow

nigdy nie zawodzi swoich klientów. A poza tym muszą przedryndać do porucznika Dultha, niech tu do nas przyjedzie...

– Nie trzeba dzwonić do mojej żony – powtarzał z uporem – nie trzeba dzwonić do porucznika, ja jej nie zabiłem...

W pokoju nie było telefonu. Ale gdzieś musiał być, przecież Mitford dzwonił stąd do swego przyjaciela. Postanowiłem poszukać aparatu. Podeszedłem do bocznych drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do sypialni.

Zabiegł mi drogę i zastawił drzwi swoim ciałem.

– Nie trzeba, nie trzeba. Niech pan tam nie wchodzi. Tam nie ma telefonu, tam nic nie ma... ja jej nie zabiłem, to nie ja – powtarzał gorączkowo i nie myślał ustąpić mi z drogi.

Energicznie ująłem go za poły marynarki i odsunąłem w bok. Nie stawiał oporu, bełkotał tylko swoje: – Nie trzeba – i wpatrywał się we mnie żałośnie.

Nacisnąłem klamkę, pchnąłem drzwi i wkroczyłem do sąsiedniego pokoju. Oczywiście był tam telefon. Stał na niskim stoliku, tuż przy szerokim podwójnym tapczanie. A na tapczanie siedziała pani Eve Mitford i paliła papierosa. Ubrana była w ciemny kostium. Oczy jej błyszczały, a tłuste podgardle układało się w obwisłe fałdy. W prawym ręku trzymała pistolet. Jego lufa skierowana była niedwuznacznie w moim kierunku.

Nie lubię takich widoków. Poczuję, że żołądek podchodzi mi do gardła, a wnętrze ust staje się nieprawdopodobnie suche.

Oblizałem wargi i powiedziałem zgodnie z prawdą:

– Właśnie miałem do pani dzwonić. Nie spodziewałem się tu pani zastać.

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się. Nie był to przyjemny uśmiech. Tak chyba uśmiecha się kobra, zanim wbije w kark ofiary swoje jadowe zęby.

– Jesteś sprytny – powiedziała – cholernie sprytny. Lubię takich. Nadawalibyśmy się do siebie. Jak na to wpadłeś, że on tu jest? I po co go straszysz? On już i tak jest okropnie przestraszony, jeszcze mi się pochoruje.

– Czy mogę usiąść? – zapytałem.

Skinęła głową i końcem lufy wskazała mi stołek koło toaletki z lustrem, na której stało mnóstwo kolorowych słoiczków. Usiadłem na tym stołku.

– Dlaczego go straszyles? – powtórzyła pytanie. – Czy naprawdę myślisz, że ten fajtapa zastrzelił tę dziewczynę?

– Nigdy poważnie tak nie myślałem, proszę pani – wyznałem jej szczerze – chciałem tylko przestraszyć go na tyle, żeby złożył odpowiednie zeznanie. To mogło się udać, proszę pani. On jest zupełnie skołowany. Przynajmniej tak wygląda. Jest otumaniony narkotykami i ma cholernego stracha. Wyobraża sobie, że pani wykończy go tak samo, jak wykończyła jego ukochaną.

Odłożyła papierosa na popielniczkę, spoczywającą na jej kolanach.

– Skąd ci przyszło do głowy, że mam coś wspólnego z tym morderstwem?

– O, to było proste – powiedziałem starając się, by głos mój brzmiał możliwie naturalnie – domyśliłem się tego bardzo szybko. Mogę to pani wyjaśnić, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu...

Zaśmiała się rechetliwie:

– Chcesz zyskać na czasie, cwaniaczku, ale niech będzie. Zasuważ swój kawałek.

- Czy mogę zapalić?
- Nie waż się wkładać rąk do kieszeni – powiedziała twardo – bo podziurawię cię na durszlak. Musisz się obyć bez papierosa.

Skinąłem ze zrozumieniem głową.

– Nie mam broni, proszę pani, ale rozumiem, że pani nie może mi ufać. A więc zacznijmy od początku. Po pierwsze byłem cholernie zdziwiony, że pani wybrała właśnie mnie. Prywatnego łapacza z najbardziej zapa-skudzoną opinią ze wszystkich prywatnych łapaczy w tym mieście. Dopiero potem zrozumiałem, dlaczego się tak stało. Potrzebny był pani kozioł ofiarny, a ja ze swoją opinią do tego najbardziej pasowałem. Ale to zrozumiałem dopiero potem. Na początku to nie spodobała mi się ta marihuana...

- Jaka marihuana? – szczeękęła.
- W pokoju, w którym mnie pani przyjęła, śmierdziało marihuaną, a pani absolutnie nie wyglądała na taką, która lubi sobie popalić. To było bardzo dziwne. Potem dowiedziałem się, że pani mąż pali marihuanę, a według pani zapewnień mąż pani nawet i rzekomo nie wiedział pani, gdzie przebywa. To było kłamstwo, proszę pani. Może przebywał wtedy w sąsiednim pokoju? A może właśnie przed chwilą wyjechał do tego weekendowego domku?

Ale to zrozumiałem też dopiero potem. Pewność, że to pani usunęła tę dziewczynę, zyskałem dopiero wtedy, gdy dowiedziałem się, że porucznik Dulth został zawieszony przez prokuraturę...

Wzruszyła ramionami:

- Nie rozumiem, co to ma ze mną wspólne...
- Ma, proszę pani – zapewniłem ją gorąco – ma.

Kiedy ta dziewczyna dała mi po głowie i wyłączyła z obiegu, została zamordowana. Gdy się ocknąłem, zaraz potem przybyły gliny. Ktoś ich zawiadomił. To mógł być tylko morderca. Nikt inny nie wiedział o zabójstwie. Zawiadomił ich po to, żeby mnie nakryli ze sznurkiem perełek w kieszeni. W chwili, gdy je stamtąd wyciągnąłem, zrozumiałem, że zostałem wybrany na ofiarnego kozła. I prawdę mówiąc od razu pomyślałem o pani...

Popatrzyłem na nią i zapytałem:

– Może jednak mogę zapalić?

– Nie zgrywaj się. Wal dalej swój kawałek. Ciakawie mówisz.

Obliziałem spieczone wargi i zgodnie z jej życzeniem mówiłem dalej:

– Pomyślałem o pani. Ale to było tylko przypuszczenie. Pewność zyskałem dopiero potem, gdy zawiesili porucznika Dultha. To tylko pani mogła zawiadomić prokuraturę, że mnie puścili. Nikt o tym nie wiedział, tylko pani. Dzwoniłem do pani po powrocie do domu. I pani się bardzo wystraszyła, że plan się nie udał i że jestem na wolności. Więc zadziałała pani. Zadzwoiła do prokuratury i naskarżyła na policję, że wypuścili faceta, z którego pistoletu zastrzelono dziewczynę. O tym pistolecie mógł wiedzieć tylko morderca i o tych perłach też. Więc jak się dowiedziałem, że o tym była mowa w skardze na policję, nie miałem już wątpliwości...

Roześmiała się rehotliwie i nieprzyjemnie:

– Jesteś sprytny, cwaniaczku. Ale jednak cię wystawiłam do wiatru. Sam wsadziłeś łeb w pętlę. W najśmielszych marzeniach nie myślałam, że pójdzie tak dobrze. Kazałam Frankowi zadzwonić do tej dziewczyny

i uprzedzić ją o twojej wizycie. Kazał jej stawiać się twardo i wyrzucić cię za drzwi. Chodziło mi tylko o jedno, żebyś zostawił u niej swój bilet wizytowy i mnóstwo odcisków palców. W połączeniu z twoją opinią i moim zeznaniem, że cię tam posłałam, powinno wystarczyć, by właśnie na ciebie padło podejrzenie, że uziemiłeś tę zdirę. Tymczasem ty jak baran dałeś się ogłuszyć i wszystko stało się jeszcze łatwiejsze...

– Szkoda trochę tej dziewczyny – bąknęłam – mogła sobie jeszcze pożyć...

– Nie mogła – głos jej stał się twardy i ostry jak ostrze brzytwy. – Nie mogła. Sięgnęła po moją własność. Musiała zostać ukarana. Została ukarana. Nikomu nie wolno bezkarnie kpić z Eve.

– Przecież można było odebrać te perły. Na pewno by je oddała...

– Nie chodzi o perły, idioto. Chodzi o Franka. Kiedy dwa lata temu wychodziłam za niego, przestrzegano mnie, że pewnego dnia ucieknie z pierwszą lepszą podfruwajką. Powiedziałam wtedy, że nigdy to nie nastąpi... Przynależałam sobie, że nie dopuszczę do tego...

– Przecież wrócił do pani skruszony i przestraszony, gdy mu pani zagroziła policją. Potem pomógł pani napuścić ją na mnie, potem przyjechał tu i czekał potulnie nie dbając o to, co się stanie z jego dziewczyną.

– Nikt nie może bezkarnie kpić z Eve – powtórzyła z uporem – nikt, nigdy. Tę dziewczynę trzeba było ukarać.

Miała spojrzenie człowieka, który głosi słowa objawienia. Takie spojrzenie mają tylko natchnieni kaznodzieje i niektórzy pensjonariusze zakładów dla obłąkanych. Ona naprawdę wierzyła, że panna Kate O'Toole

koniecznie musiała zostać ukarana. To w ogóle nie podlegało dla niej dyskusji.

Chciałem coś powiedzieć, ale rozmyśliłem się.

Przez chwilę milczała i wpatrywała się gdzieś za mnie, w miejsce na ścianie, niewidoczne z mojego punktu widzenia. Robiła wrażenie nieobecnej myślami w tym pokoju. Lufa pistoletu wymierzona dotychczas prościutko w mój brzuch obsunęła się troszeczkę w dół. Zacząłem rozważać swoje szanse. Jeden gwałtowny, tygrysi skok...

Ocknęła się nagle. Lufa wróciła w poprzednie położenie. Krzyknęła:

– Frank! Chodź tutaj!

Przyszedł z sąsiedniego pokoju. Stał obok mnie, obojętny i na poły przytomny, jego ręce zwisały luźno wzdłuż boków, a głowa przechylała się lekko w prawo.

– Frank – powiedziała – słyszałeś naszą rozmowę?

Kiwnął apatycznie głową na potwierdzenie.

– Słyszałeś, że ta zdzira musiała zostać ukarana?

Nie odpowiedział. Powtórzyła lekko podniesionym głosem:

– Powtórz, że musiała zostać ukarana! Każę ci to zrobić!

Milczał. W oczach pani Eve zapaliły się niebezpieczne błyski.

– Frank! – lufa pistoletu lekko skrzyła w jego kierunku. – Masz natychmiast powiedzieć, że ta dzwinka musiała zostać ukarana!

– Niech pan to powie – wtrąciłem się półgłosem – nie warto kłócić się z panią Eve.

Jej spojrzenie strzeliło we mnie.

– Stul pysk!

– Powinna zostać ukarana – wybełkotał Frank drewnianym głosem telefonicznej zegarynki.

Uśmiechnęła się:

– W porządku, Frank. Lubię, gdy mnie się słuchasz. I zapamiętaj sobie, i w przyszłości każda dziwka, która będzie chciała mi cię zabrać, zostanie ukarana. Zostanie ukarana!

Obojętnie pokiwał głową.

– I jeszcze jedno – dodała, a głos jej stał się teraz podobny do syku. – Jeżeli coś podobnego zdarzy się jeszcze raz, i ty zostaniesz ukarany. Zapamiętaj to sobie.

Nic nie odpowiedział.

– Wstawaj – powiedziała podnosząc się z tapczanu i wskazując łufą na mnie – wstawaj, cwaniaczkę. Przespacerujemy się na dwór. A ty, Frank – spojrzała na męża – postaraj się o łopatę. Jest wśród sprzętu przeciwpożarowego przy wyjściu.

Bez słowa wyszedł z pokoju. Ja nie wstawałem.

– Wstawaj! Na co czekasz!

– Nigdzie nie wyjdę, proszę pani. Nie będę pani ułatwiał roboty.

Pomyślałem, że z przyjemnością łyknąłbym sobie whisky. I zaraz ogromnie się zdziwiłem, że w takiej sytuacji przychodzą mi do głowy takie głupie myśli.

– Nigdzie nie pójde, proszę pani – powtórzyłem.

Nie poznawałem swojego głosu. Był to głos kogoś zupełnie obcego, głos jakiegoś zupełnie mi nie znanego mężczyzny. Pomyślałem, że to zupełnie przyjemny głos.

Podeszła jeszcze o krok.

– Mówię ostatni raz. Wstawaj.

Ona naprawdę mówiła to po raz ostatni, nie miałem co do tego wątpliwości. Powoli podniosłem się ze stołka.

Nogi miałem miękkie i sflaczałe, cały byłem miękki i sflaczały, jakby przepuszczono mnie przez wyży-maczkę.

– Proszę pani – powiedziałem – nic pani nie zyska zabijając mnie. Zawiadomiłem porucznika Dultha, że tu jadę. Będą mnie szukali...

Znowu zarechotała.

– Już cię szukają. Pod zarzutem zabójstwa. I będą mocno rozczarowani, gdy cię nie znajdą. Będą niepo-cieszeni, że się im wymknąłeś. A ty będziesz tymcza-sem cholernie dobrze schowany, dwa metry pod ziemią. No ruszaj!

Ruszyłem. Zbliżyłem się do niej o krok, o maleńki kroczek.

– Nie w tę stronę, idź do drzwi!

Dzieliło mnie od niej z dobre trzy jardy. Za daleko, by zaatakować, zawsze zdążyłaby nacisnąć spust.

Odwrociłem się powoli bokiem do niej. I wtedy drzwi się otworzyły i stanął w nich Frank Mitford z łopata w rękę. Kątem oka dostrzegłem, że jej wzrok kieruje się na niego, i w tej samej sekundzie runąłem na podłogę, starając się jednym susem dosięgnąć jej nóg.

Dosięgnąłem. Szarpnięta gwałtownie upadła na wznak, wywracając jakieś krzeselko. Odgłos upadku ciężkiego ciała i rumor wywracanego krzesła zmieszał się z hukami wystrzałów. Nie wypuściła pistoletu i nie straciła głowy. Trzeci wystrzał był już celny. Poczulem tępe uderzenie w lewym barku. Puściłem jej nogi i ciężko opadłem na podłogę. I wtedy błysnęło w powietrzu ostrze łopaty, a starannie zaondulowana głowa pani Eve zatrzepotała niemrawo i zalała się krwią.

Potem były następne uderzenia i jej skowyczący pisk umilkł nagle. Była już martwa, ale on bił nadal, celnie i

precyzyjnie, wkładając w to całą swoją siłę, całą swą nienawiść.

Nie zwracając uwagi na paraliżujący ból, rozlewający się gorącą falą po całej lewej stronie mojego ciała, dopełniłem do porzuconego na podłodze pistoletu. I dopiero wtedy, gdy poczułem go w garści, krzyknąłem.

– Przestań! Wystarczy!

Zamarł ze wzniesioną w górę łopatą. Jego oczy, szeroko rozwarte oczy, okolone czerwonymi obwódkami, spoczęły na mnie. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem wypuścił łopatę, która stuknęła o podłogę tuż obok tego czegoś, co jeszcze przed kilkunastu sekundami było groźną panią Eve Mitford.

Poruszył bezdźwięcznie wargami, a na jego twarzy ukazał się wyraz bezgranicznego zdziwienia.

– Nie ma co, ładnie ją urządziłeś – powiedziałem cicho.

– To ona, to ona – wybełkotał – to ona zabiła Kate, ona zabiła Kate, rozumiesz?... Dlaczego ona ją zabiła? – zaskomlił.

Podniosłem się ciężko z podłogi i podszedłem do telefonu. W głowie mi wirowało. Bezwładnie opadłem na krzeselko. Pistolet położyłem obok telefonu. Zdjąłem słuchawkę i wykręciłem odpowiedni numer.

Posługiwałem się tylko jedną ręką. Nie było to wygodne.

Po chwili usłyszałem zaspany głos porucznika Dulta. Nie dopuszczając go do słowa powiedziałem:

– Jestem w domku weekendowym państwa Mitford. Przyjedź tu natychmiast i weź z sobą paru chłopców. To nic, że jesteś zawieszony. Jutro wszystko się wyjaśni i nikt nie będzie miał o to do ciebie pretensji...

Przerwał mi i zaczął gorączkowo pytać, co się stało.

Nie miałem siły mu tłumaczyć, więc tylko powiedziałem:

– Nic wielkiego. Jest tu ze mną pan Frank Mitford. Pan Mitford chce złożyć ważne zeznanie.

ZBRODNIA W
„SŁONECZNYM KLUBIE”

czyli

morderstwo po szwedzku

Gabinet wyłożony był dębową boazerią, a na podłodze rozpościerał się puszysty dywan. Ozdobna lampa na solidnym, masywnym biurku rzucała spod cienistego abażuru ciepły krąg światła, a grube, poprzetykane złocistą nitką story, zasunięte na oknach, podkreślały jeszcze nastrój solidnej mieszczańskiej intymności. Förste kriminalassistent Pär Barlsson już od pierwszej chwili, kiedy znalazł się w tym gabinecie, nie mógł oprzeć się wrażeniu jakiejś pomyłki. Absolutna prywatność tego wnętrza zupełnie nie pasowała do faktu, że znajdował się w pomieszczeniu biurowym, a ściślej – w kancelarii ekskluzywnego klubu. Wzrok na próżno szukał przedmiotu związanego z urzędowaniem – maszyny do pisania, segregatorów czy czegoś w tym rodzaju. Nawet czarny, lśniący i nieco staroświecki aparat telefoniczny umieszczony był nie na biurku, ale na maleńkim fornirowanym stoliczku ustawionym obok przykrytej włochatym, złocistym kocem leżanki.

Wzrok forate kriminalassidenta nerwowo błędził po całym wnętrzu, starannie wymijając fotel stojący za biurkiem. Siedziała w nim pani Gullbritt Lundin, sekretarz generalny „Słonecznego Klubu”, w którego kancelarii oboje się znajdowali. Pani Lundin była dość chuda,

starszą panią o ciemnych, wyraźnie ufarbowanych włosach. Uczesana była starannie. Na twarzy miała dyskretny makijaż, w uszach niewątpliwie złote klipsy z autentycznymi perłami i paliła papierosa w długiej, także złotej cygarnicze. Poza tym pani Lundin była naga, zupełnie naga, i to właśnie była przyczyna, dla której Barlsson nie mógł się zmusić do skierowania wzroku na swoją rozmówczynię, co skądinąd można było z pewnością poczytywać za brak dobrego wychowania.

Pär Barlsson miał trzydzieści cztery lata, w toku swej policyjnej służby widział już niejedno i nie miał purytańskich skłonności. Lubił na przykład, gdy jego młodsza o prawie dziesięć lat żona Aja krzątała się przy kolacji w stroju Ewy. Tym razem był jednak mocno zaszokowany. Panią Lundin widział dopiero po raz pierwszy w życiu, a jej sucha, pełna godności twarz i dystyngowane maniery kojarzyły mu się raczej z wytwornym salonem czy posiedzeniami rady kościelnej niż z lokalami strip-teasowymi lub fotkami z Playboya.

Chciało mu się palić, ale nie miał po prostu śmiałości przerwać bystrego potoku wymowy pani Lundin i poprosić o pozwolenie zapalenia. Był tak zażenowany, że nie próbował nawet wydobyć z siebie głosu, a treść przemowy pani Lundin docierała do niego piąte przez dziesiąte.

Pani Lundin właśnie mówiła:

– ...wyobraża sobie pan z pewnością, jak bardzo zależy nam na dyskrecji i uniknięciu skandalu. W naszej sytuacji dyskrecja jest jak najbardziej pożądana. Czy mogę się spodziewać, że policja pójdzie nam na rękę i uszanuje nasze pragnienia?

Zamilkła i oczekiwała na odpowiedź. W tej sytuacji første kriminalassistent Barlsson zebrał wszystkie sity i próbując bezskutecznie zatrzymać wzrok na swej rozmówczyń, wybełkotał niezbyt składnie:

– Tak, oczywiście... policja, proszę pani, jest dyskretna... zazwyczaj jesteśmy bardzo dyskretni, bardzo...

Mówiąc to przypomniał sobie, że już dziś raz wysłuchał podobnego przemówienia. Jego zwierzchnik polismästare Ljung wysyłając go do „Słonecznego Klubu” także przekonywał długo, że najważniejszym obowiązkiem funkcjonariusza policji jest takt i dyskrecja.

– Drogi chłopcze – mówił wpatrując się w niego z ojcowską troską – sprawa jest cholernie delikatna. Liczę na ciebie. Nie możesz ani przez chwilę zapominać, że ten cholerny „Słoneczny Klub” jest bardzo ekskluzywnym klubem. Należą do niego grube ryby z finansjery, są jakieś powiązania z dworem, a nawet z posłami do parlamentu. Będziesz stąpał po diabło delikatnym gruncie. Poślizniesz się, a zaraz będziemy mieli na karku interwencje u ministra spraw wewnętrznych i interpelacje w parlamencie w sprawie brutalności policji. Nie daj ci Boże, abyś szepnął choć słówko o tym, co tam usłyszysz lub zobaczysz, jakiemuś pismakowi. Ci brukowi szakale tylko czekają na takie okazje. Potem nigdy nie wydobylibyśmy się z kłopotów...

„Słoneczny Klub” znajdował się piętnaście kilometrów od Ystad, Barlsson miał pewne trudności z jego odszukaniem. Kiedy zatrzymał swój wóz i zapytał o „Klub”, dwie fertyczne dziewczyny spacerujące poboczem szosy zaczęły gwałtownie chichotać i nie sposób było z nich cokolwiek wydobyć. Rozgniewany odjechał i zahamował przed przydrożną kafejką. Wszedł do

środką i zapytał o drogę. Ze zdumieniem stwierdził, że wszyscy obecni w lokalu przerwali rozmowy i zaczęli przyglądać się mu z wielkim zainteresowaniem. Łysy barman, który przecierał ściereczką wysokie szklanki do piwa, przerwał swą czynność, wlepił w Barlssona rozweselone spojrzenie i dopiero gdy ten powtórzył swe pytanie, uśmiechając się dwuznacznie, uprzejmie wyjaśnił, że należy jechać szosą jeszcze pięćset metrów w kierunku zachodnim, a potem skręcić w pełną drogę wiodącą ku morzu.

Mimo zapadającego mroku Barlsson teraz już łatwo odnalazł drogę. Po kilku minutach jego samochód zatrzymał się przed gęstym wysokim żywopłotem. W żywopłocie ukryta była mała furtka. Na metalowych prętach wisiała niewielka złota tabliczka z wygrawerowanym napisem: „Słoneczny Klub”. Wstęp tylko dla członków i osób zaproszonych. Furtka była zamknięta, ale znajdował się przy niej dzwonek. Barlsson nacisnął guzik i dość długo czekał na jakąś reakcję. Nacisnął powtórnie, ale minęło kilka minut, zanim za furtką ukazała się dziewczyna otulona w niebieski płaszcz kąpielowy. Nie zdradzała ochoty na to, by go wpuścić. Milczała i przypatrywała mu się uważnie. Zniecierpliwiony powiedział:

– Niech mnie pani wpuści. Jestem förste kriminalassistent z dyrekcji policji w Ystad. Oto moja legitymacja.

Podał ją dziewczynie przez pręty furtki. Obejrzała ją Lardeo dokładnie i wtedy dopiero wpuściła go do środka.

– Proszę, niech pan wejdzie, panie oficerze. Pani Lundin czeka na pana – powiedziała i starannie zamknęła furtkę.

Błyszczący klucz, przypominający klucze do kas pancernych, wrzuciła do kieszonki kąpielowego płaszcza. Poprowadziła go wąską, wyżwirowaną ścieżką, korytarzem bujnych, wysokich bzów. Ze zdumieniem zauważył, że była bosa. Po chwili stanęli przed niewielkim płaskim pawilonem, zbudowanym z sosnowych belek. Było w nim dwoje drzwi. Wisiały nad nimi żarówki. Na jednych drzwiach widniał napis „Kancelaria”, na drugich „Szatnia”. Panienska wskazała na te drugie i powiedziała:

– Tu jest szatnia, proszę pana.

Wzruszyłem ramionami.

– Przecież nie mam płaszcza, panienko.

– W takim razie, jeżeli pan nie chce skorzystać z szatni – w głosie panienki był cień zdziwienia – proszę wejść do kancelarii. Zaraz powiem pani Lundin, że pan przyszedł.

Wszedł do pustej kancelarii, która nie wyglądała jak kancelaria, i rozglądając się ciekawie po kątach zasiadł wygodnie w fotelu ustawionym naprzeciwko biurka. Potem otworzyły się drzwi i weszła pani Lundin. Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie i powiedziała:

– Bardzo przyjemnie mi poznać przedstawiciela naszej wspaniałej policji. Nazywam się Gullbritt Lundin i jestem sekretarzem generalnym „Słonecznego Klubu”. Witam pana w naszych skromnych progach.

Pani Lundin była zupełnie goła i Barlsson w jednym momencie olśnienia zrozumiał, co oznaczał chichot dziewcząt zaczepionych na szosie, zaciekawione spojrzienia gości w kafejce, dwuznaczny uśmieszek barmana udzielającego informacji, zaproszenie do szatni, jakie go spotkało na wstępie pobytu na terenie klubu, i uporczywie

przestrogi szefa dotyczące dyskrecji. „Słoneczny Klub” był po prostu ekskluzywnym klubem nudystów.

– Bardzo się cieszę – mówiła pani Lundin – że policja jest, jak pan zapewnia, dyskretna. Bardzo się z tego cieszę...

Głos pani Lundin przywrócił Barlssona do rzeczywistości. Pani Lundin nie była jednak w pełni przekonana o dyskrecji policji, gdyż z uporem znowu powróciła do poprzedniego tematu:

– Chciałabym, żeby mnie pan dobrze zrozumiał. Członkami naszego klubu są osoby zazwyczaj bardzo wysoko postawione. Oczywiście wszyscy są od dawna naturystami, ale nie korzystają z obozowisk „Szwedzkiego Stowarzyszenia Naturystów”. Po prostu nie chcą dawać żeru brukowej prasie, która obraźliwie przezywa naturystów nudystami i poluje na dwuznaczne sytuacje. Osoby wysoko postawione wolą odżałować kilkaset koron i wstąpić do „Słonecznego Klubu”. Członkami klubu, proszę pana, są wybitni artyści, trzech posłów do parlamentu, kilka osób z dworu, finansiści, przemysłowcy... Oczywiście większość należy do klubu wraz z rodzinami. Przyjeżdżają tu na weekendy, wpadają w czasie urlopów, niektórzy spędzają tu całe lato, inni goszczą od czasu do czasu w ciągu kilku godzin...

– Żeby pobiegać sobie goło – powiedział Barlsson i zrozumiałwszy, że palnął potworną gafę, poczerwieniał na twarzy aż po same koniuszki uszu.

– Ależ tak, proszę pana – roześmiała się serdecznie pani Lundin – właśnie po to. Pan sobie nawet nie wyobraża, jakie ogromne walory rekreacyjne i moralne kryją się w naturyzmie. Naturyzm daje katharsis,

oczyszcza ze wszystkich brudnych naleciałości cywilizacji dwudziestego wieku, ze wszystkich pęt stworzonych w ciągu tysiącleci przez fałszywie pojętą kulturę. Daje człowiekowi prawdziwe wyzwolenie, pozwala na nieskrępowany kontakt z naturą i środowiskiem naturalnym, wpływa decydująco na rozwój fizyczny jednostki ludzkiej i uwalnia ją od kompleksów i zahamowań... – głos pani Lundin stał się nagle pełen patosu i natchnienia. Tak przemawiają natchnione prorokinie. Pani Gullbritt Lundin należała do ich rodu.

– Proszę pani – powiedział nieśmiało Barlsson, zbierając całą odwagę – proszę pani, ja doskonale wszystko rozumiem, ale pani wybaczy, po prostu nie jestem jeszcze przyzwyczajony. Wyznam pani, że czuję się nieco skrępowany. Czy... czy nie zechciałaby pani, o ile oczywiście nie zrobi to pani wielkiej różnicy, narzucić na siebie czegokolwiek?...

Pani Lundin roześmiała się znowu.

– Ależ oczywiście, młody człowieku! Doskonale pana rozumiem. To jest zupełnie naturalna reakcja człowieka jeszcze nie wyzwolonego od rozpowszechnionych przesądów. Niestety, nie będę mogła jednak spełnić pana prośby. Po prostu nie ma tu w kancelarii niczego z ubrania. A chyba nie chciałby pan, żebym okryła się tą storą – wskazała na okno – albo tym okropnym drapiącym kocem z leżanki – roześmiała się znowu.

Barlsson pomyślał, że nie miałby jednak nic przeciwko temu, uśmiechnął się jednak blado i zapewnił panią Lundin:

– Oczywiście, proszę pani. Niech się pani tym nie przejmuję. Już się jakoś zaczynam przyzwyczajać...

– O, proszę pana, bardzo łatwo się przyzwyczaić –

zarliwie zapewniała pani Lundin. – Nie wyobraża pan sobie, jak w gruncie rzeczy słabe są naloty wszystkich tabu stworzonych przez cywilizację. Wystarczy po prostu się rozebrać, a łańcuchy przyskają jak wątle nitki...

– Proszę pani – przerwał jej pospiesznie Barlsson przerażony, że gorliwa apostołka zechce go zachęcać do natychmiastowego strip-teasu – mój szef wspomniał, wysyłając mnie tutaj, że w „Słonecznym Klubie” zdarzył się jakiś wypadek z bronią... Gdyby więc pani zechciała zaznajomić mnie ze szczegółami...

Pani Lundin przywrócona nagle do rzeczywistości spojrzała na Barlssona z wyraźnym niesmakiem. Skrzywiła wąskie wargi i rzekła zimno:

– Niestety. Rzeczywiście zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Pani Bettan Mattsman została postrzelona. Oczywiście – dodała pospiesznie – nic jej nie grozi.

Doktor Torgso zaręcza, że za kilka dni będzie mogła już chodzić. Na razie biedaczka została unieruchomiona w łóżku. Nalegałam, żeby ją zabrać do szpitala, ale ona bardzo protestowała i doktor Torgso przystał w końcu, aby u nas została...

W Barlssonie obudził się drzemiący dotąd policjant. Zapominając na chwilę o niecodziennym otoczeniu i o braku odzienia pani Lundin, zapytał z zainteresowaniem:

– W jakich okolicznościach zdarzył się ten wypadek? Czy pistolet należał do pani Mattsman?

– Nie, proszę pana – odpowiedziała pani Lundin z bolesnym skrzywieniem warg – Niestety, to nie był jej pistolet. Ona go nawet nie miała w ręku. To pistolet pana Pellinga. To znaczy, chyba jego pistolet... W każdym razie on go trzymał w ręku...

– Wtedy gdy padł strzał?
– Tak, proszę pana.
– A co on właściwie robił z tym pistoletem? Bawił się nim? Czyścił go?

– Ależ nie! – twarz pani Lundin wyrażała teraz najwyższy niesmak. – Niestety, proszę pana, pan Pelling po prostu wystrzelił do pani Mattsman. Wycelował, a potem wystrzelił...

– Dziwny rodzaj żartów – zauważył półgębkiem Barlsson – często takie żarty kończą się tragicznie...

– Pan Pelling wcale nie żartował, proszę pana. Był okropnie zdenerwowany. Najpierw wykrzykiwał, że ją zabije, a potem wystrzelił...

– Ach, to tak było! – Barlsson wydawał się ucieszony. – Więc to było usiłowanie zabójstwa! A gdzie obecnie przebywa pan Pelling? Można go zobaczyć?

– Nie można. Spi teraz. Doktor Torgso mówił, że pan Pelling powinien porządnie się wyspać. Był tak okropnie zdenerwowany tym, co zrobił, że aż żal było na niego patrzeć. Doktor Torgso, gdy tylko opatrzył panią Mattsman, zaraz zrobił mu jakiś zastrzyk i położył go spać. Czuwa przy nim Barbro. Panna Barbro Hanson jest wykwalifikowaną pielęgniarką. Oprócz lekarza mamy oczywiście w „Słonecznym Klubie” i pielęgniarkę. Czasami zdarzają się jakieś oparzenia słoneczne albo drobne skaleczenia i wtedy panna Barbro jest zawsze na miejscu. Doktor Torgso ma także praktykę w Ystad i przebywa u nas tylko kilka godzin dziennie...

Barlsson nie był specjalnie zainteresowany organizacją służby zdrowia w „Słonecznym Klubie”, przerwał więc delikatnie:

– Nie bardzo rozumiem sytuację, pani Mattsman

jest ranna, a pielęgniarka czuwa przy panu Pellingu, który jest tylko zdenerwowany...

– Ależ proszę pana! – oburzyła się pani Lundin. – Przecież nie zostawiliśmy pani Mattsman bez opieki! Leży w izolatce i czuwa przy niej doktor Torgso. Pan Mattsman także chciał czuwać przy żonie, ale doktor Torgso stanowczo nie pozwolił i pan Mattsman musiał pójść spać do ich domku. A jaką miał przy tym minę! Nie jest przyzwyczajony słuchać niczyich poleceń. Pan oczywiście wie, kim jest pan Mattsman?

Z miny förste kriminalassistentą wyczytać było łatwo, że nie ma pojęcia, więc pospieszyła z wyjaśnieniami:

– Słyszał pan chyba o domu bankowym „Mattzman i syn”? Otóż pan Egil Mattzman jest właśnie tym synem!

Teraz Barlsson zrozumiał, o kogo chodzi, i zrobiło mu się dziwnie niewyraźnie. Pomyślał, że polismästare Ljung miał rację zalecając najwyższą ostrożność i delikatność w postępowaniu. Grunt był rzeczywiście niepewny. Pan Mattzman junior był jednym z najbogatszych ludzi w Szwecji i wpływy jego, nawet w kraju rządzonym przez socjaldemokratów, były ogromne.

Zapomniał zupełnie o zażenowaniu i czując narastającą wewnętrzną napięcie powiedział:

– Nie wszystko rozumiem, proszę pani. Kim jest pan Pelling i dlaczego chciał zabić panią Mattzman? Czy nie mogłaby mi pani tego wyjaśnić?

– Pan Pelling jest artystą. Malarzem. Mnie osobiście nie bardzo podobają się jego obrazy. Nie bardzo mogę zrozumieć, co niektórzy widzą w brudnych plamach farby na jego płótnach. Ale to oczywiście rzecz gustu. A chciał ją zastrzelić po prostu z miłości. Bardzo ją kochał...

– Znam, proszę pani, inne sposoby wyrażania uczuć niż strzał z pistoletu...

– Ja też, proszę pana – pani Lundin wzruszyła nagiemi ramionami i gest ten przywiódł Barlssonowi na myśl zapamiętany w zoo ruch, jakim sępy unoszą swoje skrzydła. – Niestety, pan Pelling nie jest człowiekiem zrównoważonym psychicznie. Jest taki nienowoczesny i romantyczny! Ma chyba mnóstwo kompleksów. Oczywiście byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie był naturystą. Naturyzm, aktywnie uprawiany naturyzm, potrafi sprawiać cuda. Sądzę, że gdyby Pelling nie był naturystą, jego kompleksy zawładnęłyby nim zupełnie i wylądowałby w jakimś psychiatrycznym szpitalu... Sądzę...

Barlsson nie miał jednak ochoty słuchać wywodów pani Lundin na temat walorów naturyzmu. Przerwał więc pytaniem:

– Czy pani Mattsman wiedziała o uczuciach pana Pellinga?

– Ależ oczywiście! Przecież była jego narzeczoną! Mieszkali razem przez dwa lata. Dopiero później wyszła za mąż za pana Mattsmana. Ściślej, wyszła za niego przed miesiącem.

– I pan Pelling nie mógł się z tym pogodzić?

– Właśnie! – w głosie pani Lundin znać było niesmak. – Zachowywał się zupełnie jak człowiek niecywilizowany. Przecież, proszę pana, takie rzeczy są na porządku dziennym. Ci artyści to takie w gruncie rzeczy prymitywne istoty. Rządzą się instynktami...

Barlsson zauważył natychmiast sprzeczność w rozumowaniu pani Lundin, która narzekając na pęta cywilizacji potrafiła jednocześnie zarzucać komuś brak

takowych, ale nie miał zamiaru zdradzać się ze swym spostrzeżeniem. Zapytał tylko:

– Czy nie mogłaby mi pani opowiedzieć możliwie dokładnie, jak doszło do tego, hm, nieszczęśliwego wypadku? Chodziłoby mi nie tylko o wydarzenia dnia dzisiejszego, ale także o tło tego wszystkiego...

– Oczywiście, proszę pana. Ma nasze nieszczęście pan Pelling jest zapalonym naturystą, oczywiście – poprawiła się szybko – nieszczęście nie polega na tym, że pan Pelling jest naturystą, ale na tym, że wybrał nasz „Słoneczny Klub”. Nie bardzo pasował tu do towarzystwa. Bywał krzykliwy i natrętny. Za to jego narzeczona, panna Bettan Torgso, dzisiejsza pani Mattsman, była panią bardzo miłą. Wszyscy ją tu bardzo lubili. Oczywiście nie miała pieniędzy na wpisowe ani na składki, bo u nas, proszę pana, składki i wpisowe są bardzo wysokie, ale była pełnoprawnym członkiem klubu. Przyjęliśmy ją dlatego, że jest bratanicą naszego klubowego lekarza doktora Torgso...

– Czy jej narzeczony, pan Pelling, nie mógł za nią płacić składek?

– Ależ proszę panai Pan Pelling? Pan Pelling sam nieraz zalegał ze składkami. Jego obrazy – tu w tonie jej zabrzmiała satysfakcja – nie cieszyły się zbyt wielkim popytem. Zresztą wcale się temu nie dziwię. Gdyby pan sam zobaczył te wszystkie paskudne, brudne plamy...

– I pan Pelling wraz z narzeczoną przebywali tu często?

– Bardzo często. Jako narzeczeni zajmowali zawsze wspólny domek.

Bettan miała cudowny wpływ na Pellinga. W jej towarzystwie stawał się dużo spokojniejszy i bardziej

znośny. Zamiast sadzić się na niemądre dowcipy, wodził za nią wzrokiem jak pies za swoim panem... Ona zresztą też była zakochana. To się widzi, proszę pana...

– I potem zjawił się pan Mattsman...

– Tak, proszę pana. Potem zjawił się pan Mattsman. To było dwa miesiące temu, w końcu maja. Właśnie otworzyliśmy letni sezon w naszym klubie. Wśród pierwszych gości byli Pelling z Bettan i pan Mattsman. Pan Mattsman był zupełnie nowym gościem. Przedtem uprawiał naturyzm w „Klubie Helleńskim”. I już po paru dniach Bettan zakochała się w panu Mattsmanie. Nie dziwię się jej zresztą. Musiała mieć już zupełnie dość swojego prymitywnego dzikusa, a pan Mattsman jest człowiekiem bardzo kulturalnym i miłym...

– Nie mówiąc już o tym – dorzucił uśmiechając się Barlsson – że jest posiadaczem wielu milionów koron, podczas gdy pan Pelling miewał pewne trudności z uiszczaniem składek...

– Nie traktowałabym tego na tej płaszczyźnie – ostro zaprotestowała pani Lundin – Bettan nie należy do kategorii łowczyń bogatych mężów. Ona po prostu pokochała pana Mattsmana. To była miłość od pierwszego wejrzenia, prawdziwe uczucie. Panna Bettan poszła za głosem serca...

– A jak to przyjął pan Pelling?

– Bardzo niedobrze. Jak smarkacz. Nie potrafił zachować się godnie. Po prostu nie mieści mi się w głowę, jak współczesny człowiek, zwłaszcza Szwed, może reagować w tak prymitywny sposób na tak oczywiste zdarzenie, jak to, że jego partnerka po pewnym czasie ma go już dosyć i przeprowadza się do domu innego mężczyzny?

– Przeprowadziła się do domku pana Mattsmana?
– Oczywiście! A cóż miała robić? Zwróciła Pellingowi jego narzeczeńską obrączkę i przeprowadziła się do Mattsmana. Pelling dostał wtedy ataku szału. Straszliwie kłął i wygrażał im obojgu. Wytworzyła się bardzo nieprzyjemna sytuacja. Wszyscy członkowie klubu bardzo współczuli Bettan i oburzali się na Pellinga. Na szczęście, Mattsman wraz z Bettan wyjechali po kilku dniach. Pelling jakby się trochę uspokoił, a w tydzień potem opuścił nas.

Przed miesiącem doktor Torgso powiedział mi, że jego bratanica wyszła za Mattsmana. Serdecznie mu tego pogratulowałam. Przed dwoma tygodniami państwo Mattsman zawitali do nas na miesięczny pobyt. Pan Mattsman uważał, że należy mu się odpoczynek po intensywnej pracy. Twierdził że nic tak nie regeneruje sił jak kilka tygodni aktywnego naturyzmu, oczywiście naturyzmu uprawianego w miłym towarzystwie.

Przed trzema dniami pojawił się pan Pelling. Po prostu zdrętwiałam na jego widok, gdy wkroczył do kancelarii, by zgłosić swój pobyt w klubie. Wyznam panu, że po prostu byłam przerażona. Bałam się, że przy jego prymitywizmie uczuciowym i intelektualnym, z powodu tego pożał się Boże artyści, wyniknąć mogą na terenie klubu nie lada kłopoty! Ale byłam bezradna. Pelling miał uregulowane wszystkie składki i nie było żadnego powodu ani pretekstu, żeby odmówić mu u nas gościny...

Początkowo wydawało się, że wszystko się jakoś ułoży. Pelling nie narzucał się Mattsmanom. Ustępował im z drogi i tylko codziennie rano wymieniał z Bettan chłodne ukłony. Niestety! To jest naprawdę zupełny barbarzyńca!

Dziś późnym popołudniem bomba wybuchła. Pokazał, do czego są zdolni tak zwani artyści! Bettan, to znaczy pani Mattsman, wpadła do mnie do kancelarii na pogawędkę. Bardzo często przychodziła tu do mnie. To był jej stary zwyczaj, jeszcze z czasów, kiedy była narzeczoną Pellinga. Gawędziłyśmy sobie tak z pół godziny, a wtem otworzyły się drzwi i do kancelarii wpadł Pelling.

Wyglądał tak, że na sam jego widok serce we mnie zamarło! Był bardzo blady i chyba mocno pijany. Niósł z sobą torbę plażową, z której wystawała szyjka butelki. Najpierw zaczął się strasznie, histerycznie śmiać, a potem usiadł na fotelu, na którym pan teraz siedzi, i wybuchnął straszliwym płaczem. Wył jak potępieniec.

– Zupełnie nie wiedziałam, gdzie się mam podziąć i co zrobić. Nienawidzę takich wulgarnych, melodramatycznych scen! Jak można robić z siebie takiego błazna! – teraz głos pani Lundin aż dygotał od hamowanego oburzenia. – Po prostu nie mieści mi się to w głowie!

Ale Bettan znalazła się wspaniale. Wstała z krzesła i chłodno powiedziała, żeby Pelling przestał odgrywać tu komedię i zachował się jak prawdziwy mężczyzna.

I wtedy to się stało!

Pelling wrzasnął, że właśnie rzeczywiście czas już kończyć z komediami, i wyciągnął z torby pistolet. Wycełował z niego do pani Mattsman i wykrzykiwał, że ją zabije.

Mnie aż sparaliżowało z wrażenia, ale Bettan w dalszym ciągu była spokojna. Powiedziała tylko, żeby odłożył tę zabawkę, bo jest nietrzeźwy i może sobie zrobić krzywdę.

– I wtedy on wystrzelił?

- Wystrzelił. To było straszne.
- Wszystko to zdarzyło się tutaj?
- Tak.
- Co się stało z pistoletem?
- Potem go schowałam. Mam go tutaj.

Przerwała, sięgając do szuflady biurka, wydobyła stamtąd pistolet i podała go Barlssonowi.

Förste kriminalassistent ujął go ostrożnie w rękę i obejrzał dokładnie. Był to małeńki kieszonkowy pistolet kalibru 6,35 systemu browning.

– Z tej zabawki trudno kogoś zabić – powiedział – pocisk jest mały i ma niewielką szybkość początkową.

– Toteż Pelling nie zabił pani Mattsman – obruszyła się pani Lundin – ranił ją tylko...

– Ma pani rację. Przepraszam, że przerywam. Proszę opowiadać o tym, co było dalej... – schował pistolet i słuchał uważnie.

– Dalej? Potem zrobiło się piekło! Pani Mattsman upadła na ziemię, a Pelling upuścił pistolet i rzucił się na nią. Zaczął ją całować i krzyczeć, że ją zabił i że jest potępiony... Na szczęście znalazł się doktor Torgso. Przechodził właśnie obok. Usłyszał wystrzał i ryki Pellinga. Wpadł do środka, obezwładnił szaleńca i udzielił pierwszej pomocy pani Mattsman.

– Obezwładnił Pellinga?

– Tak. Musiał to zrobić. Pelling zachowywał się niepoczytalnie. Bardzo przeszkadzał doktorowi. Doktor musiał go uderzyć kilka razy. Bardzo mocno uderzyć. Pan Torgso w młodości trenował boks – wyjaśniła z mściwą satysfakcją.

– Co zdarzyło się następnie?

– Doktor opatrzył panią Mattsman, a potem dał zastrzyk Pellingowi, który nie przestawał zalewać się łzami i przysięgać, że odbierze sobie życie, jeżeli Bettan się coś stanie. Rozglądał się za swoim pistoletem. Na szczęście schowałam go przedtem do szuflady...

– Kiedy pan Mattsman dowiedział się o wypadku?

– Nie zdążyliśmy go zawiadomić, sam przyszedł do kancelarii, bo nie mógł się doczekać Bettan. Szczęściem Pellinga już tu nie było. Doktor dał mu zastrzyk, a Barbro, to znaczy pielęgniarka, odprowadziła Pellinga do jego domku. Gdyby ci dwaj się spotkali, mogłoby dojść do nowego nieszczęścia...

– Pan Mattsman tak mocno zareagował na to, co się stało?

– Jeszcze jak! Krzyczał, że zabije tego mordercę, że wpakuje go do więzienia i że szkoda, iż w Szwecji zniesiono karę śmierci. Bettan go bardzo uspokajała i mówiła, że to ona czuje się winna wobec Pellinga i że świetnie rozumie tamtego chłopca. Potem Mattsman chciał natychmiast wywieźć Bettan do szpitala albo sprowadzić tu helikopterem najlepszych chirurgów z kliniki Królewskiej Akademii. Bettan bardzo się jednak uparła. Powiedziała, że ufa swojemu stryjowi i że nie chce wtajemniczać w to, co się stało, nikogo obcego, gdyż za wszelką cenę trzeba uniknąć skandalu. W końcu Mattsman ustąpił, ale nie wyglądał na przekonanego...

Pani Lundin umilkła. Barlsson pomyślał przez chwilę, a potem zapytał:

– Czy policja została powiadomiona o wypadku z pani inicjatywy?

Pani Lundin skrzywiła się, jakby przełknęła coś wyjątkowo gorzkiego:

– Wyznam panu szczerze, że myśl o wizycie policji w „Słonecznym Klubie” nie napawała mnie entuzjazmem. Początkowo oczywiście przede wszystkim pan Mattsman żądał zawiadomienia policji, w końcu pod wpływem żony pohamował się, ale doktor Torgso był nieustępliwy. Nalegał, że naszym obowiązkiem jest powiadomić władze. Cóż było robić. Musiałam się zgodzić i zadzwoniłam do dyrekcji policji w Ystad.

– Doktor Torgso wydaje się mi bardzo rozsądnym człowiekiem. Wypadek był poważny i policja rzeczywiście powinna była zostać o nim powiadomiona – stwierdził Barlsson. – Czy mógłbym zobaczyć pana Pellinga.

– Mówiłam już panu, że Pelling śpi...

– To nic nie szkodzi. Chciałbym go jednak zobaczyć, proszę pani.

– W takim razie poproszę za mną.

Podniosła się zza biurka, Barlsson uświadomił sobie, że starsza pani jest zupełnie naga, i uczucie zażenowania owładnęło nim ponownie.

Wyszli z kancelarii. Szedł za nią zwirowaną ścieżką i w blasku księżyca widział jej chude, kościste ciało. Noc była chłodna i Barlsson nie mógł oprzeć się myśli, że pani Lundin musi solidnie szczękać zębami.

Minęli kilka domków campingowych przycupniętych wśród krzewów, i zatrzymali się przed jednym, w którego zasłoniętym pomarańczową firaniczką oknie paliło się światło.

– To tutaj – powiedziała pani Lundin.

– Niech pani wejdzie ze mną – zaproponował Barlsson. Wciąż nie mógł opędzić się myśli, że chudej pani Lundin musi być okropnie zimno i że starsza pani

możliwie jak najszybciej powinna znaleźć się w jakimś ciepłym wnętrzu.

Pani Lundin bez pukania pchnęła drzwi i weszli do środka. I znowu Barlssona zatknęło. Powinien być przygotowany na taki widok, jednak nie mógł się jeszcze przyzwyczaić. Na stołeczku koło tapczanu siedziała śliczna blondynka i czytała książkę. Jedyńm jej strojem był sztywny, wykrochmalony czepek pielęgniarski. Na tapczanie spał w dziwacznie skrzyconej pozie nagi mężczyzna. Miał bardzo długie zmierzwiłone rude włosy i brodę okalającą całą twarz.

Dziewczyna odłożyła książkę i ze zdziwieniem malującym się na ślicznej buzi popatrzyła na ubranego mężczyznę stojącego w progu. Jej brwi uniosły się ku górze w grymasie zaskoczenia.

– Ten pan, Barbro – powiedziała pani Lundin – jest z policji i chciał zobaczyć pana Pellinga.

– Pan Pelling śpi – odpowiedziała dziewczyna i uśmiechnęła się wdzięcznie.

– Czy nie mogłaby pani go obudzić? – zapytał przez ściśnięte gardło Barlsson.

– Obudzić? – panna Barbro uśmiechnęła się jeszcze promienniej.

– Niestety, proszę pana. Tego nie da się zrobić. Pan doktor wstrzyknął panu Pellingowi dożylnie bardzo silną dawkę largactilu. Pan Pelling obudzi się dopiero jutro rano. Gdyby jakimś cudem obudził się wcześniej, nie byłby w pełni przytomny. Dlatego muszę przy nim czuwać całą noc...

– Widzi pan – cierpko zauważyła pani Lundin – mówiłam już panu, że nie sposób dziś rozmawiać z panem Pellingiem.

– W takim razie chciałbym zobaczyć się z panią Mattsman...

– Nie wiem, czy doktor Torgso pana do niej dopuści, ale możemy spróbować. Chodźmy do izolatki.

Barlsson miał cichą nadzieję, że chociaż doktor Torgso będzie ubrany, ale nadzieja się nie spełniła. Doktor Torgso, wysoki wąsaty grubas w średnim wieku, był równie nagi jak wszyscy dotychczas poznani przez förste kriminalassistentę mieszkańcy obozu. Stał w drzwiach izolatki i ostro protestował przeciwko zakłócaniu spokoju swojej pacjentce.

– Bettan jest w stanie szoku – tłumaczył – trochę gorączkuje, a z pewnych medycznych względów nie mogę jej na razie podać środków uspokajających. Proszę jej więc nie męczyć...

Upór doktora przełamała dopiero sama pani Mattsman, która włączyła się do rozmowy:

– Stryjku. W tej chwili wpuść tego pana z policji! Jeżeli go nie wpuścisz, to natychmiast zerwę opatrunek! – w głosie, który dobiegał zza uchylonych drzwi, brzmiały nutki hysterii.

Doktor Torgso niechętnie spełnił żądanie bratanicy, ale minę miał bardzo niezadowoloną.

– Tylko krótko – burknął – błagam pana, niech pan rozmawia z nią jak najkrócej. Ona naprawdę jest w stanie szoku !

Pani Mattsman też oczywiście nie miała na sobie żadnego ubrania. Była to ładna, dobrze zbudowana dziewczyna o jasnych włosach. Na policzkach miała mocne wypieki, a oczy jej błyszczały. Leżała na biało zaścienionym łóżku szpitalnym, a jej prawe udo spowijały

grube warstwy bandaża połączonego z jakąś drucianą konstrukcją, która usztywniała całą nogę.

– Widzi pan, jak mnie ładnie urządził! – krzyknęła z gniewem wskazując na opatrunek.

Barlsson pomyślał, że mówi o Pellingu, ale z jej dalszych słów wynikało coś innego:

– Mówiłam mu, żeby nie zakładał tych potwornych drutów! Przecież nie mogę ruszyć się z miejsca!

– Noga musiała być usztywniona, Bettan – łagodnie wyjaśnił doktor Torgso – po prostu musiała być usztywniona. Jutro wieczór zdejmemy te druty, ale do tego czasu musisz leżeć nieruchomo.

Pani Mattsman nie bardzo godziła się z tą koniecznością, czemu dała wyraz w sposób dosyć gwałtowny.

Potem przypominała sobie o obecności Barlssona i zwróciła się do niego:

– Niech pan tylko nie zamyka Uwego. To biedny chłopak, postąpiłam wobec niego bardzo paskudnie. Zupełnie dobrze go rozumiem. Zresztą on, proszę pana, wcale nie chciał mi zrobić krzywdy. Po prostu poniosły go nerwy. Bardzo pana proszę, niech go pan nie zakuwa w kajdany!

Barlsson solennie zapewnił dziewczynę, że nie ma na razie najmniejszego zamiaru zakuwać w kajdany pana Pellinga, i poprosił, by króciutko opowiedziała mu o tym, co się właściwie wydarzyło.

Jej wersja pokrywała się w zasadzie z opowiadaniem pani Lundin z tym, że wyczyn Pellinga potraktowała znacznie bardziej wyrozumiale. Winę brała właściwie całkowicie na siebie twierdząc, że swym zachowaniem wyprowadziła z równowagi wrażliwego, zrozpaczonego, a w dodatku pijanego chłopaka.

Barlsson w skupieniu wysłuchał tego, co miała do powiedzenia, podziękował jej grzecznie i już zabierał się do wyjścia, gdy dziewczyna zatrzymała go gwałtownym okrzykiem usiłując jednocześnie podnieść się z łóżka, co wywołało wyraźny przestрах na twarzy wąsatego doktora.

– Proszę pana! Niech pan jeszcze nie odchodzi, mam do pana wielką prośbę!

Zatrzymał się grzecznie w proggu.

– Chodzi mi o Egila, o mojego męża. Jest strasznie zdenerwowany i boję się, że zrobi jakieś głupstwo. Ten idiota – wskazała palcem na doktora – mój stryjek, me wypuszcza go do mnie. Nie wiem, co Egil sam tam wymyśli. Zapewne nic mądrego. Może mu przyjść na przykład do głowy zadzwonić do Sztokholmu do ministra spraw wewnętrznych, żeby tamten przysłał tu ze stolicy policję po Uwego, albo wymyśli coś równie idiotycznego! Gdyby był pan tak dobry i wpadł teraz do Egila, uspokoił go trochę, powiedział mu, że policja wie już o wszystkim i że ja czuję się dobrze! Mój stryjek nie chce sam się do niego pofatygować!

– Zrozum, Bettan – łagodnie przemówił doktor Torgso. Nie mogę odejść od ciebie. Jesteś w stanie szoku, a środki uspokajające mogę ci podać dopiero za dwie godziny, o północy...

– Nie wygłupiaj się! – wrzasnęła Bettan. – Nie chcesz iść do Egila dlatego, że mnie nie kochasz! Nigdy mnie nawet nie lubiłeś! Taki stryjek gorszy jest od zary!

Barlsson zaniepokojony, że będzie świadkiem sceny rodzinnej, zapewnił spiesźnie, że natychmiast odwiedzi

pana Mattsmana, i wycofał się szybko, kłaniając się grzecznie.

Na zewnątrz czekała pani Lundin, której Torgso nie wpuścił do izolatki.

– No jak tam, zadowolony pan z rozmowy? – zapytała uśmiechając się sceptycznie.

– Tak, proszę pani – powiedział Barlsson. – Chciałbym jeszcze odwiedzić pana Mattsmana.

– Proszę bardzo – zgodziła się chętnie – to niedaleko stąd. Sama chciałam do niego pójść. Biedaczysko jest zupełnie wyprowadzony z równowagi. Nie dziwię mu się zresztą – dodała.

Znowu ruszyli razem żwirowaną ścieżką i Barlsson czując przenikliwy chłód wieczorny nie mógł powstrzymać się od pytania:

– Czy naprawdę nie jest pani zimno?

Roześmiała się wesoło.

– Młody człowieku, jeżeli zdecyduje się pan zostać naturystą, sam się pan przekona, że po dwóch, trzech sezonach nic pan nie będzie sobie robił z takiej temperatury jak dzisiaj.

Zatrzymali się przed domkiem campingowym ustawionym tuż przy pniu jakiegoś wielkiego, rozłożystego drzewa. W okienku paliło się światło. Tym razem pani Lundin zapukała do drzwi i dopiero po usłyszeniu głosu zapraszającego do wejścia nacisnęła klamkę.

Barlsson spodziewał się widoku kolejnego nagusa, toteż prawdę mówiąc poczuł coś w rodzaju zdziwienia, gdy okazało się, że pan Mattsman ubrany jest we włochaty wiśniowy szlafrok. Leżał na tapczanie ze szklaniczką w rękę, a na stoliku obok stała na poły opróżniona butelka, w której pływały jakieś żdźbła trawy.

Barlsson natychmiast rozpoznał butelkę. Była to polska wódka, o której slogan reklamowy głosił, że zawiera wyciąg trawy ulubionej przez polskie bizona.

Pan Mattsman był mężczyzną po pięćdziesiątce. Jego mocno szpakowata czupryna znajdowała się w stanie krańcowego nieładu, a na suchej, opalonej twarzy malował się niepokój.

– Stało się coś? – zapytał nerwowo odstawiając szklaneczkę. – Jak się czuje Bettan? Pogorszyło się jej?

Barlsson pospiesznie wyjaśnił, że pani Mattsman czuje się nieźle, że właśnie od niej wraca i że jest przedstawicielem policji z Ystad.

Twarz Mattsmana uspokoiła się momentalnie.

– Policja? To świetnie! Mam nadzieję, że zajmą się panowie tym chłystkiem podającym się za artystę. Bettan jest sentymentalna i nie chciała zawiadomić policji. Bałem się, że ten napuszony dureń, który nie dopuszcza mnie do mojej żony, uległ w końcu jej namowom i nie zawiadomił władz. Ja nie chciałem jej denerwować, ale miałem nadzieję, że stary nie ustąpi. A propos, czy nie uważa pan, że ten szarlatan z wąsami nie daje dostatecznych gwarancji, że leczenie Bettan będzie prawidłowe? Powinienem jednak postawić na swoim i stanowczo zażądać przewiezienia Bettan do kliniki. Ale ona jest tak strasznie uparta... – głos milionera załamał się nagle żałośnie.

Nie wyglądał teraz wcale na człowieka, którego decyzje mogą przewrócić do góry nogami całą ekonomikę królestwa, człowieka, którego nazwisko wymieniano na giełdach całego świata tonem mimowolnego szacunku, jaki dają miliony i powodzenie.

– Nie wiem, proszę pana – szczerze wyznał Barlsson.

– Nie potrafię ocenić kompetencji medycznych doktora Torgso, wydaje mi się jednak, tak na oko sądząc, że stan pana żony nie wymaga chyba natychmiastowego przewiezienia do kliniki...

– Doktor Torgso – z naciskiem stwierdziła milcząca dotąd pani Lundin – jest doświadczonym lekarzem. Może mu pan zaufać, panie Mattsman...

– O, czyżby? – zapytał sceptycznie Mattsman, ale widać było, że się jednak troszeczkę uspokoił.

Zaprosił ich, żeby usiedli, i usiłował poczęstować kieliszkiem polskiej wódki. Odmówili grzecznie, ale stanowczo. Rozmowa była króciutka. Pan Mattsman nie wniósł nic nowego do wiedzy Barlssona o wypadkach, jakie rozegrały się w „Słonecznym Klubie”. Jego wypowiedzi sprowadzały się w zasadzie do z naciskiem formułowanego twierdzenia, że niebezpieczni psychopaci, w rodzaju tego zwariowanego smarkacza Pellinga, stanowią publiczne zagrożenie i winni być dożywotnio izolowani w zakładach psychiatrycznych.

Po wyjściu z domku Mattsmanów pani Lundin zapytała:

– Jaki jest dalszy ciąg programu?

– Po prostu – uśmiechnął się Barlsson – pojedę teraz do domu i porządnie się wyśpię. Wrócę tu jutro rano, a kiedy pan Pelling się już obudzi, porozmawiam z nim i podejmę decyzję, co robić dalej...

– Mam nadzieję, że będzie pan pamiętał o obiecanej dyskrecji – przypomniała z naciskiem.

– Oczywiście, proszę pani – zapewniał Barlsson. – Mój szef polecił mi załatwić całą sprawę możliwie jak najdyskretniej...

Do domu wrócił kilkanaście minut po jedenastej. Aja już spała. Zdjął buty i stąpając delikatnie, aby jej nie

obudzić, przygotował sobie kolację. Potem wykąpał się. Przed oczami przez cały czas majaczyli mu goli ludzie i nie mógł się od tych natrętnych obrazów uwolnić. Ci-
chutko wszedł do sypialni i ostrożnie wsunął się pod koc obok Aji. Okazało się, że wcale nie spała.

Odwróciła się do niego i poczuł przy sobie jej ciepłe ciało, a na twarzy jej oddech.

– Gdzie mój pan i władca wałęsał się do tej pory? – zapytała żartobliwie i przywarła mocno do niego. – Czekałam na ciebie...

Förste kriminalassistent Pär Barlsson przez chwilę poczuł ogromną ochotę, aby opowiedzieć jej, gdzie był i co widział. Ale to trwało tylko chwilę. Jedno mgnienie oka. Zaraz zapomniał o tym pragnieniu.

Był bardzo wczesny chmurny poranek, a trawy pokrywała rześista rosa. Kilku mężczyzn w cywilnych ubraniach stało przed domkiem Mattsmanów w „Słonecznym Klubie”. W pobliżu kręciły się zaaferowane gromadki nagusów. Byli wśród nich mężczyźni, były kobiety i dzieci. Od morza wiał ostry nieprzyjemny wiatr, więc trzy, widać mniej wytrzymałe, naturystki przywdziały swetry. Ale tylko swetry. Nie miały na sobie niczego więcej.

Wśród stojących przed domkiem cywilów był i förste kriminalassistent Barlsson i jego przełożony polismästare Ljung, i kilku innych funkcjonariuszy dyrekcji policji w Ystad.

Polismästare Ljung palił cygaro i miał minę przestraszonego dziecka zbłąkanego w ciemnym borze. Barlsson był niewyspany, nie ogolony. Kilku z policjantów dyskretnie ziewało.

Do grupki mężczyzn podeszła pani Lundin. Godna, wyprostowana i całkowicie bez odzienia.

– Czy już panowie coś ustalili? – zapytała. – Sądzę, że mam prawo o tym wiedzieć, jako że wypadek zdarzył się na terenie klubu, którego mam zaszczyt być sekretarzem generalnym.

Polismästare Ljung o mało nie połknął swojego cygara. Zakrztusił się i wy stękał:

– Za wcześnie o tym mówić, proszę pani. Przecież przyjechaliśmy tu dopiero przed godziną... Czy pani, eee, jako sekretarz generalny tego klubu, nie zechciała by wydać zarządzenia, żeby ci wszyscy – bezradnie zatoczył ręką krąg wokoło – choć troszkę się ubrali?...

– Nic z tego nie będzie, proszę pana – stanowczo oświadczyła pani Lundin, a z głosu jej powiało chłodem. – Ci ludzie zapłacili kilkaset koron po to, by móc tu chodzić bez ubrania. I będą chodzili. Żadna policja nie może nakazać im się ubrać. Żyjemy w wolnym kraju i pan jako przedstawiciel władzy powinien o tym pamiętać...

– Mnie, proszę pani, absolutnie ci państwo nie przeszkadzają – starał się załagodzić sytuację Ljung – chodzi mi tylko o moich chłopców... Widzi pani, oni nie są przyzwyczajeni...

– Powinni się przyzwyczaić – twardo ucięła pani Lundin.

Ljung bąknął coś pod nosem i rozmowa urwała się. Pani Lundin nie zdradzała najmniejszej ochoty na opuszczenie towarzystwa policjantów.

Drzwi domku otworzyły się i ukazała się w nich twarz młodego człowieka o kunsztownej fryzurze.

– Szeffie – powiedział młody człowiek zwracając

się do Ljunga – wszystko już załatwione, prosimy do środka.

Weszli zostawiając panią Lundin na zewnątrz. Byli tu już raz przed godziną, ale tylko przez chwilę. Wycofali się potem ostrożnie, a do roboty zabrali się technicy. Teraz ukończyli już swoją pracę i zwijali sprzęt. Siady ich działalności w postaci kilogramów srebrzystego proszku do utrwalania odcisków palców widniały wszędzie. Skończył też pracę lekarz policyjny doktor Effsing. Pakował swoje narzędzia i wpatrywał się melancholijnie w Mattsmana.

Milioner leżał na tapczanie wyciągnięty i sztywny. Jego wiśniowy szlafrok był teraz szeroko rozchylony, a na pokrytej gęstym włosiem piersi czerniła się wielka, zaskorupiała, ciemnoczerwona plama. Na twarzy Mattsmana nie było przestachu ani bólu, zmarł na niej wyraz przegromnego zdziwienia.

– No tak – powiedział doktor Effsing. – Dostał prosto w serce pocisk sporego kalibru. Wystrzelono do niego z najbliższej odległości. Na krawędziach rany są sadze i nie spalone ziarenka prochu...

– Musiał widzieć swojego mordercę – zauważył Barlsson.

– Oczywiście – powiedział Ljung – i jak widać na załączonym obrazku, bardzo się zdziwił tym widokiem – wskazał na twarz zmarłego. – Nie zdążył się nawet przestraszyć. Tylko się zdziwił...

– Nie stawiał oporu – uzupełnił doktor – nie stwierdziłem najmniejszych śladów walki.

– Kiedy to się stało? – zapytał förste kriminalassistent.

Lekarz zastanowił się chwilę:

– Stężenie pośmiertne jest daleko posunięte. Śmierć musiała nastąpić wczoraj wieczór, gdzieś, powiedzmy, między dziewiątą a jedenastą. I raczej bliżej jedenastej niż dziewiątej...

– Kilka minut po dziesiątej rozmawiałem z nim. Był zupełnie żywy... – powiedział Barlsson.

– No, nareszcie coś konkretnego – blado ucieszył się Ljung – mamy dość precyzyjnie ustalony czas śmierci...

– Musiała nastąpić wkrótce po moim wyjeździe z klubu – zauważył förste kriminalassistent.

– W tej sytuacji, biorąc pod uwagę wszystko, co mi opowiedziałeś o wczorajszych wydarzeniach, musimy szybciotko porozmawiać z nieźrównoważonym panem Pellingiem. Jeżeli oczywiście dawno nie dał już nogi... – spojrzał z wyrzutem na Barlssona. – Synu, trzeba było mieć trochę oleju w głowie i nie dać się nabrać na ten jego sen. Trzeba było pomyśleć, że wariat, który usiłował zastrzelić żonę, spróbuje także wykończyć męża...

Barlsson zaczerwienił się lekko.

– Szeffie – powiedział – Pelling nie uciekł. Natychmiast gdy tu przyjechaliśmy, wysłałem dwóch konstabli do jego domku. Jeden powrócił i zameldował, że Pelling jest na miejscu, drugi pozostał i pilnuje domku...

– Rychło w czas – zrzędził nadal Ljung. – Trzeba było pilnować go wczoraj. Czy wiesz – podniósł nagle głos – w jaką historię wdepnęliśmy?! Czy zdajesz sobie sprawę, kogo będziemy mieli na karku już za kilka godzin?! Czy widzisz już te tytuły w gazetach? „Milioner zabity w obozowisku nagusów” albo „Kto zabił najbogatszego golasa Szwecji?” Czy myślisz, że za kilka godzin nie będziemy już trzęśli portkami przed specjalną komisją ministerstwa spraw wewnętrznych, powołaną

do kontrolowania śledztwa! Człowieku, coś ty najlepszego narobił!

– Proponuję, szefie – spokojnie powiedział Barlsson – abyśmy jednak poszli do pana Pellinga. Biadania nic nam nie pomogą...

Poszli do Pellinga.

Nagi, ze zmierzwionymi włosami i brodą, siedział w kucki na tapczanie i wpatrywał się w nich zamglonym, nieprzytomnym spojrzeniem. Pielęgniarka, panna Barbro, patrzyła na nich z wyrazem uprzejmego zainteresowania na swojej wdzięcznej buzi. Książka, którą Barlsson widział tu już wczoraj, spoczywała na jej nagich kolanach. Na okładce można było przeczytać: Herbert Marcuse *Rozum i rewolucja*.

Ljung, który nie otrzaskał się jeszcze z widokiem nagich ludzi, zastygł w drzwiach i wpatrywał się z niejakim osłupieniem w piękną pielęgniarkę. Szczegółne wrażenie wywarł na nim błyszcząca sterylną czystością pielęgniarski czepek, upięty fikuśnie na jej ciężkich, złocistych włosach.

Barlsson odezwał się pierwszy:

– Jesteśmy z policji. Chcieliśmy zadać kilka pytań panu Pellingowi.

W martwych, zamglonych oczach malarza zajaśniały nagle ogniki zrozumienia.

– A, panowie z policji. Rozumiem. Doskonale rozumiem. Jestem do dyspozycji. Wiem, że jestem zbrodniarzem i muszę ponieść wszelkie konsekwencje swego czynu...

Polismästare Ljung odzyskując nagle kontenans zapytał:

– A więc przyznaje się pan, że dziś w nocy zastrzelił

pan niejakiego Egila Mattsmana? Jednocześnie chciałem pana poinformować – dorzucił sztywno – że nie potrzebuje pan odpowiadać na pytania, które mogą pana obciążyć, i może pan nie odpowiadać w ogóle na żadne pytania bez obecności adwokata, którego pan sobie wybierze...

Pelling wyraźnie nie słuchał tego, co mówił polismästare Ljung. Zmarszczył się boleśnie i wybełkotał:

– Mattsmana?... Jakiego Mattsmana? Przecież strzelałem do Bettan... – Ożywił się nagle i krzyknął:

– Gdzie jest Bettan?! Jak się czuje Bettan!? Czy żyje!

Barlsson przerwał mu niecierpliwie:

– Proszę się uspokoić. Pani Mattsman czuje się nieźle i o ile mi wiadomo, nic jej nie grozi. Natomiast pan Mattsman został zamordowany dzisiejszej nocy. W związku z tym...

– Mattsman zamordowany?! – Pelling ucieszył się wyraźnie. – Dobrze tak draniowi! Jednego łotra mniej na świecie! – w jego głosie brzmiała nie skrywana satysfakcja. – Temu, kto to zrobił – dodał z radosnym uniesieniem – z przyjemnością namalowałbym portret!

– Radziłbym panu – spokojnie oświadczył Ljung – aby bardziej panował nad językiem. Tego rodzaju oświadczenia mogą panu poważnie zaszkodzić. Czy zechciałby pan odpowiedzieć na moje pytanie?

– Jakie pytanie? O co wam, do diabła, chodzi?

– Chodzi o odpowiedź na proste pytanie: czy wczoraj, między godziną dwudziestą drugą a dwudziestą trzecią zastrzelił pan Egila Mattsmana, męża kobiety, którą zranił pan kilka godzin wcześniej?...

Na twarzy Pellinga zagościło bezgraniczne zdziwienie.

– Naprawdę myślicie, że kropnąłem tego drania? – zastanowił się przez chwilę. – Może i to zrobiłem. Miałem na to ochotę, ale nic nie pamiętam... Ostatnie, co mi zostało w pamięci, to ten cholerny wążacz robiący mi zastrzyk... Przedtem mi zdrowo przyłożył... Potem mnie gdzieś prowadzili, a jeszcze później wszystko się urwało...

– Proszę panów – wtrąciła się pielęgniarka. – Myślę, że zaszło tu jakieś nieporozumienie – uśmiechnęła się wdzięcznie – pan Pelling nie mógł wczoraj wieczorem nikogo zastrzelić. Pan doktor Torgso wstrzyknął mu wczoraj dożylnie largactil i pan Pelling zaraz potem usnął. Spał przez całą noc. Obudził się przed dwudziestu minutami.

– I nie obudził się w nocy? Ani na chwilę? – podejrzliwie zapytał polismästare Ljung.

– Largactil wstrzyknięty dożylnie działa w ten sposób... – zaczęła z profesjonalną powagą tłumaczyć dziewczyna – że...

Ljung przerwał jej niegrzecznie:

– Gdy się będę chciał dowiedzieć, panienko, jak działa largactil, zajrzę do encyklopedii medycznej. W tej chwili chcę tylko wiedzieć, czy pan Pelling budził się w nocy.

– Nie, proszę pana. Pan Pelling nie budził się w nocy. Nie mógł się obudzić – dokończyła z wyraźną urazą.

– I pani może to potwierdzić?

– Mogę, proszę pana. Czuwałam przy panu Pellingu przez całą noc.

– I nie opuszczała panienka pokoju ani przez chwilę?

– Jeśli mam być dokładna...

– Ma panienska być dokładna – zgryźliwie mruknął polismästare.

– To wychodziłam z pokoju dwukrotnie. Do ubikacji – wyjaśniła. – Za każdym razem nie było mnie przez cztery do pięciu minut.

– Nie dłużej?

– Nie dłużej – w głosie panny Barbro brzmiało przekonanie i powaga.

Polismästare westchnął cichutko, podrapał się w czubek wyłysiałej czaszki i wyraźnie niezadowolony z takiego obrotu sprawy zapytał jeszcze:

– Zzna to pani pod przysięgą?

– Oczywiście, proszę pana.

Ljung stracił ochotę na dalszą rozmowę z Pellin-giem.

– Nic tu po nas – powiedział do Barlssona – zabieramy się stąd...

– Nie zaaresztuje mnie pan? – zapytał rudzielec z wyraźnym zdziwieniem. – Przecież ranilem Bettan. Muszę ponieść konsekwencje...

Ljung przetarł czoło rękawem marynarki:

– O tym, młody człowieku, czy poniesie pan konsekwencje za pański wczorajszy wygłup, zdecyduje prokurator. Osobiście mam nadzieję, że je pan poniesie. Niestety, nie ode mnie to zależy...

Wyszli z domku Pellinga. Okazało się, że tymczasem zaczął padać deszcz. Nadzy ludzie, którzy od początku z pewnej odległości towarzyszyli ich poczynaniom, gdzieś się rozpierzchli, zniknęła też pani Lundin. Na posterunku pozostały tylko dwie panienski. Obie ubrane w nieprzemakalne płaszcze z przezroczystej folii.

– Co dalej, szefie? – zapytał Barlsson.

– Niewesoło, synu. Najważniejszy podejrzany, a właściwie jedyny podejrzany, wywinął się nam z sieci...

– Szefer wierzy tej dziewczynie?

– Nie wiem, dlaczego miałbym nie wierzyć. Sądzę jej w każdym razie by uwierzył...

– I co dalej?

– I co dalej, i co dalej? – zdenerwował się Ljung. – A skąd ja, u licha, mam to wiedzieć? Trzeba zacząć normalne śledztwo... – Zresztą – pocieszył się – chyba nie my je będziemy prowadzić. Zabójstwem Mattsmana zajmie się z pewnością Sztokholm. Za wysokie progi na nasze nogi. Ty w dalszym ciągu, synu, nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji... To nie zwyczajne zabójstwo w knajpie portowej. Mattsman to był ktoś. Człowiek taki jak on musiał mieć potężnych wrogów. I to na całym świecie. Kto może zaręczyć, że zabójca nie przybył na przykład z Urugwaju? Czytałem, że dom bankowy „Mattsman i syn” prowadził w tym kraju ożywioną działalność inwestycyjną... Słyszałeś o Tupamaros?

– Szefer żartuje – uśmiechnął się Barlsson. – Dlaczego urugwajscy partyzanci mieliby zabijać szwedzkiego milionera?

– Wcale nie żartuję – rozsierdził się Ljung. – Wszystko jest możliwe! Przecież żyjemy w tym cholernym dwudziestym wieku.

Pomilczał chwilę, zagryzł cygaro i zapytał już zupełnie innym tonem:

– A ty co o tym sądzisz?

– Na razie nic nie sądzę – szczerze wyznał Barlsson. – Zastanawiam się tylko nad kilkoma sprawami...

– Nad czym? – w oczach Ljunga pojawiły się iskielki zainteresowania.

– Zastanawia mnie – odrzekł forsie kriminalassistent – dlaczego Mattsman się nie bronił? Był tylko zdziwiony tym, co zobaczył w ostatniej sekundzie życia...

– Widocznie... nie zdążył się przestraszyć.

– To znaczy, szefie – powiedział Barlsson – że Mattsman nie podejrzewał o nic zdrożnego osoby, która weszła do jego domku. Jej widok go nie zaskoczył...

– Skąd o tym wiesz?

– Gdy wczoraj wieczorem wszedłem do domku Mattsmana, na mój widok poderwał się z leżanki i usiadł. Potem z powrotem się położył i rozmawiał ze mną. Wszystko wskazuje na to, że zginął leżąc...

– Widać z tego, chłopcze, że muszę pożegnać się z moimi partyzantami z Tupamaros – żartobliwie zauważył Ljung. – Sądzić można, że znał dobrze osobę, która przyszła do niego. Przyjmował ją na leżąco, rozmawiał z nią, a potem ona wystrzeliła do niego przykładając mu pistolet do serca...

– I właśnie to wydaje mi się dziwne! – powiedział Barlsson. – To wydaje się wręcz nieprawdopodobne!

– Dlaczego, synu? Nie rozumiem.

– Niech szef w takim razie mi wyjaśni, jak się to wszystko mogło odbyć?

– Po prostu. Ktoś, kogo Mattsman znał, przyszedł do niego w jakiś czas po twoim odejściu...

– Bardzo szybko po moim odejściu – wtrącił Barlsson – w butelce polskiej wódki, którą pił Mattsman, poziom się nie obniżył...

– Bardzo szybko – zgodził się polismästare – ale to nieważne, przyszedł i usiadł na krzeselku koło tapczanu Mattsmana, potem nagle, kiedy tamten niczego się nie

spodziewał, wyciągnął z kieszeni pistolet, przyłożył go Mattsmanowi do piersi i wystrzelił...

– W tym sęk, szefie – uśmiechnął się Barlsson – że tak to nie mogło być...

– Dlaczego?

– Bo w promieniu kilometra od domku Mattsmana nikt tu nie nosi ubrania. Szefie, to jest obóz nudystów. Nudyści nie mają kieszeni, z których mogliby wyciągnąć broń. Widziałem, i szef też widział, że swoje drobiazgi, na przykład chustki do nosa, papierosy i zapalniczki noszą po prostu w rękę. Na przykład pani Lundin. W lewej dłoni trzyma zawsze papierośnicę, zapalniczkę i cygarniczkę.

I niech szef sobie teraz wyobrazi, że jakiś nagus wchodzi do domku Mattsmana. W rękę niesie rewolwer. Czy w tej sytuacji Mattsman zachowywałby się tak spokojnie? Bardzo w to wątpię. Nie zrobił na mnie wrażenia człowieka, który łatwo się poddaje. Po tym, co się stało z jego żoną, każdy przybysz z bronią wzbudziłby jego czujność. Nie dałby się zaskoczyć. Próbowaliby walczyć.

Można oczywiście przyjąć, że morderca już od progu sterroryzował Mattsmana swoją bronią. Kazał mu się nie ruszać, potem podszedł do niego i wystrzelił. Tylko że wtedy na twarzy Mattsmana nie byłoby zdziwienia. Może byłby przestraszony, może gniew, może rezygnacja, ale nie zdziwienie...

– W takim razie – zapytał Ljung – jak się to wszystko odbyło?

– Właśnie tego nie wiem, szefie. Właśnie tego nie mogę zrozumieć.

– Może – ostrożnie zauważył polismästare – morderca przyszedł do Mattsmana w normalnym ubraniu, w którym były kieszenie?

– Może – sceptycznie zgodził się Barlsson – ale to mało prawdopodobne. Ci wszyscy nudyści uznają za punkt honoru nie nosić na sobie nawet najmniejszej szmatki. Na tym polega ich ideologia. Zresztą widok człowieka ubranego wywołuje tutaj ogromne zdziwienie. Morderca, który zaryzykowałby wyprawę do domu Mattsmana w ubraniu, musiałby się liczyć, że zostanie zapamiętany przez przygodnych świadków. Trzeba pamiętać, że znajdujemy się w środowisku, w którym nie nagość, ale właśnie ubranie wzbudza sensację. Niech sobie szef przypomni, w jaki sposób te wszystkie golasy nam się przyglądają...

– Poczekaj, synu – Ljung był wyraźnie zafrasowany – nie galopuj tak szybko. Mimo wszystko nie ma żadnego dowodu na to, że morderca jest nudystą. Być może Mattsmana zamordował jakiś facet ubrany całkowicie normalnie, tak jak ty czy ja. Jednym słowem jakiś przybysz z zewnątrz...

– Myślałem już o tym, szefie. Przepytywałem nawet panią Lundin. Zaraz jak tu przyjechaliśmy. Zaręcza, że nie było tu nikogo obcego. Furtka była starannie zamknięta, a teren klubu otoczony jest zewsząd niezwykle gęstym i kolczastym żywopłotem, przez który nie sposób się przedostać. Tak przynajmniej twierdzi pani Lundin. Trzeba to oczywiście sprawdzić...

– Sprawdź to, synu. To jest podstawowa sprawa – powiedział Ljung – niech nasi ludzie obejrzą sobie ten żywopłot. Wydaje mi się, że jeżeli ktoś nocą przełazi przez kolczasty żywopłot, to musi zostawić po sobie jakieś widoczne ślady. Zajmij się tym.

Barlsson wysłał dwóch konstabli, żeby obejrzeni żywo-
płot. Prawdę mówiąc nie wiązał zbyt wielkich na-
dziei z tym przedsięwzięciem. Wierzył pani Lundin.
Pani Lundin, mimo że pozbawiona odzienia, stwarzała
wokół siebie atmosferę pewności i zaufania. Po prostu
nie sposób było lekceważyć stwierdzeń pani Lundin...

Po wysłaniu konstabli Barlsson zwrócił się do Ljun-
ga:

– Szeffie, za jakąś godzinę będziemy już wiedzieli,
jak się rzecz ma z tym żywo-
płotem. Co robimy teraz?

– A co myślisz, że powinniśmy zrobić?

– Myślę, szefie, że warto by zamienić kilka słów z
panią Mattsman...

– Dobrze pomyślałeś, synu. Z panią Mattsman mu-
simy porozmawiać przede wszystkim...

Panią Bettan Mattsman zastali w stanie godnym po-
żałowania. Unieruchomiona drucianą konstrukcją opła-
tającą jej nogę, leżała wprawdzie na leżance, ale co
chwilę usiłowała usiąść, co wzbudzało ostre protesty
doktora Torgso. Oboje oczywiście byli w dalszym ciągu
całkowicie nadzy, co wywołało u Ljunga kolejną falę
zakłopotania. Jakoś nie mógł przywyknąć do prowadze-
nia normalnej, rzeczowej rozmowy z ludźmi pozbawio-
nymi ubrania.

– Chcieliśmy z panią porozmawiać, pani Mattsman
– bąknął pod nosem.

Zapłakana dziewczyna popatrzyła na niego niezbyt
przytomnie:

– Ze mną? Dlaczego ze mną? Przecież go już ma-
cie... Co ja mogę wam pomóc? Macie go już... ale on...
on nie jest w pełni odpowiedzialny za swoje czyny... to
ja zresztą byłam winna... Czy nie rozumiecie, do jasnej
cholery – wrzasnęła histerycznie – że winna jestem
tylko ja! On był taki wrażliwy i bezbronny... a ja...

– Przepraszam panią – Ljung przerwał jej nieśmiało – nie bardzo rozumiem, o czym pani mówi...

– Jak to o czym! Nie zgrywaj się, ty cholerny hipokryto! Zakuliście chłopaka w kajdany, a teraz odgrywacie komedie! Nienawidzę was!

– Pani Mattsman sądzi – ostrożnie wyjaśnił Barlsson – że zatrzymaliśmy Uwego Pellinga pod zarzutem zamordowania jej męża. Tak mi się przynajmniej wydaje...

Ljung odetchnął z ulgą i pospieszył z wyjaśnieniami:

– Proszę pani, pan Pelling nie został aresztowany. Nie mamy ku temu żadnych podstaw. Pan Pelling ma świetne alibi na okres krytyczny. Jest z pewnością niewinny...

Słowa Ljunga dotarły do świadomości pani Mattsman. Znowu usiłowała się podnieść, czym wywołała zdecydowaną reakcję doktora Torgso. Podbiegł do niej i ujmując ją łagodnie, ale stanowczo za ramiona, ułożył na leżance:

– Leż spokojnie, Bettan. Naprawdę nie wolno ci siadać...

Dziewczyna tym razem posłusznie opadła na poduszkę. Na jej napiętą w bolesnym skurczu twarz spłynął wyraz odprężenia i spokoju:

– Czy to... prawda? Uwe tego naprawdę nie zrobił?...

– Nie mógł, proszę pani – cierpliwie wyjaśnił Ljung – pan Pelling jest na razie poza wszelkimi podejrzeniami. Będzie musiał ponieść tylko odpowiedzialność za zranienie pani.

– Nie chcę, żeby ponosił za to odpowiedzialność. To była wyłącznie moja wina.

– O tym, czy pan Pelling będzie oskarżony o ciężkie uszkodzenie ciała, czy też nie, zadecyduje prokurator.

To już naprawdę nie moja sprawa, ja w swoim raporcie przedstawię tylko fakty. Pani zeznania przed prokuratorem będą też miały ogromne znaczenie. Teraz chciałem z panią porozmawiać o innych sprawach...

– Proszę pana – wtrącił się doktor Torgso – zwracam uwagę, że moja pacjentka znajduje się w bardzo złym stanie psychicznym. Uległa wczoraj poważnemu zranieniu, była w stanie szoku. Środki uspokajające mogłem podać jej dopiero o północy. Do tego czasu bardzo cierpiała fizycznie i psychicznie. Potem usnęła. Obudziła się dziś rano i od razu dowiedziała się, że jej mąż nie żyje. To był nowy szok. W tej sytuacji stanowczo wnoszę o odroczenie przesłuchania.

– Nie mam zamiaru przesłuchiwać pani Mattsman – wyjaśnił skwapliwie polismästare Ljung – chciałem z nią tylko chwileczkę porozmawiać...

– Nie wygłupiaj się, stryжку! – krzyknęła pani Mattsman. – Mogę rozmawiać z każdym i o wszystkim. Mogę też być przesłuchiwana. Niech pan pyta, o co chce.

Doktor Torgso wzruszył ramionami i odszedł w kierunku białego stolika, na którym stała jego czarna lekarska torba. Ujął w palce jej rączkę i powiedział:

– Z punktu widzenia medycyny stwierdzam, że pani Mattsman nie jest w stanie odpowiednim dla przesłuchania policyjnego.

Polismästare Ljung zlekceważył wyraźnie słowa doktora Torgso.

– Czy gotowa jest pani odpowiedzieć na moje pytania?

– Tak, proszę pana. Przepraszam za moje uprzednie zachowanie... Postaram się odpowiadać wyczerpująco na wszystko, o co mnie pan zapyta...

– Dziękuję bardzo. Zaczniemy od prostego i ściśle formalnego pytania. Czy pani wczoraj między godziną dwudziestą drugą a dwudziestą trzecią nie oddalała się z tego pomieszczenia?

– Przecież to było niemożliwe! – podniesionym głosem odpowiedziała pani Mattsman. – Niech pan spojrzy na moją nogę! – wskazała na opatrunek i druty. – Zresztą – dodała – nie podejrzewa pan chyba, że zabiłam swojego męża!

– Nie podejrzewam nikogo, proszę pani, muszę tylko zadać wszystkim formalne pytanie. Na podobne pytanie będą odpowiadali wszyscy mieszkańcy tego obozu. To Jest po prostu konieczne...

– Jeżeli chodzi o Bettan – wtrącił się doktor Torgso – to mogę pana zapewnić, że nie oddalała się z tego pokoju. Po prostu było to fizycznie niemożliwe. Zresztą przez cały czas przebywałem z moją pacjentką. Do momentu kiedy podziały środki uspokajające, podane jej o północy, nie opuszczałem jej ani na sekundę.

– To znaczy do kiedy? – grzecznie, ale dociekliwie zapytał Ljung.

– Bettan usnęła gdzieś koło godziny pierwszej w nocy. Odczekałem jeszcze piętnaście minut i wyszedłem na dwór, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Doktor Torgso w dalszym ciągu bawił się rączką swojej lekarskiej torby.

– Dziękuję bardzo – Ljung skinął głową. – Bardzo mi pan pomógł. Teraz chciałbym, żeby pani odpowiedziała mi na następne pytanie – zwrócił się do dziewczyny. – Czy nie orientuje się pani, kto mógłby być zabójcą pani męża?

Pani Mattsman popatrzyła na nich niezbyt przytomnym spojrzeniem:

– Kto zabił Egila? Któż mógł zabić Egila... Nie wiem, proszę pana...

– Oczywiście początkowo myślałam, że... – zamilkła i zagryzła wargi. – Pan wie zresztą, co myślałam... – dodała – na szczęście okazało się to nieprawdą...

Ljung pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Rozumiem panią doskonale. Wiem, kogo pani podejrzewała. To było zresztą naturalne. Ale teraz, gdy wie pani, że te podejrzenia były bezpodstawne, czy nie zechciałaby pani zastanowić się nad moim pytaniem? Czy pani mąż bał się czegoś? Czy miał jakichś wrogów?

– Egil miał się kogoś bać?... Nie wierzę, żeby bał się kogoś. Był tak pewny siebie... Tak pewny siebie... – zastanowiła się przez chwilę. – Nie – oświadczyła stanowczo – Egil nie bał się nikogo na świecie. To nie było w jego stylu. Egil, proszę pana – stwierdziła nagle tonem wyznania – był twardy. Był bardzo twardy. Czasami mnie to nawet przerażało...

– A co z wrogami? – przypomniał Ljung. – Czy pan Mattsman miał wrogów?

– Wrogów? Nie wiem, proszę pana – bezradnie rozłożyła ręce. – Pewnie miał wrogów. Prowadził tak rozległe interesy... Tylko że ja, proszę pana, tak mało wiedziałam o jego interesach. Tak naprawdę mało wiedziałam. Proszę pana – w słowach jej zabrzmiało zakłopotanie. – Byłam jego żoną dopiero od miesiąca... Egil nie wtajemniczył mnie jeszcze we wszystkie swoje sprawy. Po prostu nie mieliśmy na to czasu... Nie wiem, czy potrafię panom pomóc. Może coś było w przeszłości

Egila, jakaś sprawa, która stała się powodem morderstwa, ale ja o tym nic nie wiem... naprawdę nie wiem... Ljung ze zniechęceniem podrapał się po policzku.

– Szkoda. Wielka szkoda, proszę pani, że nie może nam pani pomóc, ale mogę pani obiecać – dodał twardo – że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby morderca nie uszedł kary. Mogę panią o tym zapewnić...

Zabierali się już do wyjścia, gdy pani Mattsman nagle zatrzymała ich wyraźnie podniecona:

– Proszę panów! Przypomniałam sobie coś ważne-go! Zapomniałam o tym, bo to było takie głupie i nieważne... Przynajmniej wtedy wydawało się takie głupie i nieważne...

– Słucham panią... – polismästare Ljung zatrzymał się w progu.

– Wraz z życzeniami ślubnymi przysłano Egilowi wyrok śmierci... Bardzo się wtedy zdenerwowałam...

– Co takiego? – w głosie Ljunga zabrzmiało zdziwienie. – Wyrok śmierci?

– To był strasznie głupi anonim. Egil pokazał mi go, zanim wrzucił go do kosza.

– Co było napisane w tym anonimie?

– To brzmiało mniej więcej tak: „Trybunał rewolucyjny Ludowej Armii Wyzwolenia Szwecji skazuje Egila Mattsmana na karę śmierci” – było tam coś jeszcze o wyzyskiwaczach, krwio pijcach i burżujach...

– Nie słyszałem jeszcze nigdy o żadnej Ludowej Armii Wyzwolenia Szwecji – w zamyśleniu stwierdził Ljung. – Coś takiego chyba nie istnieje...

– To samo powiedział Egil. Powiedział mi nawet, że kawał jest głupi, ale niezły, i jeżeli żartowniś powtórzy go w stosunku do kogoś bardziej bojaźliwego, będzie

miał uciechę obserwując, jak delikwent skręca się ze strachu.

– Czy odniosła pani wrażenie, że pan Mattsman domyślał się, kto mu mógł zrobić taki kawał?

– Nie. Egil chyba się nie domyślał. Śmiał się tylko, że gdyby wykrył tego żartownisia, też by mu posłał wyrok. Tyle że podpisany przez „Komitet Światowej Kontrewolucji”...

– Co się stało z tym anonimem?

– Egil go po prostu podarł i wyrzucił do kosza.

– Wielka szkoda. Trzeba było jednak mimo wszystko zawiadomić policję. Nigdy nie należy się wahać z zawiadomieniem policji – sentencjonalnie stwierdził Ljung – lepsze jest sto fałszywych alarmów niż przeoczenie jednego prawdziwego. Czy ktoś oprócz pani i pani męża widział ten anonim?

– Nie, proszę pana. Anonim był w prywatnej poczcie Egila, którą otwierał w mojej obecności...

– Bardzo dziękuję za informację – stwierdził Ljung – możliwe, że nam się to przyda w dalszym śledztwie...

Wyszli na zewnątrz. Deszcz padał nadal. Wzmógł się nawet. Nadzy ludzie zniknęli całkowicie z pola widzenia. Barlsson podnosząc kołnierz marynarki powiedział:

– A więc szefie, jednak Tupamaros...

– I to w dodatku nasi rodzimi Tupamaros...

– Szef w to wierzy?

– Nie bardzo, synu. Ale moja wiara nie ma tu nic do rzeczy. Pani Mattsman oświadczyła nam oficjalnie, że jej mąż otrzymał list z pogrózkami. Nie wolno nam zamknąć oczu na to oświadczenie. Czy wyobrażasz sobie, synu, co by to było, gdyby w Sztokholmie dowiedziano się, że zlekceważyliśmy zeznanie pani Mattsman? Moglibyśmy

pożegnać się z posadami. Ty dałbyś sobie radę. Jesteś młodszy i zaradniejszy, ale ja nie umiem robić nic innego poza tym, co robię. Bardzo bym się zmartwił, gdyby mnie wyleli...

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie, szefie...

– Miejmy nadzieję, ale na razie chodźmy gdzieś, gdzie nie pada, i pomyślmy spokojnie, co robić dalej...

Poszli do kancelarii klubu.

– Przydałoby się trochę piwa – narzekał Ljung – niestety, przepisy są twarde. Sprawa jest zbyt poważna, żeby można było przy niej nawet w drobiazgach nie trzymać się przepisów. Gdyby ci tępo głowi kretyni ze Sztokholmu zwietrzyli, że prowadzimy śledztwo, jak oni to by ładnie ujęli, pod wpływem alkoholu, to... nie chcę nawet pomyśleć, co by się wówczas działo... No, synu – ożywił się w nagłym przyptywie energii – dosyć już zmitrężyliśmy czasu. Zabieramy się do roboty. Co proponujesz?

Barlsson, wygodnie rozwalony w fotelu, tym samym, w którym w czasie wczorajszej rozmowy z panią Lundin siedział jak na szpilkach, palił papierosa i tępo wpatrywał się w zasłonę na oknie...

– Nie śpij, synu – zdenerwował się polismästare – czas ucieka, za godzinę będziemy już tu mieli na głowie tych cholernych bubków ze Sztokholmu. Musimy do tego czasu wykazać się jakąś działalnością, bo będzie z nami zupełnie źle. Musimy przedstawić im w każdym razie jakiś sensowny plan działania...

– Plan jest prosty – powiedział Barlsson – trzeba skontaktować się z wydziałem specjalnym w Sztokholmie i powiedzieć im o tym anonimie. Może oni będą wiedzieli, co to za „Ludowa Armia Wyzwolenia”. Mają

tam w swoich rejestrach wszystkie takie zwariowane organizacje i organizacyjki, nawet te najbardziej tajne, o których istnieniu nie wiedzą sami ich członkowie... To pierwsze, co musimy zrobić. Drugie, to natychmiast poprosić panią Lundin, żeby dostarczyła nam pełną listę członków klubu i wykaz wszystkich osób, które obecnie znajdują się na tym terenie. Potem trzeba ich będzie porządnie przesłuchać. Każdy musi podać wiarygodne alibi na krytyczny okres. No i trzeba wreszcie dowiedzieć się, jak się sprawa ma z tym żywopłotem...

– Na co więc czekamy? – denerwował się Ljung. – Trzeba szybko odszukać tę starą czarownicę...

– Szeffie – powiedział Barlsson nie zmieniając wygodnej pozycji w fotelu – zdążymy jeszcze pogadać z panią Lundin. Na razie, gdyby tak szef zechciał wysłuchać, co mi przyszło do głowy... Nie mam najmniejszych dowodów, że tak było naprawdę – zastrzegł się szybko – wszystko, co powiem, to tylko wytwór wyobraźni... W każdym razie może warto się nad tym zastanowić. W całej tej sprawie jest kilka drobiazgów, które jakoś pasują do mojej koncepcji...

– Mów, synu – poważnie powiedział Ljung wyciągając z kieszeni cygaro – zamieniam się cały w słuch.

Słuchał uważnie i nie przerywał. A kiedy Barlsson przestał mówić, z twarzy polismästare Ljunga nie mógł wyczytać, jakie wrażenie wywarły na nim jego wywody.

– Nie uchowasz się, synu – bąknął – masz za dużą wyobraźnię. Z taką wyobraźnią marnujesz się w policji. Na twoim miejscu zaraz bym poprosił o dymisję i zabrał się do jakiejś innej roboty. Na przykład mógłbyś pisać powieści w odcinkach albo założyć przedsiębiorstwo eksploatacji węgla na księżycu...

– Szefie – obruszył się Barlsson – wydaje mi się jednak, że moja koncepcja jest logiczna! Nie widzę w niej błędu. W każdym razie wyjaśnia, w jaki sposób goły człowiek mógł wejść z pistoletem do domku Mattsmana i nie wzbudzić żadnych podejrzeń.

– A czy ja coś mówiłem, że nie jest logiczna? Co więcej, synu – huknął głośno – ta twoja koncepcja bardzo mi się podoba! W tym sęk jednak, że nikt, nigdy nie będzie mógł jej udowodnić! Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, byłaby to najbardziej sprytna zbrodnia, z jaką się w życiu zetknąłem. Ale – zafrasował się wyraźnie – tego wszystkiego nie sposób udowodnić!

– Morderca, szefie, mógł popełnić jakiś błąd, o którym na razie nie wiemy, ale na ślad którego możemy jeszcze wpaść. Zawieść go jeszcze mogą nerwy... albo zbyt duża pewność siebie...

Ljung z rezygnacją strzepnął popiół z cygara:

– Zawracanie głowy, synu. Tak się tylko mówi, że nie ma zbrodni doskonałej. Pożyjesz trochę i zobaczysz sporo takich przypadków, w których nic zbrodniarzowi nie można udowodnić. Ja już widziałem kilka. Ten będzie jeszcze jednym...

– Trzeba, szefie, poszukać pistoletu, którym posłużył się morderca – podsunął Barlsson.

– Nie wyobrażasz sobie chyba, że w dalszym ciągu trzyma go w tym samym miejscu?

– Nie, szefie. Z pewnością pistolet został wyrzucony gdzieś w krzaki, a wszelkie ślady na nim starannie wytarte. Ale musi być tu gdzieś w pobliżu i my go znajdziemy. Gdy już będziemy mieli broń, można będzie spróbować odtworzyć jej historię. Odszukać jej poprzednich właścicieli...

– Zawracanie głowy! – parsknął Ljung krztusząc się dymem. – Ktoś, kto potrafił wymyślić taką historię, zabezpieczył się na pewno i z tej strony. Ręczę ci, że nigdy nie znajdziesz najsłabszej nawet nitki łączącej tę broń z osobą, o którą nam chodzi!

– Trzeba jednak spróbować, szefie – niepewnie powiedział Barlsson. – Od czegoś trzeba przecież zacząć.

– Pewnie! Nie potrzebujesz mnie pouczać! – warknął Ljung i zdusił połowę nie wypalonego cygara na popielniczce stojącej na biurku.

Rozległo się pukanie.

Obaj mężczyźni gwałtownie odwrócili głowy. Drzwi lekko skrzypnęły i w progu stanęła pani Lundin. Na głowie miała ociekający deszczem kaptur chroniący przed zamoczeniem jej staranną fryzurę, ale poza tym pani Lundin okazała się ideową i wytrwałą naturystką. Strużki i krople wody spływały swobodnie po jej nagim ciele.

– Czy można? – zapytała uprzejmie. – Nie przeszkadzam panom?

– Ależ oczywiście, że nie – pośpieszył z odpowiedzią Barlsson wyręczając swojego szefa, który na widok mokrej pani Lundin popadł w osłupienie.

– Chciałam – powiedziała – zabrać stąd pewne papiery – podeszła do biurka i stojąc tuż przy Ljungu odemknęła szufladę.

– Nie wiedziałam, że panowie tu są – rzekła – dlatego posłałam Barbro do izolatki. Myślałam, że panowie rozmawiają jeszcze z panią Mattsman. Ta mała chciała się z panami zobaczyć. Mówiła, że przypomniało się jej coś ważnego, więc...

Poderwali się na nogi i wymienili znaczące spojrzenia. – Gdzie ją pani posłała? – prawie wykrzyknął Ljung.

– Do izolatki, do pani Mattsman. Myślałam, że panowie...

Nie dali jej dokończyć. Wybiegli na dwór, na deszcz i zostawili drzwi otwarte. Stała przy biurku nieruchomo i wpatrywała się w te rozwarte drzwi w niemym osłupieniu. Nie była przyzwyczajona, by mężczyźni w ten sposób kończyli z nią rozmowę.

Zadyszani, przemoczeni dobiegli do izolatki. Zapukali energicznie i nie czekając na zaproszenie weszli do środka. Pani Mattsman spoczywała nadal na leżance i paliła papierosa. Doktor Torgso pił mleko ze szklanki. Ich wzrok skierował się na przybyłych.

– Stało się coś? – zapytał doktor.

– Nie, proszę pana – odpowiedział Ljung – po prostu przyszliśmy zobaczyć, czy nie ma tu panny Barbro.

– Barbro? – zdziwił się doktor. – Myślałem, że odnalazła panów...

– Szukała nas?

– Tak, proszę pana. Moja pielęgniarka była tu przed piętnastu, no może dwudziestu minutami. Prawda, że to było około kwadransa temu? – doktor zwrócił się do pani Mattsman.

– Tak, coś koło tego – obojętnie potwierdziła pani Mattsman i zaciągnęła się dymem.

– I co chciała pana pielęgniarka?

– Była bardzo, ale to bardzo zdenerwowana. Nie poznawałem jej w ogóle. Zwykle jest taka spokojna i opanowana...

– I co chciała od pana panna Barbro? – nalegająco zapytał Ljung.

– Powiedziała mi, że pragnie coś wyznać policji. Tak powiedziała, Bettan?

- Tak, stryjku.
- Powiedziałem więc jej, że panowie wyszli już stąd przed pół godziną. Wybiegła panów szukać... Nie wiem doprawdy, gdzie w tej chwili przebywa. Chodzi pewnie po terenie i wypatruje panów. Była bardzo zdenerwowana... Muszą jej panowie poszukać...
- Z pewnością poszukamy! – wykrzyknął Barlsson już zza progu. – Dziękujemy za informację!
- Odszukali ją po kilku minutach.

Izolotka szpitalna „Słonecznego Klubu” była gęsto zatłoczona, ale tylko dwie osoby nosiły ubrania. Förste kriminalassistent Barlsson i polismästare Ljung. Reszta, jak na prawdziwych członków „Słonecznego Klubu” przystało, nie była odziana. Wytworna pani Lundin paliła swojego nieodłącznego papierosa, doktor Torgso sapał z zaferowaniem, splatał i rozplatał na brzuchu swoje grube, serdelkowate palce, pani Mattsman była, blada i rozczochrana. Uwe Pelling, brodaty rudzielec, przykucnął u podnóża leżanki pani Mattsman i wodził za nią baranim spojrzeniem.

– ..jak już państwu wiadomo – kontynuował Ljung – zdarzył się nowy tragiczny wypadek. Już trzeci w ciągu kilkunastu godzin. Panna Barbro Hanson popelniła samobójstwo. W związku z tym, że państwo są ostatnimi osobami, które ją widziały żywą, chciałbym, aby państwo opowiedzieli nam o ostatnich godzinach jej życia. Może pierwszy opowie nam o Barbro pan Pelling.

Pan Pelling ocknął się z osłupienia i dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, czego od niego żądają.

- Nie wiem nic... – bąknął. – Kiedy panowie

wyszli, Barbro powiedziała, że właściwie kończy już swój dyżur i że mnie zostawi samego...

– Czy była zdenerwowana? – z naciskiem zapytał doktor Torgso. – Bardzo zdenerwowana?

– O tak! – wykrzyknął Pelling z nagłym ożywieniem. – Bardzo zdenerwowana! Potem zaraz sobie poszła... i zostałem sam – wybąkał nagle załamującym się głosem.

– Dziękują panu – Ljung grzecznie skłonił głową. – Teraz na panią kolej, pani Lundin.

Pani Lundin wzruszyła ramionami tym charakterystycznym ruchem, który nieodparcie przywodził Barls-sonowi na myśl sępa próbującego swych skrzydeł.

– Mówiłam już panom wszystko, co miałam do powiedzenia. Spotkałam Barbro koło bloku gospodarczego. Powiedziała, że chce się z panami widzieć, gdyż przypomniała coś sobie. Skierowałam ją do izolatki. Nie robiła wrażenia zdenerwowanej. Raczej wyglądała na zmęczoną i niewyspaną...

– Dziękuję pani – Ljung zwrócił się następnie do doktora. – Teraz pańska kolej, panie Torgso.

Doktor powtórzył to samo, co już usłyszeli od niego wtedy, kiedy poszukiwali panny Barbro. Nie miał nic nowego do dodania. Pani Mattsman potakiwała tylko w milczeniu jego słowom.

– Tak – powiedział Ljung – to byłoby wszystko. Szkoda, że państwo niczego więcej sobie nie przypominają. Mogłoby to być o tyle ważne, że zaszyły pewne okoliczności, których państwo jeszcze nie znają. Otóż w domku zajmowanym przez pannę Barbro, w pościeli łóżka, na którym ją znaleźliśmy, ukryty był pistolet. Oczywiście, za wcześniej jeszcze na jakiegokolwiek

stwierdzenia, ekspertyzy nie zostały jeszcze przeprowadzone, ale sądzić można, że z tego pistoletu strzelano wczoraj wieczorem. Na pistolecie był tłumik...

– Coś podobnego! – wykrzyknęła pani Lundin tracąc zupełnie swoją dystynkcją. – Niemożliwe! Barbro? Ta dziewczyna miałaby... – zamilkła i z niedowierzaniem wpatrywała się w Ljunga.

Zapadła cisza. Słychać było tylko ich oddechy i skrzypienie krzesel. Pierwszy ocknął się doktor Torgso:

– Tak – powiedział cicho – to by się zgadzało... biedna Barbro. Przepraszam, że tak mówię, ale lubiłem tę zwariowaną dziewczuchę. Nigdy bym się tego po niej nie spodziewał... Zabiła pana Mattsmana, a potem... nie wytrzymała nerwowo. Chciała się przyznać, ale w końcu załamała się i popełniła samobójstwo. Przepraszam? W jaki sposób zginęła?

– Otruła się – wyjaśnił cicho Ljung – chyba nie cierpiała...

– Czyście wszyscy powariowali!? – głos pani Lundin był piskliwy i podniecony. – Czyście naprawdę oszaleli? Barbro morderczynią? Dlaczego miałaby to zrobić? Kiedy? Jak?

– Panna Barbro – spokojnie wyjaśnił Ljung – mogła zastrzelić pana Mattsmana. Siedziała przy nieprzytomnym panu Pellingu. Mogła w każdej chwili go opuścić i udać się do Mattsmana, zastrzelić go, potem pójść do swojego domku i schować pistolet do łóżka. Nie znamy oczywiście motywów jej czynu.

– Chyba znajdują się i motywy – cichutko odezwała się pani Mattsman. – Znałam dobrze tą małą. Nienawidziła

Egila. Nienawidziła go jako symbolu burżuazji i kapitalizmu. Barbro była skrajną ekstremistką.

– Przypuszcza pani – sceptycznie zauważył Ljung – że zabiła pani męża z pobudek ideowych?

– Och nie, nie tylko. Były jeszcze inne powody. Ale o nich naprawdę trudno mi mówić. Nie chcę o tym mówić.

– Proszę pani, sprawa jest poważna. Musi pani powiedzieć nam wszystko – z naciskiem stwierdził Ljung. – To jest konieczne dla dobra sprawy.

Pani Mattsman wahała się jeszcze przez chwilę, potem zagryzając nerwowo wargi wykrztusiła:

– Dobrze, niech będzie. Powiem to. Otóż Barbro była psychopatką. Była zboczona seksualnie. Od wielu miesięcy napastowała mnie swoją miłością. Dopóki byłam z Uwe – spojrzała z czułością na Pellinga – miała jeszcze nadzieję, że mnie od niego oderwie, ale gdy pokochałam Egila, straciła nadzieję. Była o niego okropnie zazdrosna... sytuację pogarszał jeszcze fakt, że Egil był, jak to ona nazywała, burżujem... wszystko to się widać splotło razem... że też wcześniej o tym nie pomyślałam...

– Bettan! Co ty wygadujesz! – głos pani Lundin kipiał pasją. – Barbro miałyby być lesbijką?! Przecież ona bez przerwy ganiała za chłopcami! To właśnie ci długowłosi miglance dawali jej te wszystkie parszywe broszurki o buncie młodzieży i o maoizmie! Barbro była poza tym naturystką! Naturyści nie ulegają zboczeniom seksualnym. To jest naukowo dowiedzione!

Zamilkła zadyszana i zaperzona, ale w dalszym ciągu gotowa bronić swych racji.

Polismästare Ljung uśmiechnął się do niej przyjaźnie i powiedział:

– A więc usłyszeliśmy tu dwie opinie dotyczące panny Barbro Hanson. Tak się złożyło, że mój podwładny, förste kriminalassistent Barlsson ma jeszcze inną teorię.

Proponuję oddać mu głos.

Wszystkie oczy skierowały się na milczącego dotąd Barlssona. Förste kriminalassistent odchrząknął i uśmiechając się nieśmiało zaczął:

– Usłyszeliśmy tu wyraźnie sformułowaną teorię, że panna Barbro Hanson z pobudek osobistych i ideowych zastrzeliła wczoraj wieczorem pana Mattsmana. Dziś targana wyrzutami sumienia najpierw chciała się oddać w ręce policji, potem zrezygnowała z tego i sama wymierzyła sobie sprawiedliwość. Otóż wydaje mi się, że jest to teoria błędna. W tym zgadzam się w pełni z panią Lundin. Co więcej sadzę, że panna Hanson wcale nie popełniła samobójstwa, ale została z premedytacją otruta. Otruta przez tę samą osobę, która kilka godzin wcześniej zastrzeliła Egila Mattsmana...

– Ciekawa teoria – bąknął pod wąsem doktor Torgso nie przestając bawić się swoimi palcami – tylko nie bardzo rozumiem, jak się to wszystko odbyło.

– Zaraz pan zrozumie, doktorze, tylko proszę mi nie przerywać – uprzejmie poprosił Barlsson. – Otóż rzecz zaczęła się kilka miesięcy temu. Panna Bettan Torgso, biedna jak mysz kościelna, ale ambitna dziewczyna, przebywała wraz ze swym narzeczoną, niezbyt wydarzonym malarzem, panem Pellingiem, na terenie „Słonecznego Klubu”. Tak się złożyło, że lekarzem klubowym był tu jej stryjek, doktor Torgso. Cała trójka żyła spokojnie nie wadząc nikomu, ale nagle w klubie pojawił się pan Egil Mattsman. Pan Mattsman, który miał się stać ich ofiarą. Zafascynowani jego milionami, uknułi szatański spisek. Nie wiem, kto właściwie wpadł

na ten pomysł, ale to chyba nie jest takie ważne...

– Do czego pan zmierza, panie policjancie? – cicho zapytał doktor Torgso. – Przypominam, że istnieją odpowiednie paragrafy dotyczące oszczerstwa, obrazy i pomówienia. Dotyczą one także i funkcjonariuszy policji.

– Dowie się pan, doktorze, do czego zmierzam. Na razie proszę mi nie przeszkadzać. Skargę na mnie złoży pan też trochę później... – powiódł wzrokiem po zebranych i kontynuował swą opowieść:

– A więc to było tak. Panna Bettan usidliła pana Mattsmana i, wyszła za niego za mąż. Potem odczekaliście kilka tygodni i wczoraj zabraliście się do realizacji waszego planu. Chodziło o to, by zdobyć miliony, zapewnić całej trójce niewzruszone alibi i znaleźć kozła ofiarnego.

Pelling w obecności pani Lundin postrzelił panią Mattsman. Doktor Torgso czekał tylko na to na zewnątrz. Pojawił się więc natychmiast. Opatrzył panią Mattsman, a Pellingowi wstrzyknął largactil. Pannie Barbro kazał przy nim czuwać przez całą noc. Potem zainstalował się z ranną panią Mattsman w izolatce. Ja też odegrałem wyznaczoną mi rolę. Policja została zawiadomiona, więc się pojawiłem, zobaczyłem to, co miałem zobaczyć, a w przyszłości mogłem być ważnym świadkiem potwierdzającym, że pan Mattsman żył jeszcze kilka minut po dziesiątej i zginął dopiero później, wtedy, kiedy cała trójka miała żelazne alibi.

Z chwilą gwałtownej śmierci pana Mattsmana dwie osoby automatycznie stawały się podejrzane. Pani Mattsman, która stawała się właścicielką milionowej fortuny, i jej były kochanek Pelling. Obie więc otrzymywały alibi. Pani Mattsman zostaje unieruchomiona i przydany

jej zostaje świadek. Jej udział w morderstwie wydaje się być wykluczony. Drugi podejrzany, Pelling, otrzymuje potężną dawkę środka uspokajającego i oddany pod kontrolę panny Barbro, śpi snem sprawiedliwego. Można go więc wykluczyć jako sprawcę zbrodni.

Pozostaje trzecia osoba. Doktor Torgso. Nie powinny go dotyczyć chyba żadne podejrzenia. Nic przecież bezpośrednio nie korzysta na śmierci Mattsmana. On zresztą też ma doskonałe alibi. Żona ofiary potwierdzi, że pan Torgso nie odstępował jej ani przez chwilę od momentu, w którym ich pożegnałem, aż do północy, kiedy to podał jej środki uspokajające... Jednym słowem wszystko gra. Oboje stwarzają sobie wzajemne mrowane alibi.

Zaraz potem, jak opuściłem teren „Klubu”, doktor Torgso poszedł do pana Mattsmana. Pan Mattsman nie był zdziwiony ani zaniepokojony jego wizytą. Przyjmuje go więc na leżąco i rozmawia z nim o stanie żony. Potem doktor Torgso, w trakcie rozmowy, otwiera swą lekarską torbę, wyciąga z niej pistolet i strzela do Mattsmana. Bo pistolet z całą pewnością przyniesiony został w lekarskiej torbie... Gdy zobaczyłem dziś tę torbę – Barlsson wskazał na czarną walizeczkę stojącą na stole – przyszło mi do głowy, że jest to idealny schowek na broń dla człowieka pozbawionego ubrania. Widok nagiego doktora Torgso z pistoletem w dłoni co najmniej zaniepokoiłby Mattsmana, widok lekarskiej torby był czymś zupełnie oczywistym.

– Zgrabnie pan to wymyślił – przerwał nagle doktor Torgso – historia zupełnie jak z trzeciorzędnego kryminału. Marnuje się pan w policji. Jest pan zdolnym człowiekiem. Wielka szkoda, że będę zmuszony zaskarżyć pana do sądu o oszczerstwo i obrazę. Wielka szkoda.

– Niech się pan na razie nie spieszy ze składaniem skargi. Jeszcze nie powiedziałem wszystkiego...

– Czy my naprawdę musimy wysłuchiwać tych wszystkich bredni! – podniesionym głosem wtrąciła się pani Mattsman. – Mam tego zupełnie dosyć!

– Musi pani jeszcze chwileczkę wytrzymać – uprzejmie zareplikował polismästare Ljung – pozwólmy fòrste kriminalassistentowi wypowiedzieć się do końca.

Barlsson podziękował mu uprzejmym skinieniem głowy, odetchnął głęboko i podjął swoją opowieść:

– Po zabójstwie Mattsmana doktor Torgso udał się do domku panny Barbro Hanson i ukrył w jej pościeli pistolet. Potem wrócił do pani Mattsman. Wiedział, że wcześniej czy później policja przeszuka teren klubu i z pewnością znajdzie broń. Panna Barbro znalazłaby się wtedy w bardzo paskudnej sytuacji. Jak już mówiłem, miała technicznie możliwość zamordowania Mattsmana, nie miała alibi, a już pani Mattsman postarałaby się o to, jak to zresztą przed chwilą usłyszeliśmy, aby znalazły się jakieś mniej lub bardziej wiarygodne powody tej zbrodni.

Wszystko wydawało się układać jak najlepiej. Nie spodziewanie jednak pojawiły się trudności... Dziś rano do doktora Torgso przyszła panna Barbro i oświadczyła, że koniecznie chce porozmawiać z policjantami, gdyż nie powiedziała im o czymś istotnym.

Doktor Torgso przeraził się. Nie miał pojęcia, o czym Barbro chce powiadomić policję. Być może Pelling w stanie zamroczenia środkami uspokajającymi zdradził się z czymś, być może Barbro zauważyła coś, co nie było przeznaczone dla jej oczu?

I doktor Torgso stracił głowę. Zamiast czekać

spokojnie na rozwój wypadków, postanowił natychmiast pozbyć się niebezpiecznego świadka. Zresztą martwa panna Barbro była jeszcze lepszym kozłem ofiarnym niż żywa panna Barbro. Korzystając więc ze swego medycznego autorytetu, przekonał dziewczynę, by jeszcze przed rozmową z policją zażyła kilka pastylek, które jej wręczył, i jednak w coś się ubrała, gdyż grozi jej przeziębienie. Barbro podziękowała, wzięła z sobą pastylki i pobięła do swego domku.

– Młody człowieku – w głosie doktora Torgso zabrzmiało szyderstwo – skąd, u licha, przyszło ci do głowy, że powiedziałem tej dziewczynie, że jest przeziębiona? Jesteś widać jasnowidzem i powinneś występować wesołym miasteczku.

– Och, niepotrzebnie pan szydzi, panie doktorze – odparł Barlsson uśmiechając się uprzejmie – ja wiem, że pan jej to powiedział. Po prostu panna Barbro nas o tym poinformowała.

W tym momencie polismästare Ljung leniwym ruchem nacisnął, znajdującą się tuż za nim, klamkę drzwi wejściowych.

– Prosimy do środka – powiedział.

W progu stanęła panna Barbro w towarzystwie dwóch w pełni ubranych policjantów. Policjanci byli wyraźnie speszeni, panna Barbro ani trochę. Ociekała deszczem, jej czepek pielęgniarski stracił swą sztywność i świeżość, ale duch panny Barbro nie był złamany. Nie wyglądała na osobę, która popełniła samobójstwo.

Wstrząsnęła mokrym biustem i rzekła lekko podniesionym głosem:

– Nie wzięłam tych pigułek, które mi pan dał, doktorze. Właśnie zamierzałam je połknąć, gdy zjawili

się u mnie ci dwaj panowie z policji. Czy naprawdę te proszki miały mnie zabić? I czy to naprawdę pan doktor wetknął mi pod poduszkę ten pistolet?

Doktor Torgso skamieniał. Jego ruchliwe dłonie splecione na obwisłym brzuchu stężały, a policzki przybrały barwę szarą.

Wpatrywał się w dziewczynę bez słów.

I wtedy pokój napelnił się krzykiem. Rozdzierającym kobiecym wrzaskiem. To pani Mattsman nie wytrzymała nerwowego napięcia.

Wszyscy zerwali się z miejsc i powstało ogólne zamieszanie. Pani Mattsman przestała krzyczeć dopiero po kilkunastu sekundach. A gdy przestała, zaczęła mówić. Wyrzucała z siebie bezładne słowa. Mówiła do doktora Torgso. Trudno było zrozumieć panią Mattsman. Ale wśród tego bełkotu powtarzało się stale:

– ...mówiłam, żebyś nie dawał jej tych proszków...
...mówiłam, żebyś nie dawał jej tych proszków...

Doktor Torgso milczał i siedział nieruchomo. Pelling skurczył się w sobie i robił wrażenie człowieka, którego jedynym marzeniem jest rozpląnąć się w powietrzu.

Nie zwracając uwagi na ogólny harmider, Barlsson pochylił się nad doktorem Torgso i szepnęła konfidencyjnym tonem:

– Pani Mattsman ma świętą rację, doktorze. Ten numer z proszkami był zupełnie niepotrzebny. Panna Barbro nie miała nam nic ciekawego do powiedzenia. Przypomniała sobie tylko, że w nocy opuszczała Pellinga nie dwa, ale trzy razy. Jest osobą bardzo akurataną i chciała sprostować swoje zeznanie.

– ...widzisz – kontynuował förste kriminalassistent rozdziabując widelcem po talerzu smakowity filet z solki – już wczoraj wieczór obudziły się we mnie pewne wątpliwości. Na przykład ta rana pani Mattsman. Postrzelona została w udo pociskiem bardzo małego kalibru. Nie znam się na medycynie, ale pewne sprawy wydały mi się dziwne. Jeżeli pocisk naruszył kość albo jakąś ważną arterię, panią Mattsman należałoby najszybciej przetransportować do szpitala. Jeżeli nie – to w porządku, ale w każdym razie tego rodzaju rana postrzałowa nie wymaga takiego dziwnego opatrunku, jaki zaaplikował doktor Torgso. Żebyś widziała te druty... Teraz dla mnie sprawa jest jasna. Te druty miały służyć nie zdrowiu pani Mattsman, ale przekonaniu mnie, że jest całkowicie niezdolna do podniesienia się z leżanki. Miały stanowić jej alibi.

Połknął kawałek ryby, popił ją zimnym mlekiem z porcelanowego kubeczka i dodał:

– Wtedy oczywiście o tym nie wiedziałem, ale wydało mi się to bardzo dziwne. I jeszcze jedno. Ów tajemniczy anonim, który Mattsman miał rzekomo otrzymać w dniu ślubu, anonim którego nikt nie widział... Pani Mattsman w tym wypadku nie była przekonującą aktorką i trochę się poplątała w swojej roli. Jednym tchem oznajmiła, że Mattsmana anonim ten zdenerwował i że z niego żartował... Jakoś nie mogłem uwierzyć w istnienie tego listu. Dlaczego więc pani Mattsman nam o nim powiedziała? Dlaczego powiedziała nam o tym dopiero, gdy już wychodziliśmy? To wyglądało na improwizację. Zastanawiałem się, jaki może być cel tego pospiesznego kłamstwa. Wtedy przypominałem sobie książkę Marcuse'a, którą czytała Barbro... Czyżby historyjka o anonimie miała zwrócić

naszą uwagę na tę młodą osobę?

– Weź sobie jeszcze solki – powiedziała Aja i przysunęła mu salaterkę z rybami – przyniosę ci jeszcze mleka.

Potem zaśmiała się i zapytała:

– Czy oni rzeczywiście wszyscy nie noszą żadnego ubrania?

Przytaknął nakładając sobie na talerzyk nową porcję filetów.

Podniosła się od stołu i powędrowała do kuchni. Jak to było w ich zwyczaju, Aja przy kolacji nie nosiła na sobie niczego. Kiedy wróciła niosąc ostrożnie w obu dłoniach dzbanek z mlekiem z lodówki, Barlsson obrzucił ją kochającym spojrzeniem, a potem powiedział z nutką zafrasowanej nieco troskliwości:

– Nie uważasz, że dziś jest trochę chłodno? Może byś jednak coś na siebie narzuciła?

UMARLI NIE SKŁADAJĄ ZEZNAŃ

czyli

morderstwo po polsku

– Porucznik Piotr Barlicz – głos w słuchawce był cholernie rześki i rzeczowy.

Nie bardzo wiedziałem, o co chodzi. Bezradnie rozglądałem się po pokoju i wierzchem prawej dłoni przecierałem zaspane oczy. Obok, na tapczanie leżała Baśka. Na szczęście miała mocny sen i przenikliwy dzwonek telefonu jakoś nie potrafił jej go przerwać.

– Czy porucznik Piotr Barlicz? – głos w słuchawce zaczynał zdradzać akcenty zniecierpliwienia.

Nie było rady. Przyznałem się, że jestem przy telefonie.

– A to świetnie! – ucieszył się nieznajomy. – Chciałem zawiadomić, że pułkownik czeka na porucznika u siebie.

– Teraz? – udałem niepomiernie zdziwionego.

– Właśnie! – ucieszył się mój rozmówca. – Wysłałiśmy wóz po obywatela porucznika. Za kilka minut będzie przed waszym domem.

– W porządku – odpowiedziałem ponuro i odłożyłem słuchawkę.

Potem spojrzałem na ustawiony na krześle budzik. Była godzina 3.30. O tej porze w czerwcu jest już widno,

ale story w sypialni były zasunięte i nie mogłem rozkoszować się blaskiem letniego poranka. Mruczając pod nosem najrozmaitsze brzydkie wyrazy, ostrożnie, aby nie obudzić Baški, wylałem z pościeli. Nie umyłem się. Byłem kiedyś harcerzem i poranną toaletę uważałem zawsze za swój święty obowiązek, ale mimo wszystko nie miałem tyle hartu, aby myć się o godzinie 3.30 rano.

Stąpając na palcach położyłem na stoliczku obok śpiącej Baški nabazgraną pospiesznie kartkę z wyjaśnieniami i pełen najgorszych przeczuć opuściłem mieszkanie.

Zapowiedziany samochód czekał przed bramą.

– O, obywatel porucznik już się wygrzebał! – ucieszył się kierowca, a ja obrzuciłem go wrogim spojrzeniem i bez słowa zająłem miejsce obok niego. Przez całą drogę bezskutecznie usiłowałem zabawić mnie rozmową.

O godzinie 3.50 zameldowałem się w gabinecie staro. Nie wiem, kiedy nasz stary sypia, ale wyglądał całkiem świeżo.

Obrzucił mnie dość sceptycznym spojrzeniem swoich siwych, mądrych oczu.

– Widzę, że nie jesteście ogoleni, poruczniku – zauważył zgryźliwie i sięgnął po na połę opróżnioną szklankę kawy.

Nie uznałem za słuszne podejmować dyskusji na ten temat. To było zupełnie beznadziejne. Stary był równym facetem, ale miał jednego maleńkiego fioła. Uważał, że funkcjonariusz milicji musi być zawsze starannie ogolony. Zawsze. Bez względu na porę dnia i inne okoliczności. Pomilczałem więc dyplomatycznie i spokojnie czekałem na ciąg dalszy.

– Widzicie – powiedział – jest taka jedna sprawa.

Obejmiecie ją. Przynajmniej na razie. Zamordowano człowieka...

Tego mogłem się domyślić. Nasz wydział zajmował się wyłącznie zabójstwami. Zebrałem całą, odwagę i powiedziałem nieśmiało:

– Ośmielam się przypomnieć, towarzyszu pułkowniku, że od jutra mam urlop... może by więc...

– O? Macie urlop? – zdziwił się pułkownik, jakby sam przed dwoma dniami nie parafował mojego podania w tej sprawie. – Ogromnie się cieszę. Od dawna należy się wam wypoczynek. Wyjeżdżacie gdzieś?

– Mam skierowanie na wczasy rodzinne do Augustowa – wyrąbałem. – Jesteśmy już właściwie spakowani. Więc może by jednak...

Pułkownik odstawił szklankę z kawą i przyjrzał mi się uważnie.

– No tak – powiedział – ciężka sprawa. Urlop wam się oczywiście należy, ale tak się złożyło, że jestem zupełnie bez ludzi. Wszystkim się naraz zachciało urlopować! Ot, co! – sapnął gniewnie. – Naprawdę nie mam ludzi... Bezradnie rozłożył ręce i uśmiechnął się przeprasząco. – Oczywiście – dodał – gdy będziecie się bardzo upierać, to pojedziecie jutro na ten urlop. Macie prawo.

Pomyślałem ze strachem o tym, co usłyszę od Basi, ale wiedziałem, że nie będę się upierać. To nie leżało w stylu pracy naszej komendy. Westchnąłem tylko bezgłośnie i zapytałem:

– Kto został zamordowany?

– Wiedziałem, że można na was liczyć – uśmiechnął się stary. – Nie przejmujcie się. Obiecuję, że jak

ktoś tylko wróci z urlopu, wlepię mu tę sprawę. A teraz posłuchajcie...

Samochód zahamował przed furką w parkanie z drucianej siatki. Stały tu już dwa wozy milicyjne. Polski fiat i nyska z wielkimi białymi literami MO wymalowanymi na burtach. Za siatką, wśród sosen stał niewielki piętrowy drewniak w stylu otwocko-zakopiańskim. Mocny zapach żywicy i igliwia wiercił w nosie. Gdybym nie wiedział, że znajdujemy się w obrębie granic Wielkiej Warszawy, nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Dookoła rozciągał się gęsty sosnowy las, a ziemię pokrywał gruby kozuch zeschniętego igliwia. Zbójna Góra jakoś w żaden sposób nie chciała mi przypominać dzielnicy wielkiego miasta.

Pchnąłem furkę i ruszyłem w stronę domu. Na drewnianej werandzie stał milicjant. Poznał mnie i natychmiast zasalutował, a kiedy się zbliżyłem, wyrecytował służbiście:

– Sierżant Wyderko melduje swoją obecność na miejscu przestępstwa.

Sierżant Wyderko znany był w komendzie ze służbiści, którą posuwał czasami aż do kłopotliwych granic.

– Możecie zrobić spoczniej, sierżancie – powiedziałem. – Nie przyszło wam może do głowy, że godzina czwarta trzydzieści rano nie jest najodpowiedniejszą porą dla demonstrowania znajomości musztry? – dodałem zgryźliwie i zupełnie niesprawiedliwie.

Stężenie postaci sierżanta lekko się zmniejszyło, ale i tak to, co w jego wykonaniu było pozycją na „spoczniej”, dla bardzo wielu rekrutów mogłoby być jeszcze

niedoścignym wzorem postawy zasadniczej. Nie przejął się zupełnie moją uwagą i przystąpił do dalszego składania meldunku.

– Ciało denata zostało zabezpieczone wraz ze wszystkimi śladami. Ci z techniki – dodał nagle konfidencjonalnym tonem – chcieli się już zabrać do roboty, ale nie pozwoliłem. Kazałem im czekać na przyjazd obywatela porucznika.

Chciałem go jeszcze zapytać, skąd wiedział, że to właśnie Ja przyjadę, ale dałem spokój. Sprawa była jasna. Stary widać już w momencie wysyłania tu Wyderki wiedział, że dam się zrobić w ten pasztet.

– Są jakieś ustalenia wstępne? – zapytałem.

– Tak jest, obywatelu poruczniku! – sierżant znowu się wyprężył niby dobrze napięta struna. – Denat leży w pokoju na parterze. W sąsiednim pokoju zgromadzałem wszystkich obecnych. Pilnuje ich kapral Lis. Zabroniłem im szwendać się po domu, żeby nie zatarli jakichś śladów...

– Są ślady włamania? – przerwałem i sięgnąłem po papierosa.

– Nie stwierdziłem – powiedział sierżant. – Coś mi się widzi – w głosie Wyderki zabrzmiały nutki bardziej konfidencjonalne – że to jest robota wewnętrzna.

– Bardzo ładnie, sierżancie – pochwaliłem – a teraz prowadźcie mnie do środka.

Od razu z werandy wchodziło się do obszernego pokona. Na środku podłogi stał stół, a w kącie wielki kominek z czerwonej cegły. Obok kominka leżał trup.

Zatrzymałem się w progu i uważnie rozejrzałem się po otoczeniu. Trup odziany był w pasiastą niebiesko-białą piżamę. To był starszy tęgi mężczyzna. Miał dość

długie, siwoszare włosy. Teraz te włosy zlepione były ciemną, prawie czarną masą. Obok głowy leżał ozdobny pogrzebacz. Na jego rzeźbionej metalowej ręczce ciemniły się wilgotne, połyskliwe plamy.

– Tym go uziemili – powiedziałem wskazując na pogrzebacz.

Wyderko poważnie skinął głową i potwierdził:

– Na to wygląda, obywatelu poruczniku.

Pomedytowałem przez chwilę i jeszcze raz bacznie rozejrzałem się po pokoju. Na prawo od kominka stał regał z książkami. Jedna z książek na najwyższej półce była mocno wysunięta z szeregu, jakby ktoś usiłował wyciągnąć ją, ale się potem rozmyślił.

– Dawajcie tu teraz tych techników, sierzancie. Niech zrobią ten pokój. Chciałbym, żeby koniecznie zdjęli odciski z tej książki – wskazałem na regał. – A gdzie są mieszkańcy tego domu? – zapytałem.

Wyderko wskazał na sąsiednie drzwi. Ten drugi pokój był znacznie mniejszy. Wszedłem do niego i powiedziałem:

– Dzień dobry państwu.

Poczułem na sobie ciężar spojrzeń siedmiu par oczu. Jedną z obecnych w pokoju osób dobrze znałem, ale nie dałem po sobie tego poznać. Osoba ta zresztą także zachowywała kamienny wyraz twarzy.

Przyjrzałem się uważnie niemłodej kobiecie w szlafroku i papilotach. Miała oczy zapuchnięte i zapłakane.

– Pani Wodnicka? – zapytałem.

Skinęła głową i pociągnęła nosem.

– Bardzo mi przykro, proszę pani, wiem, jak się pani może czuć, ale niestety będziemy musieli porozmawiać. Da pani teraz radę?

Znowu przytaknęła bez słowa.

– W takim razie może przejdziemy do innego pokoju.

Podniosła się i po raz pierwszy usłyszałem jej głos:

– Przejdziemy do kuchni?

– Możemy przejść do kuchni – zgodziłem się posłusznie. Popatrzyłem jeszcze raz na wszystkich i powiedziałem: – Reszta państwa zechce wrócić do swoich pokoi. Będę z każdym z państwa rozmawiał oddzielnie.

Kuchnia była obszerna i czysta. Usiedliśmy przy nakrytym niebieską ceratą stole.

– Proszę – powiedziałem miękko – niech mi pani wszystko opowie.

– Karol nie żyje – wyszeptała bezdźwięcznie i zamilkła.

– Mąż pani został zamordowany. Tego już się nie da cofnąć. Niestety. Ale człowiek, który go zabił, powinien zostać ukarany. Czy zgadza się pani ze mną?

– Karol nie żyje – powtórzyła bezradnie – zabił go. On nie zrobił nikomu nic złego. Dlaczego go zabił?...

– Właśnie tego chciałem się dowiedzieć, proszę pani. Czy jest pani w stanie odpowiadać na moje pytania?

Skinęła potakująco głową.

– A więc zacznijmy. Kim są ci wszyscy ludzie.

Nie zrozumiała.

– No wie pani, ludzie znajdujący się w tym domu.

– Goście. Goście, proszę pana.

– Wszyscy?

– No nie – wymamrotała niewyraźnie. – Nie wszyscy. Jest jeszcze Stefan i Beata...

– Kto to jest Stefan?

– Stefan Silnicki. Mój bratanek.

- Mieszka tu stale?
- Ależ nie. Kiedyś tu mieszkał. Teraz mieszka w Łodzi. Jest studentem szkoły filmowej... przyjechał tu przedwczoraj...
- A więc też jest gościem. A pani mówiła...
- Nic pan nie rozumie – przerwała mi gwałtownie.
- On przecież nie płaci. Przyjechał do rodziny...
- A inni goście płacą?
- Oczywiście. Przecież są gośćmi.

Westchnąłem ciężko i nie pytając o pozwolenie zapaliłem papierosa.

– Zaczniemy jeszcze raz od początku. Stefan Silnicki przyjechał tu przedwczoraj z Łodzi, ale nie jest gościem, bo nie płaci. Beata też nie jest gościem. To znaczy, że także nie płaci.

– Beacie to ja płacę, proszę pana. Tysiąc pięćset złotych miesięcznie. Sama nie dałabym rady. Karol jest taki niepraktyczny... – Przypomniała sobie nagle, że mąż jej nie żyje, i zamilkła z otwartymi ustami.

Zacząłem rozumieć sytuację.

– Prowadzi pani pensjonat?

Zatrzepotała gwałtownie opuchniętymi powiekami.

– Och, nie, proszę pana! Jaki znowu pensjonat. Na to, proszę pana, trzeba mieć pozwolenie, kwalifikacje... Pan mnie źle zrozumiał. Po prostu mamy dom w pięknej okolicy. Dookoła lasy, choć to Warszawa, więc różni znajomi przyjeżdżają na sobotę i niedzielę. Nie każdemu chce się wyjeżdżać na niedzielę daleko za miasto. A do nas bliźutko. Można autobusem na samo miejsce. Wygodnie, cicho...

– Ale płacą pani za pobyt tutaj?

Machnęła lekceważąco ręką.

– Et, taka i zapłata. Po prostu zwracają mi za koszty

wyżywienia. Grosze, proszę pana. Niestety, nie stać nas na karmienie tylu ludzi. Karol ma skromną rentę – stale zapominała, że pan Karol Wodnicki nie należy już do grona żywych.

Uśmiechnąłem się do niej przyjaźnie.

– Pani Wodnicka, niepotrzebnie się pani tłumaczy. Naprawdę nie jestem z wydziału finansowego, i choćbym nawet najbardziej chciał, nie mogę łupnąć pani domiaru. Tu chodzi o sprawę znacznie poważniejszą. Po prostu chcę wykryć mordercę pani męża. I pani pragnie tego samego. Dlatego proszę o szczerą współpracę. O całkowitą szczerą, proszę pani. – Przerwałem na chwilę, przyjrzałem się jej uważnie i dodałem z naciskiem:

– Czy ci wszyscy goście to naprawdę pani dobrzy znajomi?

Spuściła oczy.

– Nie wszyscy. Ale – dodała pośpiesznie – niektórzy byli tu już kilka razy...

– Kto mianowicie?

– Pan mecenas Ryłski i pan Kwiryn. To bardzo przyzwoici ludzie.

– A reszta?

– Też przyzwoici, proszę pana, innych u nas nie przyjmuję.

– Kto to jest?

– Pani Flora Kwaśniewska i pan Tobiasz Salaburski.

– Kim są ci państwo?

– Pani Kwaśniewska jest właścicielką sklepu komisowego. Pan Salaburski jest księgowym... w pewnej spółdzielni. Pani Flora też była tu już kilka razy. Pan Salaburski przyjechał po raz pierwszy...

– Kiedy ci wszyscy goście przyjechali?
– W sobotę. To znaczy wczoraj, proszę pana. U nas goście zawsze zjawiają się w sobotę po południu. Zjadają podwieczorek, potem kolację. Wczoraj na kolację, upiekłam placek z truskawkami. Oni ogromnie lubią mój placek z truskawkami. To jedna z atrakcji pobytu u nas o tej porze roku.

– No więc – powiedziałem – pewne sprawy sobie już wyjaśniliśmy. Teraz może będzie pani łaskawa opowiedzieć mi po kolei wszystko, co zdarzyło się tu wczoraj.

Opowiedziała. Mówiła chaotycznie, powtarzała się i odbiegała od tematu. Musiałem jej kilkakrotnie przerywać i pomagać dodatkowymi pytaniami. Odpowiedzi nie notowałem. Na to był jeszcze czas. Wiedziałem, że będę ją jeszcze nieraz przesłuchiwał formalnie i dokładnie, z protokołem i zachowaniem odpowiedniego rytuału. Teraz chodziło mi o wyrobienie sobie ogólnego obrazu sytuacji.

Okazało się, że wszyscy goście przybyli do willi między godziną piętnastą a szesnastą trzydzieści. O godzinie siedemnastej zjedli podwieczorek na werandzie. Narzekali trochę na osy, które im bez przerwy towarzyszyły. W podwieczorku nie uczestniczył pan Karol. Czuł się podobno źle. Nawalało mu serce. Leżał w swoim pokoju na piętrze i czytał książkę.

O godzinie osiemnastej całe towarzystwo wybrało się na spacer do lasu. Willa państwa Wodnickich stała właściwie już w lesie, więc daleko nie musieli odchodzić. Pan Karol w dalszym ciągu pozostawał w swoim pokoju i czytał. Wrócili akurat na dziennik telewizyjny. O dwudziestej zasiedli do kolacji. Pan Karol poprosił, by ma ją przyniesiono do pokoju. Ale około godziny

dwudziestej pierwszej zszedł jednak na dół i przywitał się z gośćmi.

– Jak się zachowywał? – zapytałem.

– Był dla gości bardzo grzeczny. Starał się ich zabawić, więc i tym razem zaczął im opowiadać jakieś dowcipy. Wszyscy się śmieli i też opowiadali zabawne historyjki. Szczególnie pan Kwiryn. On zawsze potrafi coś takiego wymyślić. Ale gdzieś po godzinie mój mąż poczuł się chyba gorzej, bo zupełnie zamilkł. A potem, po piętnastu minutach przeprosił wszystkich i poszedł do siebie...

– Na co właściwie chorował pani mąż?

Rozłożyła bezradnie ręce:

– Trudno powiedzieć. Pan wie, jak to bywa. Pod koniec wojny został ciężko ranny. Ledwie wyżył. Nigdy już nie był całkowicie zdrowy. Stale mu coś dolegało. To serce, to wątroba, to jakieś zaburzenia nerwowe... Przez jakiś czas myślałem nawet, że się pieści, że nie mu właściwie nie jest. Jednak okazało się, iż jest naprawdę chory. Trzy lata temu przyznana mu rentę inwalidzką. Przestał pracować i od tego czasu poczuł się właściwie jeszcze gorzej. Nie było tygodnia, żeby co najmniej przez kilka dni nie przeleżał w łóżku.

– Dlatego nie zdziwiło pani, że opuścił nagle towarzystwo?

– Przeciwnie, proszę pana! Byłam naprawdę zaniepokojona. Przy obcych Karol zawsze nadrabiał miną i nawet gdy się czuł bardzo źle, to jeżeli już zdecydował się uczestniczyć w jakiejś towarzyskiej imprezie, zawsze dzielnie potrafił wytrwać do końca. Takie coś jak wczoraj zdarzyło mu się po raz pierwszy.

– I co było dalej?

– Wszyscy pogadali jeszcze z pół godziny, potem pan mecenas Ryłski zauważył, że najwyższa pora, aby położyć się spać. Pomarudzili jeszcze kilka minut i poszli do swoich pokoi.

– A pani co zrobiła?

– Szybko w kuchni wydałam Beacie dyspozycje na jutrzejszy ranek i pobiegłam do męża. Byłam naprawdę zaniepokojona. Męża zastałam w naszej sypialni...

– Leżał? Czuł się niedobrze?

– Niech pan sobie wyobrazi, że wcale nie. Byłam przygotowana, że zastanę go w łóżku popijającego jakieś kropelki, a on tymczasem był bardzo ożywiony. Palił papierosa i telefonował.

– Słyszała pani rozmowę?

– Nie było rozmowy. Nie mógł się dodzwonić. Nikt nie podnosił słuchawki. Bardzo był z tego powodu zły. Zaczął strasznie kłąć. Karol, proszę pana, był bardzo kulturalnym człowiekiem, ale jeżeli coś go naprawdę wyprowadziło z równowagi, to potrafił się wyrażać bardzo mocno... – zaczerwieniła się lekko.

– Nie wie pani, do kogo chciał dzwonić?

– Wiem. Denerwował się, że go nie ma w domu. Bo on dzwonił do Pawła, proszę pana. Do Pawła Koczyńskiego. To był jego najserdeczniejszy przyjaciel, razem byli w partyzantce.

– I co było dalej?

– Dalej? Po prostu kazałam mu natychmiast się rozbierać i kłaść do łóżka. Najpierw nie chciał się posłuchać, ale w końcu ustąpił. On zawsze w końcu ustępował... Dałam mu kropli na serce, zgasiałam światło i poszliśmy spać.

– Nie pytała pani męża, czego właściwie chciał od tego Koczyńskiego?

– Nie, proszę pana. Ale czy to ważne? On zawsze miał jakieś sprawy do tego Pawła. Takie rozmaite męskie sprawy, o których ze mną nie rozmawiał.

Zastanowiłem się, co pani Wodnicka miała na myśli mówiąc o męskich sprawach. Czyżby chodziło o kontakty przy kieliszku? A może obaj starsi panowie chadzali razem „na podryw”?

Uśmiechnąłem się do siebie, bo takie wyjaśnienie nie wydało mi się zbyt prawdopodobne. Pani Wodnicka zbyt spokojnie o tym wspomniała.

– Potem – kontynuowała cichutko – szybko usnęłam. Byłam bardzo zmęczona. Zawsze jestem zmęczona w dniu, kiedy przyjeżdżają goście. On wiercił się i mamrotał coś pod nosem. A kiedy się obudziłam w nocy, od razu zauważyłam, że go nie ma w łóżku. Zapaliłam światło. Nie było go w pokoju. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła pierwsza. Byłam bardzo zaniepokojona. Nigdy nie wstawał w nocy. Czekałam z dziesięć minut. Potem, włożyłam szlafrok i wyszłam na korytarz. Zobaczyłam ze schodów, że w pokoju na dole paliło się światło.

Zeszłam. I znalazłam go... nie żył. Nie żył... – zapłakała cicho.

Taktownie poczekałem, aż się wypłacze. A kiedy już przestała, zapytałem łagodnym tonem:

– Proszę sobie dobrze przypomnieć. To jest bardzo ważne. Czy od chwili, kiedy wyszła pani z pokoju, aż do momentu odkrycia zwłok nie zauważyła pani czegoś, co mogłoby nas naprowadzić na ślad? Czegoś niezwykłego albo nawet i zwykłego. Po prostu czegoś, o czym pani mi nie powiedziała?

– A co miałam zauważyć? – zapytała bezradnie. – On nie żył.

– Nie wiem, co pani mogła zauważyć – przyznałam szczerze – po prostu się pytam. Może coś pani sobie przypomni?

A gdy milczała, dodałam przynaglająco:

– Może pani zechce raz jeszcze opowiedzieć o wszystkim, co widziała od chwili, gdy wyszła z pokoju.

– Widziałam światło. Paliło się w pokoju na dole.

– Na korytarzu na górze było ciemno?

– Tak... chociaż, ach, tak, przypominam sobie! Nie było zupełnie ciemno! Drzwi do pokoju mojego bratanika były uchylone... „padała zza nich smuga światła...”

– Proszę pana! – wykrzyknęła z nagłym przestraszeniem. – Proszę pana, to jest chyba bardzo dziwne! Co pan o tym sądzi?

Potałem czoło wierzchem dłoni i wyznałem szczerze:

– Na razie nic nie sądzę, proszę pani. Na razie po prostu zbieram fakty. Fakty są najważniejsze.

Dopiłem resztkę kawy, którą podano mi w dużym fajansowym kubku. Kawa była dobra i postawiła mnie na nogi. Uczucie sennego oszołomienia, które dręczyło mnie od chwili przebudzenia, rozwiało się wreszcie i czułem, że mogę teraz trochę intensywniej popracować. W myśli podziękowałem panie Beacie, która z własnej inicjatywy poczęstowała nas kawą. Panna Beata okazała się zresztą bardzo rozsądną osobą. Odpowiedziała wyczerpująco na wszystkie pytania i jej zeznania wniosły sporo nowych elementów.

Przed wszystkim w ich świetle okazało się, że nikt

obcy nie mógł nocą wtargnąć do domu. Sama wieczorem zamknęła okiennice, zabezpieczyła je od wewnątrz. Tak samo starannie zamknęła drzwi frontowe i kuchenne, zasunęła zasuwę i założyła łańcuchy. Gotowa była przysiąc, że gdy pani Wodnicka podniosła alarm i wszyscy zerwali się na nogi, sama osobiście sprawdziła, czy drzwi są zamknięte. Podobno były zamknięte. Tak samo rzecz się miała z okiennicami.

– Dlaczego właściwie pani to sprawdzała? – zapytałem podejrzliwie.

Popatrzyła na mnie jak na kogoś niespełna rozumu:

– A niby dlaczego miałam nie sprawdzić? Przecież byłam ciekawa, którędy tu się ten bandzior dostał. Czy, broń Boże – dodała ciszej – nie zapomniałam czegoś zamknąć... bo wtedy to mogłoby być na mnie...

– Ale nie zapomniała pani?

– Też coś – oburzyła się Beata – ja nigdy nie zapominałam o tym, co do mnie należy. Taka już jestem.

Zadałem jej potem mnóstwo innych pytań. Odpowiadała chętnie bez oporów. Była bystrą obserwatorką, a za język ciągnąć jej nie było potrzeba. Rzekłbym nawet, że przesłuchiwanie sprawiało pannie Beacie pewną przyjemność. Na zakończenie zaproponowała, że zrobi nam kawę. Entuzjastycznie przystałem na to, a sierżant Wyderko, który asystował przy przesłuchaniu, także nie zgłosił sprzeciwu.

– A więc, sierżancie – powiedziałem – możemy zrobić małeńkie podsumowanie...

– Tak jest, obywatelu poruczniku – regulaminowo zgodził się Wyderko.

– Moglibyście dać spokój z tym obywatelowaniem – mruknąłem niechętnie. – Załatwicie to hurtowo innym

razem, teraz chce, z wami po prostu zwyczajnie porozmawiać.

– Tak jest, obywatelu poruczniku! – sierżant wyprężył się sztywno i wyraźnie zdradzał ochotę na podezwanie się z krzeselka.

Westchnąłem z rezygnacją. Na Wyderkę nie było rady. Machnąłem ręką i powiedziałem:

– No więc tak, zreasumujmy sytuację. Wodniccy prowadzili sobotnio-niedzielny pensjonat. Wczoraj wieczorem było tu osiem osób. Wodnicki, Wodnicka, jej bratanek Silnicki, służąca Beata – to domownicy. Z obcych byli tu mecenas Ryłski, pani Kwaśniewska, pan Salaburski i nieoceniony pan Kwiryn, który podobno umie zabawiać towarzystwo. Wieczorem wszyscy poszli spać. Pan Wodnicki był wyraźnie czymś zdenerwowany. Usiłował dodzwonić się do swego przyjaciela. Potem w nocy wstał i zszedł do pokoju stołowego na parterze. Tam go zabito. Morderstwo wykryła pani Wodnicka, zaniepokojona nieobecnością męża w sypialni. Wszyscy inni podobno spali, aha, drzwi do pokoju Silnickiego były uchylone i paliło się w nich światło. Przynajmniej tak utrzymuje Wodnicka. Okiennice były zamknięte i drzwi też. Wygląda na to, że Wodnickiego załatwił ktoś z pozostałej siódemki...

– Ośmielę się zameldować – przerwał Wyderko – że niekoniecznie musiał być to ktoś z tej siódemki.

Spojrzałem z zaciekawieniem.

– Co macie na myśli?

– Obywatelu poruczniku, melduję, że mam na myśli to, iż morderca mógł przyjść z zewnątrz, jeżeli miał tu współnika. Ten współnik mógł go wpuścić, potem wypuścić i zamknąć drzwi od wewnątrz.

– Mogło i tak być – zgodziłem się sceptycznie – ale to mało prawdopodobne. W każdym razie – zastrzegłem się – w tym domu w chwili obecnej znajduje się osoba, która jeżeli nawet sama nie zamordowała, to doskonale wie, kim jest morderca...

Zamilkłem na chwilę, a potem zapytałem:

– Jak mi radzicie postąpić w takiej sytuacji?

Wypalił bez chwili namysłu:

– Melduję, obywatelu poruczniku, że w tej sytuacji doradzam prowadzić śledztwo zgodnie z regulaminem.

– O tym, Wyderko, to i ja sam wiem doskonale. Mnie chodzi o rady bardziej konkretne.

– Melduję, że obywatel porucznik powinien przesłuchać osoby podejrzane.

– Od kogo radzicie zacząć?

– Melduję, obywatelu poruczniku, że radzę zacząć od tego bratanka. Żona denata widziała światło w jego pokoju, a podejrzana Beata zeznała, że ów bratanek miał z denatem rozmaite nieporozumienia.

Rzeczywiście, Beata powiedziała nam coś w tym rodzaju. Wiedziałem, że adeptowi sztuki filmowej wypadnie mi się przyjrzeć z wielką uwagą, ale na początek postanowiłem porozmawiać jednak z kimś innym.

– Macie rację, sierżancie – powiedziałem – ale właśnie dlatego, że on jest najbardziej podejrzany, jeszcze przed przesłuchaniem chciałbym zebrać o nim trochę informacji. Na początek porozmawiamy z nieocionym panem Kwirynem. Poproście go tu do mnie, sierżancie.

– Witaj, Holmesie! – powiedział nieoceniony pan Kwiryn i wygodnie usadowił się w miękkim fotelu.

Miał zmierzwioną, poprzątaną siwizną i wyjątkowo niechlujną brodę. Był nieprawdopodobnie szczerbawy, a misterna siateczka fioletowych żyłek na policzkach i nosie zdradzała żywe zainteresowanie wyrobami spirytusowymi.

Obrzuciłem go surowym spojrzeniem i powiedziałem:

– Witaj, kryminalisto! Widzę, że od teorii przeszedłeś do praktyki. Nie wystarczało ci uśmiercanie ludzi na papierze i spróbowałeś, jak to wygląda w rzeczywistości.

Sierzant Wyderko skamieniał z wrażenia. Nie tak wyobrażał sobie początek regulaminowego przesłuchania świadka.

Kwiryn uśmiechnął się wyszczerzając resztki pożółkłego uzębienia:

– Gdybym ja to zrobił, Holmesie, to możesz być pewny, że w momencie zabójstwa byłbym stąd oddalony o dobre kilkaset kilometrów. Moją specjalnością są zabójstwa na odległość, przy zachowaniu pełnego alibi.

– Nie chwal się, kryminalisto. Taka sztuczka udała ci się tylko raz.

Oczy Wyderki stawały się coraz bardziej okrągłe ze zdumienia. Z obawy, by mu nie wyskoczyły z orbit, pospieszyłem z wyjaśnieniami:

– Przedstawiam wam, sierżancie, chlubę polskiej powieści kryminalnej. Pan Kwiryn jest autorem kilku potwornych powieści. Ten pomysł z zabójstwem na odległość pochodzi z jego ostatniej chały. Odradzam stanowczo lektura. To się chyba nazywa *Paznokcie szkartatnej dusicielki*.

– A jednak przeczytałeś! Gdyśmy się widzieli ostatni raz przed czterema laty, utrzymywałeś, że lektura moich *Kwiatów dla mordercy* wywarła na tobie tak wstrząsające wrażenie, że przysięgłeś sobie nie przeczytać już żadnej mojej książki.

– Cóż, człowiek jest słaby, kryminalisto. Jeszcze raz popełniłem błąd, ale teraz gorzko żałuję i przyrzekam poprawę.

Z Kwiryнем chodziliśmy razem do szkoły. Byliśmy przyjaciółmi. Potem nasze drogi się rozeszły. Ale ilekroć go spotkałem, gawędziliśmy zupełnie miło. Ucieszyłem się widząc go tutaj. Mógł być bardzo cennym źródłem informacji.

Sierżant Wyderko powoli przychodził do siebie. – Znaczy – powiedział powoli – że obywatel porucznik zna obywatela Kwiryна.

– Mam to nieszcześnie, sierżancie – stwierdziłem – niestety, w młodości człowiek jest głupi, niedoświadczony i nie potrafi wybrać sobie właściwego towarzystwa.

Sierżant ze zrozumieniem pokiwał głową i obrzucił Kwiryна surowym spojrzeniem.

Zerknąłem na zegarek. Było już cholernie późno, a ja niesamowicie głodny. Doszedłem do wniosku, że czas najwyższy zakończyć przyjacielską pogawędkę i zabrać się do solidnego przesłuchania.

Może zechcesz mi powiedzieć, co tu właściwie robisz – zapytałem.

– W tej chwili rozmawiam z chlubą służby śledczej milicji obywatelskiej.

– Nie wygłupiaj się i nie utrudniaj prowadzenia śledztwa. Pytam zupełnie poważnie.

– W takim razie będę zupełnie poważnie odpowiadał

– zgodził się chętnie Kwiryn. – Otóż wyobraź sobie, że korzystam z sobotnio-niedzielnego wypoczynku. Wygodnie tu. Okolica urocza, jedzenie dobre, ceny przystępne, a towarzystwo interesujące, jedyny mankament – pani domu nie podaje alkoholu... jakoś jednak staram się temu zaradzić we własnym zakresie...

Pociągnąłem nosem i zapytałem podejrzliwie:

– Już dziś próbowałeś zaradzić?

Oburzył się szczerze.

– Uchowaj Boże. Nie mam zwyczaju popijać na czczo. To bardzo szkodzi na żołądek. Tobie bym też radził...

Przerwałem mu niecierpliwie:

– Radzić mi będziesz potem. Teraz odpowiadaj na pytania. Często tu bywasz?

– Od czasu do czasu, ale raczej często. Jak już ci dałem do zrozumienia, podoba mi się tu.

– Dobrze znasz tych ludzi?

– Kogo masz na myśli?

– No, tych wszystkich, co tu dziś są obecni, i zamordowanego oczywiście...

Wzruszył ramionami.

– Trudno to nazwać dogłębną znajomością. Beczki soli z nimi nie zjadłem, ale niektórych z nich rzeczywiście znam.

– Masz jakieś podejrzenia?

Przyjrzał mi się z wyraźną ironią.

– Galopujesz, kochany. Wyprzedzasz pytania. To powinno być ostatnie. Tak się nie prowadzi porządnego przesłuchania. Widać jesteś cholernie zły i spieszysz się z tym śledztwem. Nic zresztą dziwnego – popatrzył na mnie domyślnie – jak człowiek miał jechać na urlop,

a tymczasem w środku nocy zerwali go do nieboszczyka, to musi być zły jak jasny gwint.

Zamurowało mnie. Skąd, u licha, wiedział o mojej urlopowej historii? Popatrzyłem na niego bezradnie.

– Żona z pewnością nie będzie zadowolona! Oj, nie będzie! – kontynuował. – Ale nie martw się. Wszystko się jakoś ułoży. Żony milicjantów są bardzo wyrozumiałe.

– Kwiryn! – warknąłem ponuro. – Skąd, u licha, ty o tym wiesz?

– Jak to skąd? – zdziwił się szczerze. – Myślisz, że nie znam żon oficerów milicji?

– Nie o to chodzi! – prawie krzyknąłem. – Skąd wiesz, że miałem wyjechać na urlop.

Uśmiechnął się pogodnie.

– No wiesz! Też pytanie! Przecież to jest reguła! Jeżeli dzielnemu oficerowi milicji powierzają śledztwo w poważnej sprawie, to on właśnie zawsze wybiera się na urlop. Ja miałbym o tym nie wiedzieć? Ja? Przecież napisałem już jednaście kryminałów!

Byłem zdruzgotany. Sięgnąłem po papierosa. Usłużnie podsunął mi ogień.

– A w ogóle to dziwię się, że palisz klubowe. Porządny oficer śledczy pali tylko sporty i extra mocne. Dawniej palił mazury. Niestety, od kilku lat już się ich nie produkuje.

Miał rację. Rzeczywiście swego czasu paliłem mazury. Obecnie palę wyłącznie sporty. Ubierając się dziś rano wsunąłem do kieszeni przez pomyłkę papierosy Baški.

– No dobra. Niech ci będzie. Widać nie dogadam się z tobą. Skończmy wreszcie z tymi koszulkami-opałkami. Wracajmy do sprawy. Podejrzewasz kogoś?

– Tu sami podejrzani. To są ludzie, którzy z natury rzeczy budzą podejrzenia!

– Nie bardzo cię rozumiem... Kogo masz na myśli?

– Jak to kogo! – zapalił się. – Oczywiście, że wszystkich, a właściwie prawie wszystkich! – poprawił się szybko.

– Wytlumacz mi jaśniej, o co chodzi.

– Proszę bardzo! A więc uważaj, kogo tu mamy? Mamy właścicielkę prywatnego pensjonatu, autora powieści kryminalnych, studenta szkoły filmowej, czyli artystę, właścicielkę sklepu komisowego, mecenasa, radcę prawnego pewnej spółdzielni i księgowego tejże spółdzielni. Co, nie wystarczy ci? Oczywiście, jest jeszcze Beata, służąca, ale ona odpada...

– Poczekaj chwileczkę – przerwałem mu. – Zgadzam się oczywiście z tobą, że wszyscy obecni w tym domu są z natury rzeczy podejrzani, ale na jakiej zasadzie wyłączyłeś służącą?! Przecież ona też była obecna.

– Człowieku! Jak ty nic nie rozumiesz! I cóż z tego, że była! Służące nie zabijają! Nie ten etap. Zbrodnicze służki zdarzają się tylko w Anglii, ale i tam to też teraz niemodne. Znam się na tym. Musisz skoncentrować się na pozostałych! Co za wspaniała galeria! Artystów! Ludzie wolnych zawodowi Spółdzielcy i prywatna inicjatywa! Aż palce lizać, co za podejrzani, jest w czym wybierać...

– Poczekaj – przerwałem mu – jeśli dobrze rozumiem, Beatę wykluczyłeś tylko z tego powodu, że jest służącą?

– Przede wszystkim dlatego. Służące nie zabijają. Znam się na tym. Przeczytałem wszystkie polskie powieści kryminalne, a sani napisałem jedenaście. Najbardziej podejrzani są oczywiście prywaciarze i artyści,

spółdzielców też nie należy lekceważyć. W spółdzielniach bywają nadużycia...

– Człowieku – jęknąłem – nie we wszystkich, za-
pewniam cię, że nie we wszystkich...

– Mówisz? – zdziwił się uprzejmie. – Możliwe, ale
ja wiem swoje. Jeżeli w powieści kryminalnej jest coś
powiedziane o jakiejś spółdzielni, to jak amen w pacie-
rzu będzie i o nadużyciach. Taka jest reguła, stary.

– Artyści z natury rzeczy też są podejrzani?

– Jeszcze jaki Nawet więcej niż prywatni. Pry-
waciarz ma na sumieniu najczęściej jakieś machlojki
finansowe. Zabija stosunkowo rzadko, choć nie po-
wiem, zdarza się i to. Hodowca nerek może na przykład
karmić swe zwierzęta zwłokami, ale artyści, bracie, to
ludzie szczególnie podejrzani. Jak dobrze pogrzebać, to
się okaże, że prawie każdy ma coś tam na sumieniu. A
już do mokrej roboty to są jedyni. Co za pomysłowość,
bracie! Szkoda, że w tym towarzystwie zabrakło jakie-
goś naukowca. Ci są jeszcze bardziej podejrzani od
artystów!

Pamiętałem, że Kwiryn zna się na rzeczy, że prze-
czytał wszystkie polskie powieści kryminalne, a sam
napisał jedenaście, niemniej jego wywody niezbyt mi
trafiły do przekonania.

– Widzisz – powiedziałem – jednak życie to nie to
samo co powieść kryminalna. Tu rządzą trochę inne
prawa...

Spojrzał na mnie z wyraźnym sceptycyzmem:

– Tak uważasz? Mie będę się spierał. Chciałbym ci
jednak zwrócić uwagę, że według ogólnej opinii polskie
powieści kryminalne są podobno bardziej związane z
realiami autentycznego życia niż inne działy naszej

literatury. Nawet najbardziej niechętni kryminałom krytycy od czasu do czasu przyznają półgębkiem, że...

Nie miałem ochoty na dyskusje o współczesnej literaturze. Nie znam się na tym. Znam się za to na tropieniu morderców, dlatego postanowiłem wrócić do interesującego mnie tematu.

– Dobrze, Kwiryn, o literaturze podyskutujemy innym razem. Teraz wracajmy do naszych spraw. Słuchaj, bracie – uderzyłem w ton konfidencjonalno-kumpłowski – potrzebna mi jest twoja pomoc. Z tym urlopem trafiłeś w dziesiątkę: Chciałbym jak najszybciej zakończyć tę sprawę. Pomożesz mi?

– Z entuzjazmem, kapitanie!

– Nie jestem kapitanem.

– Ale będziesz! Do prowadzenia śledztwa w sprawie morderstwa najlepiej nadają się oficerowie w randze kapitana lub majora. Pułkownicy z zasady kontrolują śledztwo, a porucznicy i podporucznicy spełniają czynności pomocnicze. Mordercę zawsze demaskuje kapitan lub major. To poważne przeoczenie, że cię dotychczas nie awansowali

W głębi duszy przyznałem mu rację, nie dałem jednak tego po sobie poznać i cierpko zauważyłem:

– Skończ już wreszcie z tym teoretyzowaniem. Czy możesz udzielić mi informacji o ludziach zgromadzonych pod tym dachem?

– Oczywiście, Holmesie, możesz mną rozporządzać. Chciałem tylko skromnie zauważyć, że to nie przyniesie ci wielkiego pożytku. Pierwsze informacje, jakie o podejrzanych uzyskuje oficer prowadzący śledztwo, są z reguły dla jego dalszego rozwoju prawie zupełnie nieprzydatne. Istotne informacje uzyskasz

dopiero później, a zdarzy się to wtedy, gdy już wszystkie dotychczasowe koncepcje zawiodą i znajdziesz się w przysłowiowej kropce... Będziesz intensywnie myśleć, wypalisz mnóstwo papierosów i wypijesz całe morze kawy. I wtedy przypomnisz sobie jakiś drobiazg, który dotychczas przeoczyłeś, zrozumiesz jego prawdziwe znaczenie i dostąpisz objawienia...

– Dziękuję za przepowiednie, Kwirynie. Zanim jednak ten cud się zdarzy, muszę się czymś zająć. Potrzebne mi więc są informacje. Nawet te zupełnie nieprzydatne...

– W porządku. Pytaj. Co chcesz wiedzieć?

Zacząłem pytać. Okazało się, że Kwiryn znał panią Wodnicką, jej bratanka, panią Florę Kwaśniewską i mecenasa Ryłskiego. Pan Salaburski był dla niego postacią zupełnie nową. Wczoraj widział go po raz pierwszy w życiu.

Ze szczególnym zapałem opowiadał o pani Florze.

– To królewska kobieta, Piotrusiu! Wszystko ma na swoim miejscu i w doskonałych wymiarach! Nogi, biodra i biust, palce lizać. Szczególnie biust!

Przerwałem mu te zachwyty.

– O kształtach pani Flory porozmawiamy sobie po zakończeniu sprawy. Przejdźmy do spraw istotniejszych.

Zaperzył się okropnie, a jego skołtuniona broda zje tyła się wyraźnie.

– Kształty pani Flory są z pewnością istotne! Czy nie zdajesz sobie sprawy, że to właśnie one mogły być, pośrednio, przyczyną zbrodni?

Absolutnie nic zdawałem sobie z tego sprawy, co widocznie wyczytał z mego zdumionego spojrzenia, gdyż natychmiast pospieszył z wyjaśnieniami:

– Wyobraź sobie, że pan Wodnicki był amatorem

kształtnie zbudowanych kobiet. Kiedyś, gdy sobie podpił, zwierzył mi się, że niewiasty płaskie jak deska nie robiły na nim najmniejszego wrażenia...

– Nie widzę związku ze zbrodnią – wyznałem szczerze – zupełnie nie kojarzę...

– Zaraz będziesz! – wykrzyknął ochoczo. – Wyobraź sobie taką sytuację. Pan Wodnicki, zauroczony panią Florą, popada w namiętną miłość. Pani Flora, kobieta obdarzona szerokim sercem, wzrusza się jego uczuciem i naznacza mu schadzkę w pokoju jadalnym na dole. Oczywiście nocą, wtedy, gdy pani Wodnicka śpi. Pan Wodnicki spieszy na spotkanie. Szarpany namiętnością starszy pan przybywa przed terminem... ale żona jest czujna. Budzi się, śledzi męża i podąża za nim... Potem wiedziona zazdrością chwyta pogrzebacz...

Sierżant Wyderko wsłuchiwał się w wywody Kwiryna z wielką uwagą, ale ja natomiast zgłosiłem obiekcje:

– Czy masz choćby cień dowodu na to, że tak to się właśnie stało?

Przyjrzał mi się ze zdumieniem.

– Dowodu? W tej fazie śledztwa? Oczywiście, że nie! Po prostu pokazuję ci pierwszą możliwą koncepcję wyjaśnienia zagadki. Koncepcję opartą na motywie erotycznym. W każdej szanującej się powieści kryminalnej pojawia się motyw erotyczny. Czytelnicy to bardzo lubią. Ktoś zabił dlatego, że za bardzo kochał lub zazdrościł... Niestety, potem okazuje się, że ta koncepcja jest niewypałem. Morderstwa popełniane są zazwyczaj ze znacznie mniej romantycznych powodów. Tylko we Francji jest inaczej, wystarczy przeczytać Simenona, żeby się o tym przekonać...

– Dajmy więc spokój fałszywym koncepcjom –

mruknąłem – skoncentrujmy się na innych możliwościach

– Co to znaczy skoncentrujmy się? – zapytał z szatańskim błyskiem oczu. – Czyżbyś uznał mnie za współpracownika, z którym razem poprowadzisz to śledztwo? To się w polskich warunkach zdarza niesłychanie rzadko. W przeciwieństwie do angielskich inspektorów ze Scotland Yardu, polscy milicjanci są niesłychanie powściągliwi w zapraszaniu osób postronnych do uczestniczenia w dochodzeniach. Trochę mnie zdziwiasz, Piotrusiu. Ale mogę z tobą współdziałać.

Sierżant Wyderko spojrział na Kwiryne bardzo surowo.

– Obywatel trochę się zapomina – powiedział.

– Współdziałanie obywateli z władzami ścigania, sierżancie – wtrąciłem miękko – jest zjawiskiem niezwykle pożytecznym i nad wyraz pożądanym. Zdajecie sobie z tego chyba sprawę.

– Tak jest, obywatelu poruczniku – natychmiast zgodził się Wyderko – chodzi jednak o to, aby odbywało się w ramach przewidzianych regulaminem. Ośmielałem się zauważyć, że w regulaminie nigdzie nie napisano o uczestnictwie postronnych obywateli cywilów w śledztwie.

– Sierżancie – uśmiechnąłem się do niego – pozwólcie, sierżancie, że to śledztwo poprowadzę w taki sposób, jaki uważam za słuszny. Nie wszystkie sytuacje można ująć w sztywne ramy punktów regulaminu.

– Zwłaszcza – oświadczył Kwiryn z całkowitą powagą – że pan porucznik proponując mi współdziałanie w śledztwie być może zastawia na mnie specjalnie chytrą pułapkę. Może chce uśpić moją czujność i sprowokować do nieprzemysłanej szcerości, która mnie zdradzi. Tego rodzaju chywy i sposoby śledcze stosuje się czasem,

i to z dobrym skutkiem. Wprawdzie w polskich kryminałach zdarza się to niezmiernie rzadko, ale taki na przykład Herkules Poirot tak właśnie postąpił demaskując mordercę Roberta Acroyda, komisarz Maigret natomiast...

Oczy sierzanta Wyderko wyrażały teraz tak przeogromne zdumienie, że uznałem za wskazane przerwać tę wypowiedź.

– W porządku, Kwiryńku, wierzę w twoją znajomość literatury przedmiotu. Wracajmy jednak do naszych baranów. Naprawdę szkoda czasu. Porzućmy na razie koncepcję, że zbrodnię popełniła pani Wodnicka. Kogo w kolejności proponujesz na warsztat? Masz tę przewagę nadę mną, że jako tako znasz tych ludzi.

Zastanawiał się przez chwilę, co objawiało się gwałtownym czochraniem zmierzwionej brody, potem powiedział:

– Co byś powiedział na kandydaturę tego młodego filmowca?

– O – ucieszyłem się – i ty na to wpadłeś?! Widzisz, w świetle pewnych informacji, jakie już otrzymałem, on i mnie wydaje się osobą godną zainteresowania.

– A można wiedzieć – zapytał przyglądając mi się uważnie – co to za informacje?

Zawahałem się przez chwilę. Spotkałem ostrzegawcze spojrzenie sierzanta. Zapaliłem nowego papierosa, a potem podjąłem decyzję. Opowiedziałem mu o zeznaniu pani Wodnickiej i o informacjach uzyskanych od Beaty. Wyderko przybrał minę wyniosłej obojętności, a nie wiedziałem, że jest głęboko wstrząśnięty i oburzony.

Kwiryń wysłuchał mnie z dużym zaciekawieniem.

– A więc ta dziewczyna powiedziała, że wczoraj przed południem, jeszcze przed przybyciem gości pan

Wodnicki pokłócił się gwałtownie z bratanikiem swojej żony...

– Tak zeznała. Sprzątając na górze usłyszała podobne głosy z pokoju pana Wodnickiego. On podobno krzyczał, a Silnicki odpowiadał mu gwałtownym głosem.

– I nie słyszała, o czym mówili?

– Twierdzi, że nie słyszała. Nie chciała podobno podsłuchiwać. Zrozumiała tylko, iż pan Wodnicki krzyczał, że wyprasza sobie coś takiego pod swoim dachem.

– A więc – uśmiechnął się Kwiryn – mamy motyw romantyczno-erotyczny numer dwa. Można się tego było spodziewać. W dobrym kryminale jeden motyw erotyczny nie załatwia sprawy. Nie masz pojęcia, jak czytelnicy przepadają za tymi rzeczami! Czytelnik chce, żeby za swoje pieniądze mógł przeczytać także i o miłości. Nic tak dobrze nie pasuje jako przyprawa do zbrodni jak pewna przymieszka seksu...

Przerwałem mu brutalnie:

– Przestań się wygłupiać! Nie zapominaj, że ja naprawdę prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa i nie mam czasu na wygłupy! Myślałem, że jesteś poważniejszy.

– Poruczniku – powiedział ze szczerym zdziwieniem – nie bardzo rozumiem. Najpierw proponujesz mi współpracę, a w chwilę potem zaczynasz na mnie wrzeszczeć.

Teraz ja byłem zdumiony.

– I ty to nazywasz współpracą? Wygadujesz jakieś brednie.

– Ja? Brednie? Po prostu ustalam motyw erotyczny; numer dwa.

– Zmiłuj się, człowieku, gdzie ty tu widzisz motyw erotyczny?

– A ty go nie widzisz? Przecież jest widoczny jak na dłoni!

Zamrugałem bezradnie. Nie próbowałem się nawet zastanawiać. Jestem zwykłym, pozbawionym nadmiernej wyobraźni oficerem służby śledczej. Ścieżki, po których chadzały myśli Kwiryra, były dla mnie zupełnie niedostępne.

– Wytłumacz jaśniej, o co ci chodzi. Tylko – dodałem surowo – tym razem powstrzymaj się od tych wszystkich teoretyczno-literackich ozdóbek. Ogranicz się po prostu do faktów.

– Ha, jeżeli twoja umiejętność dedukcji szwankuje... Słuchaj uważnie. Pani Wodnicka wychodząc w nocy na korytarz zauważyła, że drzwi w pokoju jej bratanka są uchylone, a wewnątrz pali się światło. Co z tego wynika? Albo młody człowiek wrócił z jakiejś nocnej wędrówki i zapomniał zamknąć za sobą drzwi, albo po prostu czekał na kogoś i drzwi były uchylone dlatego, żeby ten ktoś mógł tam trafić po ciemku łatwo i bez czynienia niepotrzebnego hałasu. Zgadzasz się ze mną?

Wzruszyłem ramionami.

– Niech ci będzie. Mogło tak być.

– Widzisz! – ucieszył się wyraźnie. – Widzisz, co znaczy potęga dedukcji! Ale jedźmy dalej! Od kogo mógł wracać w środku nocy młody przystojny adept sztuki filmowej? Oczywiście od kobiety! Czy to się po prostu nie rzuca w oczy? A jaka kobieta mogła tu wchodzić w rachubę? Trzy kobiety! Beata, pani Kwaśniewska i... sama pani Wodnicka.

– Przecież to jego ciotka.

– To nic nie znaczy. Z ciotką – nie takie znowu kazirodztwo. Zdarza się w życiu i literaturze. Przeciwnie pani Wodnickiej przemawia co innego. Nasza gospodyni nie jest, jak by tu powiedzieć, pociągająca, a i fakt, że sama powiedziała ci o tych otwartych drzwiach... Choć z drugiej strony...

– Daj spokój pani Wodnickiej. Nie interesuje mnie druga strona – przerwałem stanowczo. – Sam wiesz, że to piramidalny nonsens.

– Niech ci będzie – Kwiryń był wyjątkowo zgodny. – Skoncentrujmy się na Beacie i pani Florze. Beata jest dziewczyną zupełnie do rzeczy, a pani Florze była już mowa. Obie te panie mógł Silnicki odwiedzać w nocy albo czekać na wizytę którejś z nich. Tak się złożyło, że Beatę możemy wykluczyć...

Przyjrzałem mu się uważnie.

– A niby dlaczego, Kwiryńku?

Po raz pierwszy w toku naszej rozmowy był trochę zmieszany.

– No, jak by to powiedzieć – wymamrotał – nie wspomniałem ci jeszcze o tym, ale panna Beata ma na dzisiejszą noc coś w rodzaju alibi. Jak by to wyrazić? No, po prostu nie mogła być jednocześnie w dwóch miejscach. Czy wyraziłem się dość jasno?

– Nie bardzo, Kwiryńku – nie spuszczałem z niego zaciekawionego spojrzenia. – Czy nie zechciałbyś nam wyjaśnić, na czym polega alibi panny Beaty?

Był zmieszany coraz bardziej.

– Dżentelmen w takich sytuacjach raczej się nie chwali...

Od jakiegoś czasu sierżant Wyderko przyglądał się Kwiryńowi z wielkim zainteresowaniem.

– Czy mamy rozumieć, że obywatel Kwiryń – zapytał ostrożnie – spędził noc z obywatelką Beatą?

Gdyby spojrzenia mogły zabijać, Wyderko byłby już najbardziej martwym ze wszystkich nieboszczyków.

– Coś w tym rodzaju, sierzancie! – huknął z wściekłością. – A może – rozejrzał się dookoła wojowniczo – milicja ma coś przeciwko temu?! Może się to komuś nie podoba?!

Załagodziłem sytuację.

– Oczywiście, Kwiryńku. Milicji nic do tego, w czym towarzystwie spędza noce wybitny autor znakomitych kryminałów. Zapewniam cię, że to jego zupełnie prywatna sprawa...

Uspokoił się, ale w dalszym ciągu był trochę obrażony.

– Kontynuujmy, Kwiryńie – zachęciłem go łagodnie – miałaś nam przedstawić tak zwany motyw erotyczny numer dwa. Zamieniamy się w słuch.

Spojrzenie jego niewielkich, mętnych oczek było nadal pochmurne, niechlujna broda drgała niespokojnie, ale raczył powrócić do zasadniczego tematu:

– Jak ustaliliśmy, Beata nie mogła być tą osobą, z którą w nocy spotkał się lub zamierzał spotkać się Silnicki. Pozostaje więc pani Flora. Skądinąd wiem, że pani Flora leciała na tego chłopaka. W gruncie rzeczy przyjeżdżała tu tylko dla niego. Takie nocne spotkania tych obojga zdarzały się w tym domu niejednym razem...

– Skąd o tym wiesz? – zapytałem dla porządku, choć spodziewałem się co odpowie. I nie pomyliłem się. Spuścił skromnie oczy:

– Beatka jest bardzo spostrzegawczą dziewczyną.

I w ogóle – ożywił się – to bardzo inteligentna panna. Mam nadzieję, że zaocznie zrobi maturę i zacznie studiować. To że w tej chwili jest służącą...

Przerwałem mu niecierpliwym ruchem ręki.

– Daj spokój, Kwiryнку.. O walorach panny Beaty porozmawiamy sobie kiedy indziej. Teraz raczej powiedz mi dokładnie, co ci naopowiadała.

– Ona jest osobą bardzo dyskretną – zapewnił pośpiesznie. – To ja jako pisarz jestem zainteresowany ludźmi i wyciągam ją na rozmaite zwierzenia. Pochlebiam sobie, że umiem to robić...

– Niewątpliwie – zgodziłem się skwapliwie – o twoich walorach też podyskutujemy później, teraz trzymaj się tematu.

– No więc Beatka zauważyła, że pani Flora strasznie leci na Silnickiego. Początkowo było to demonstrowane jako ogromne zainteresowanie sztuką filmową. Pani Flora wręcz napastowała chłopaka i zmuszała go do godzinnych dyskusji. Silnicki opędzał się od niej jak od natrętnej muchy, ale potem to i on zauważył ten jej wspinały biust. I w rezultacie przestał się opędzać. Trzeba przyznać, że pani Flora to naprawdę interesująca kobieta... – Kwiryń zamilkł i w zamyśleniu zaczął czochrać brodę.

– Kwiryнку – przypomniałem delikatnie – w dalszym ciągu nie widzę w tej historyjce niczego, co spowodować by mogło śmierć właściciela tego domu.

– Nie widzisz? – w tonie jego głosu zabrzmiał wyrzut. – Masz jednak rzeczywiście słabą wyobraźnię. Nie umiesz się wczuć w sytuację. Sprawiasz mi zawód. Milicjanci występujący w moich powieściach są znacznie od ciebie inteligentniejsi.

– Nic na to nie poradzę – bezradnie rozłożyłem ręce – już raz ci mówiłem, że jestem tylko zwyczajnym oficerem śledczym, a nie bohaterem twoich powieści. Nie nadażam za twoją wyobraźnią.

– No więc w porządku. Pomogę ci. Zauważ, że pan Wodnicki był, co tu dużo mówić, człowiekiem starej daty. Nie mógł mu się podobać flirt bratanka żony z dużo starszą przedstawicielką inicjatywy prywatnej. To musiało budzić w nim niesmak. Może po prostu był zazdrosny? W każdym razie wczoraj rano w ostrej formie zwrócił uwagę Silnickiemu, że wyprasza sobie, aby pod dachem porządnego domu działy się takie rzeczy. I właśnie fragmenty tej kłótni słyszała Beatka! Potem...

– Potem – przerwałem mu – młody człowiek wcale się nie przejął reprimendą wuja. Nocną porą udał się na spotkanie z piękną panią. Wuj nakrył ich na gorącym uczynku, a młody filmowiec, rozgniewany, potraktował go brutalnie przy pomocy pogrzebacza. To miałaś na myśli?

– Oczywiście! Nareszcie zaczęłaś myśleć!

– Ale przecież wiesz doskonale, że tak to nie mogło wyglądać – powiedziałem nie kryjąc rozczarowania. – Myślałem, że wymyślisz coś prawdopodobniejszego. Przecież nie powiesz mi, że młody filmowiec złapał za pogrzebacza i rąbnął wujaszka w głowę ot, tak bez słowa. Musiałoby chyba dojść wcześniej do nieliczej awantury. Tymczasem nikt niczego takiego nie słyszał.

– Widzisz! – ucieszył się Kwiryn. – Od razu byłem pewny, że nie dasz się zrobić w taką koncepcję. Oczywiście, że Silnicki nie mógł zabić wujka, zwłaszcza że był w tym czasie bardzo zajęty. Ale musisz przyznać, że motyw do zabójstwa miał, i to ci chciałem uzmysłowić.

Inna sprawa, że to zabójstwo nie zostałoby popełnione w pokoju na dole, ale zupełnie gdzie indziej.

– O czym ty właściwie mówisz? – spytałem podejrzliwie – znowu przestałem cię rozumieć.

– Po prostu wyjaśniam ci pewne rzeczy. Sęk w tym, że tej nocy Silnicki rzeczywiście spotkał się z panią Florą, tylko że miejscem spotkania nie był pokój na parterze. Chyba nie wyobrażasz sobie, że młody filmowiec spotyka się w środku nocy z piękną kobietą w pokoju, w którym najważniejszym sprzętem jest kominek?... Zatem sugerujesz, że Silnicki odwiedził panią Florę, a u siebie zostawił zapalone światło i uchylone drzwi.

– Po to – dorzucił Kwiryn – by wracając mógł trafić prościutko do swych drzwi bez konieczności zapalania lampy na korytarzu.

– Wszystko to bardzo piękne – zgodziłem się – ale to tylko przypuszczenia, które trzeba sprawdzić.

– Nic nie potrzebujesz sprawdzać. Tak po prostu było. Wiem o tym.

– Skąd?

– Bo mam oczy. Gdy pani, Wodnicka podniosła alarm, oczywiście wybiegłem na korytarz, za mną Beata. Sąsiednie drzwi od moich – to pokój pani Flory. Drzwi się otworzyły. Wyszła z nich pani Flora w bardzo pięknym, przewiewnym szlafroczku. A zaraz za nią z tych samych drzwi wylazł Silnicki. Też raczej był w stroju niedbałym...

– I ty to widziałeś?

– Nie tylko ja. Beatka była ze mną, a ona też ma oczy.

– I ty to widziałeś, kretynie! – wrzasnąłem czując, że ogarnia mnie pasja. – I zamiast mi o tym od razu

powiedzieć, przez pół godziny trujesz mi głowę jakimiś koszałkami-opałkami o motywach erotycznych! Wzruszył spokojnie ramionami.

– Śledztwo musi być prowadzone *lege artis*. Trzeba rozważyć wszystkie, nawet tylko teoretyczne możliwości. Alibi sprawdza się dopiero potem. Tak się zawsze robi w porządnych powieściach kryminalnych.

– To nie powieść kryminalna! Ja prowadzę autentyczne śledztwo! I przy tym okropnie mi się spieszy!

– Pośpiech zgubił niejednego detektywa...

Przypomniało mi się, że Kwiryna przegadać nie sposób. W czasach szkolnych nigdy mi się to nie udało. Fala wściekłości gdzieś się szybko rozplynęła. Odsapnąłem gniewnie, zapaliłem kolejnego papierosa i powiedziałem:

– Nigdy z tobą nie mogłem dojść do ładu. Ale spróbujemy jeszcze raz Tylko błagam cię, Kwiryńku, już niech nie będzie więcej wygłupów. Dajmy spokój teorii i stąpajmy po ziemi. W mętny i zawiły sposób ustaliliśmy, choć można to było zrobić w ciągu minuty, że kilka osób ma coś w rodzaju alibi na noc dzisiejszą. Silnicki, pani Flora, Beata i ty.

– Zwracam ci lojalnie uwagę, że moje alibi zależy od potwierdzenia go przez Beatę. Jeżeli okaże się dziewczyną, która dba o swoją reputację, może wyprzeć się wizyty u mnie.

– Wtedy – powiedziałem – sama straci alibi.

– ...Nie przeszkadzaj, ustaliliśmy już, że służące nie zabijają, ale jest jeszcze jedna możliwość. Po prostu mogliśmy działać wspólnie z Beatą i teraz, aby odciąć się od podejrzeń, wzajemnie się chronimy. Fałszywe alibi dostarczone przez współnika czy współniczkę zmyliło już niejednego detektywa i czytelnika.

– Trele morele, Kwiryнку, Powiedz mi, kochany, jakie mógłbyś mieć powody, aby uziemić Wodnickiego?

– Mnóstwo, Piotrusiu. Po pierwsze mógłbym chcieć ożenić się z panią Wodnicką, po drugie...

– To pierwsze mi wystarczy. Nie traktuj mnie jak idioty.

– Jak uważasz. Choć więc nie wyczerpaliśmy dogłębnie wszystkich możliwości związanych z tymi czterema osobami, na razie wyłączymy je z kręgu podejrzanych. Wielka szkoda, że już na tym etapie wyłączamy panią Florę. Świetnie nadaje się na podejrzaną...

– Znowu zaczynasz?

– Nic podobnego. Po prostu jest mi ogromnie żal pani Flory. Jakie wspaniałe możliwości otwierają się w związku z jej osobą! Sam pomysł! Piękna właścicielka prywatnego komisur! Namiętna i zachłanna zarazem. Zdolna do miłości i zbrodni... Założmy, że stary Wodnicki sprzeciwiał się jej związkowi z Silnickim. Szast! Prast! I nie ma już Wodnickiego.

No dobrze, dobrze – dodał pospiesznie, widząc moją minę – dajmy spokój pani Florze. Zajmijmy się pozostałymi. Oczywiście trzeba zastanowić się nad kandydaturą pani Wodnickiej. Mówiłem ci już o tym na, samym początku...

Sierżant Wyderko, który przysłuchiwał się dotąd naszej rozmowie w milczeniu, zdecydował się jednak na Interwencję.

– Obywatel sądzi, że obywatelka Wodnicką zabiła swojego męża? Nic z tego, lekarz powiedział, że cios zadany został z dużą siłą. Denat ma rozłupaną czaszkę. Obywatelka Wodnicką nie potrafiłaby zadać takiego ciosu. Do tego trzeba nieliczej krzepy.

Kwiryn znowu poczochrął siwą brodę i z dużym zaciekawieniem przyjrzał się sierżantowi.

– A więc tak sprawy się mają? – pomilczał chwilę, a potem dodał ze złośliwym uśmieszkiem: – Widzę, że i pan sierżant zdecydował się zdradzać tajemnice śledztwa osobom postronnym.

Cios był wymierzony celnie. Sierżanta po prostu zatkanęło.

– No, no – burknął – obywatel sobie za dużo pozwala.

Pospieszyłem mu z pomocą.

– Daj spokój sierżantowi, Kwiryń. Sierżant mówi ci to, co uważa za stosowne powiedzieć. I dobrze ci radzę, nie zaczepiaj go. Wielu się już na tym sparzyło – dodałem poważnie.

– Nikogo nie zaczepiam – potulnie wyjaśnił Kwiryń – po prostu tak mi się powiedziało. Ale wracajmy do sprawy. Szkoda, że musimy wykluczyć panią Wodnicką. Żal mi jej jeszcze bardziej niż pani Flory.

– Poczekaj – powiedziałem – nie wykluczajmy tak od razu. Zwłaszcza jeśli masz jej coś konkretnego do zarzucenia poza oczywiście tym fantastycznym motywem erotycznym numer jeden.

– Konkretnego? – skrzywił się, jakby połknął coś bardzo niesmacznego. – Konkretnego? Przecież jest jego żoną! Czy fakt ten jest mało konkretny? Kiedy ginie mąż, oczywiście pierwsze podejrzenie pada na żonę, jeżeli żona, na męża. To jest po prostu reguła, Piotrusiu. Przeczytałem wszystkie...

– Wiem, że przeczytałeś. Nie wątpię w to ani przez chwilę, Kwiryńku, ale mimo tego nie mam najmniejszych powodów, aby podejrzewać panią Wodnicką.

– Żona jest zawsze podejrzana, ale jeżeli już ci tak konkretnie chodzi o motywy, to muszę przyznać, że nie widzę żadnych. To małżeństwo wyglądało na idealne. Ale to nic nie znaczy. Na przykład w angielskich kryminałach, a już szczególnie u Agaty Christie, mąż lub żona okazują się w końcu przeważnie winnymi. I to bez względu na to, czy małżeństwo wyglądało na udane...

– Na razie wyłączymy panią Wodnicką – przerwałem mu. – Zastanówmy się nad pozostałymi osobami.

– Pozostały tylko dwie – stwierdził Kwiryn. – Pan mecenas Rylski i pan Salaburski. Co o nich sądzisz?

– Nic nie sądzę – wyznałem szczerze. – Nie wiem, co to za jedni, mam jednak nadzieję, że ty mnie w tym względzie oświecisz.

Kwiryn przez chwilę zastanawiał się, podrapał się po głowie, a potem oświadczył tryumfalnie:

– Masz rację! Oni rzeczywiście są najbardziej podejrzani! W pełni się z tobą zgadzam, tym razem trafiłeś w dziesiątkę!

– Kwirynku, znowu się zagalopowałeś! Nie mówiłem Ani słowa o tym, że są najbardziej podejrzani. Powiedziałem, że nic o nich nie wiem.

Przyjrzał mi się z wyraźnym niesmakiem.

– Przecież to jest to samo! Winnymi okazują się zawsze ci, o których detektyw wie jak najmniej, ci, których niczym nie można obciążyć.

Zdobywając się na cierpliwość wyjaśniłem:

– Możliwe, że masz rację. W tym sęk jednak, że nie wiem, czy oni są najmniej podejrzani. Po prostu nic, ale to dosłownie nic o nich nie wiem.

– Są najmniej podejrzani! – stanowczo oświadczył Kwiryn. – Tylko u mecenasa Rylskiego ostatecznie można by dopatrzeć się jakiegoś cienia motywu. Salaburski jest czysty jak łąza

– Dajmy więc na razie spokój Salaburskiemu. Opowiedz mi o Rylskim.

– Rylski jest stałym bywalcem w tym domu. Od lat. Był radcą prawnym spółdzielni, w której przed pójściem na rentę pracował Wodnicki. Bardzo się lubili i często grywali w szachy.

– Co z tym cieniem motywu? – naciskałem.

– No przecież już mówiłem, pracowali kiedyś razem w jednej spółdzielni, a w spółdzielniach, jak wiadomo...

Znałem już teorie Kwiryna o spółdzielniach. Zrozumiałem, o co mu chodzi,

– Przypuszczasz więc – powiedziałem – że to morderstwo mogło być wynikiem jakichś starych porachunków związanych z machlojkami na terenie spółdzielni. Diabło mało prawdopodobne. Wodnicki nie miał już z tą spółdzielnią nic wspólnego od kilku lat. A poza tym sam mówiłeś, że utrzymywali ze sobą przyjazne stosunki...

– Widzisz! – zgodził się skwapliwie Kwiryn. – Rzeczywiście przeciwko Rylskiemu nic prawie nie świadczy, a więc – dodał z naciskiem – jest szczególnie mocno podejrzany! Prawie tak samo mocno jak Salaburski. Ten jest dla mnie kandydatem na mordercę numer jeden! Przeciwno niemu nie ma nawet cienia podejrzeń!

Postanowiłem być trochę przekorny.

– Kwirynku, w świetle twoich teorii podejrzenie pada jednak i na Salaburskiego. Przecież jest głównym księgowym w spółdzielni, w której Rylski ma radcostwo, a której Wodnicki był pracownikiem. Jeżeli chodzi o machlojki finansowe, to główny księgowy jest nawet potencjalnie o wiele bardziej podejrzany niż radca prawni!

– Teoretycznie może nawet masz i rację, ale nie znasz szczegółów. Otóż Salaburski pracuje w tej spółdzielni dopiero od roku. Wodnickiego zobaczył pierwszy raz w życiu w sobotę, kiedy przyjechał tu z Rylskim. Jest czysty jak łąka! Musisz zwrócić na niego szczególną uwagę.

– Ładny mi główny podejrzany – mruknąłem – człowiek, u którego nie można stwierdzić istnienia motywów do popełnienia zbrodni.

– Piotrusiu – jęknął Kwiryn – nie udawaj naiwnego. Nie zachowuj się tak, jakbyś nigdy w życiu nie przeczytał żadnego kryminału. A motywami to tak prawdę mówiąc nie zwracaj sobie głowy. Gdybyś znał powód morderstwa, znałbyś też i mordercę. Prawdziwą przyczynę zbrodni odgadniesz dopiero na samym końcu. Na razie jesteśmy gdzieś w połowie akcji... Wiemy stosunkowo niewiele. W zasadzie znamy oczywiście wszystkie fakty, ale nie zdajemy sobie jeszcze sprawy z prawdziwego ich znaczenia. Oczywiście pewne rzeczy zaczną się wyjaśniać, gdy popełnione zostanie drugie morderstwo... ale i wtedy...

Poderwaliśmy się z sierżantem jak ukłuci szpilkami. Wbiliśmy spojrzenia w beztrosko rozszechotanego Kwiryna.

– Co wam się stało? Ugryzło was coś czy co?

– Kwiryn – powiedziałem powoli – czy naprawdę wyobrażasz sobie, że popełnione tu zostanie następne morderstwo?

– Ależ oczywiście! – wykrzyknął z przekonaniem. – Przecież na jednym się nie może skończyć! Już Agata Christie powiedziała, że nic tak nie ożywia powieści kryminalnej jak kolejny trup! Historia kryminalna bez

drugiego czy nawet trzeciego morderstwa byłaby po prostu nudna.

– Kwiryn – powiedziałem poważnie. – W powieści kryminalnej być może obowiązują takie zasady. Ale ja nie widzę najmniejszego powodu, żeby się im podporządkować. Nie będzie nowego nieboszczyka. Po prostu do tego nie dopuszczę.

Jakże się pomyliłem! W piętnaście minut po tym zuchwiałym stwierdzeniu pochylałem się nad kolejnym nieboszczykiem. Mecenas Ryłski leżał w głębokim fotelu, ustawionym w kącie pokoju. Miał lekko rozchylone usta, jakby chciał nam coś powiedzieć. Niestety, nie mógł już tego uczynić. Był martwy. W klatce piersiowej mecenasa, w samym jej środku, tkwił wbity mocno, aż po rękojeść, duży nóż, a właściwie sztylet z ozdobną rogową rękojeścią.

Otarłem wierzchem dłoni spocone czoło i oblizałem koniuszkiem języka spękane, zaschłe wargi. W skroniach mi huczało, a gdzieś w głębi świadomości przewijało się nieśmiałe przekonanie, że wszystko to jest tylko dalszym ciągiem niespokojnego snu, z którego przed kilku godzinami obudził mnie telefon z komendy.

– Nie ma co – powiedział bezosobowo i sucho sierżant Wyderko – obywatel Kwiryn zabawiał nas przyjemną rozmową, a tymczasem morderca znowu sobie pohulał. Nie ma co – w jego głosie dźwięczał wyrzut i cień tłumionego oburzenia. – Zawsze mówiłam, że nie ma to, jak trzymać się ściśle wskazań regulaminu – stwierdził nie patrząc na mnie.

– Ten sztylet – powiedział Kwiryn – leżał zawsze

na tamtym biurku – wskazał na biurko w kącie pokoju – mieszkalem tu nieraz w czasie moich pobytów w tym domu – wyjaśnił. – To właściwie nie sztylet, tylko ozdobny nóż do przecinania papieru.

Głosy Wyderki i Kwiryna docierały do mnie jak zza jakiejś zasłony. Postanowiłem się obudzić. Ten kosztowny sen trwał stanowczo za długo. Chrząknąłem głośno i czekałem na przebudzenie. Nie nastąpiło. To była jednak rzeczywistość. Dosłownie pod moim nosem, w domu pełnym milicji, popełnione zostało drugie morderstwo. Dokonano go w tym czasie, gdy ja, zamiast prowadzić normalne śledztwo, bawiłem się w teoretyczne rozważania w towarzystwie osobnika mieniącego się znakomitym autorem świetnych powieści kryminalnych. Doskonale rozumiałem, dlaczego w głosie sierżanta brzmiało oburzenie. Och, jak dobrze go rozumiałem.

– Mordercy cholernie się spieszyło – powiedział Kwiryn. – Podjął najwyższe ryzyko. Za żadną cenę nie mógł dopuścić do tego, by Rylski z nami porozmawiał. To daje wiele do myślenia...

Miałem dość jego teoretycznych rozważań. Miałem dość jego głębokich uwag. Miałem go w ogóle dosyć.

– W porządku – powiedziałem – zachowaj swoje uwagi dla kogo innego. Ja już z nich nie będę korzystał. Wzruszył ramionami.

– Jak uważasz. Przypominam ci tylko, że naprawdę mogę ci pomóc. Znam się przecież na rzeczy. Napisałem...

– Zamilknij. Natychmiast przestań.

W moim głosie zabrzmiało coś takiego, że posłusznie zamknął gębę.

– Sierżancie – powiedziałem. – Zostaniecie w tym

pokoju. Nie wpuszczajcie tu nikogo. Ty, Kwiryn, przejdiesz do pokoju na dole i zostaniesz już tam. Przyślij mi natychmiast kaprała Lisa i chłopców z techniki, o ile oczywiście jeszcze nie odjechali.

– Nie odjechali – wtrącił się Wyderko. – Nie mogli przecież odjechać bez zameldowania się u obywatela porucznika.

Miałem także dość i Wyderki. Głowa mi pękała. Przerwałem mu ostro:

– Gdy będę miał jakieś wątpliwości w kwestiach regulaminowych, sierżancie, nie omieszkam was się poradzić. Na razie proszę wykonywać polecenia.

Zamilkł i wyprężył się służbiście. Kwiryn zniknął bez słowa za drzwiami. Popatrzyłem jeszcze raz przez chwilę na rozłożonego w fotelu nieboszczyka, na sierżanta zamarłego w postawie zasadniczej i także wyszedłem na korytarz.

Kwiryn wziął do serca moje polecenie. Kapral Lis i ludzie z ambulansu technicznego już wbiegali po schodach na górę. Zatrzymałem ich i wydałem polecenia:

– Wy, chłopaki, zrobicie mi tamten pokój – wskazałem ręką na drzwi. – No, zabierajcie się do roboty. A wy, kapralu, odpowiedzcie mi na kilka pytań...

Odpowiedział na te pytania. Nie dowiedziałem się niczego ciekawego. Zgodnie z moim zaleceniem rozmieścił wszystkich w pokojach na górze. Nie kazałem mu ich pilnować, więc nie pilnował. Pozostał na parterze z pracownikami techniki. Z własnej już inicjatywy polecił mieszkańcom domu, aby się z sobą nie kontaktowali, ale nie sprawdzał, czy się do tego stosują.

Zagryzłem wargi. Sprawa wyglądała paskudnie. Wiedziałem, że rozmowa ze starym nie będzie należała

do najprzyjemniejszych, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać. Trzeba było zacząć działać. Zacząłem od najprostszego. Wraz z Lisem obszedłem wszystkie pokoje, w których pojedynczo przebywali mieszkańcy willi. Każdemu zadawałem jedno jedyne pytanie. Pytałem, czy opuszczał swój pokój w ciągu ostatniej godziny. Nikt się do tego nie przyznał. Nikt niczego nie zauważył.

Przed wejściem do każdego z pokoi zamierało mi serce. Po prostu bałem się, że odkryję jeszcze jednego trupa. Tak jak wtedy, gdy wraz z Wyderką i Kwirynem wszedłem do pokoju Rylskiego, aby od rozmowy z nim zacząć serię poważnych przesłuchań.

Na szczęście wszyscy żyli. Jeden z nich był mordercą. I musiałem go wykryć. Teraz to już nie było tylko zwyczajne zadanie służbowe. Stawało się to sprawą bardzo dla mnie osobistą.

Z aparatu w sypialni państwa Wodnickich połączyłem się ze starym. Był jeszcze w komendzie. Pomyślałem, że ten człowiek chyba nigdy nie sypia, i opowiedziałem mu o wszystkim. Nie powiem, żeby był zachwycony, długo nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że pod samym moim nosem popełniono nowe morderstwo, ale nie odwołał mnie do komendy. Kazał kontynuować śledztwo i nie zapowiedział, że przyśle kogoś, kto by mnie zastąpił. Może naprawdę nie miał pod ręką nikogo wolnego?

Kiedy odkładałem słuchawkę, byłem spocony jak mysz po połogu. Zapaliłem papierosa i załatwiłem jeszcze jeden telefon. Zadzwoiłem do Baški. W ogóle nie chciała ze mną rozmawiać. Zupełnie jej się zresztą nie dziwiłem. W głębi serca od dawna ją podziwiałem, że potrafiła wytrzymać ze mną przez tyle lat.

Zabrałem się do roboty. Kaprala Lisa posłałem do

spółdzielni po żółty ser i bułki, poprosiłem, aby Beata przygotowała nam herbaty, i rozpocząłem przesłuchania.

Skończyłem je gdzieś koło południa. Nieznośny ból głowy, który towarzyszył mi już od rana, nie ustępował, mimo że łyknąłem kilka proszków z zapasów pani Wodnickiej i popiłem je jeszcze jedną mocną kawą, zaparzoną przez Beatę.

Przesłuchania nie dały dosłownie nic. Potwierdziły tylko te informacje, które już wcześniej uzyskałem od Kwiryna. Niektóre osoby, zwłaszcza dwie panie, miały pewne opory przy wyjawianiu, gdzie i z kim spędzały noc, ale metody łagodnej perswazji poskutkowały i rewelacje Kwiryna o erotycznym życiu mieszkańców willi uzyskały potwierdzenie.

Siedziałem przy stole i paliłem papierosa. Czułem się bezradny jak żuk wyrócony łapkami do góry i zagubiony jak Jaś i Małgosia w głębinach czarnego boru. Bezmyślnie kartkowałem leżącą przede mną książkę. Jej tytuł brzmiał: *Partyzanckim szlakiem. Wspomnienia uczestników walk partyzanckich w Puszczy Kampinoskiej*. Książka składała się z kilkunastu wyraźnie wyodrębnionych relacji. Były w niej ilustracje. Przeważały fotografie, na których kilkunastu sztywno wyprostowanych młodych ludzi, różnorodnie umundurowanych i uzbrojonych, wpatrywało się z powagą w obiektyw. Zdjęcia były do siebie bliźniaczo podobne i w większości niezbyt wyraźne.

Oderwałem wzrok od książki.

Nic nie wiedziałem, co robić. Powtórzyć przesłuchania? Wracać do komendy? Nie mogłem się zdecydować. W końcu postanowiłem przemyśleć jeszcze raz wszystko od początku. Szkopuł tkwił w tym, że czynność tę

wykonałem już uprzednio bez żadnego rezultatu kilkakrotnie. Ale trzeba było spróbować raz jeszcze.

Ktoś zapukał delikatnie do drzwi. Podniosłem głowę znad książki i powiedziałem znużonym głosem:

– Wejść.

Drzwi lekko się uchyliły i do pokoju wpłynął Kwiryn. Wpłynął. To było najwłaściwsze określenie. Jego ruchy były miękkie i zwolnione. Wokół rozniosła się leciutka woń alkoholu. Widać Kwiryn zdążył już być we własnym zakresie nadrobić niedopatrzenie pani Wodnickiej polegające na niepodawaniu gościom mocniejszych trunków.

– Można? – zapytał.

W pierwszej chwili miałem ochotę wyrzucić go za drzwi, ale powstrzymałem się od tego. Uświadomiłem sobie bowiem nagie, że jednak przesłuchania całkowicie potwierdziły informacje, jakie od niego wcześniej otrzymałem. Mimo swojego nieznośnego gładzenia mógł być jednak w dalszym ciągu pożyteczny.

– Siadaj, pijaczku – wskazałem mu krzeselko. – Wymyśliłeś coś nowego?

Łagodnie osunął się na krzeselko i obruszył niemrawo:

– Nie jestem żadnym pijaczkiem, Holmesie. Po prostu lubię od czasu do czasu pokrzepić się czymś mocniejszym. Alkohol dezynfekuje korę mózgową. A jeżeli chodzi o twoje pytanie, to chciałem cię poinformować, że nic nowego nie przyszło mi do głowy. W każdym razie nic specjalnie rewelacyjnego.

Z rezygnacją machnąłem ręką. Okazało się, że w impasie, w jakim się znalazłem, nie można liczyć nawet na wyobraźnię Kwiryna. Wyczuł widać mój nastrój, bo przyjrzał mi się uważnie i powiedział:

– Nie przejmuj się. Przed świtem jest zawsze najciemniej. Jakoś z tego wybrniesz. Daj papierosa.

Odsunąłem przeglądaną książkę i wskazałem na paczkę papierosów leżących pod nią. Nie spiesząc się sięgnął po jednego i leniwym spojrzeniem obrzucił rozłożony tom. Potem zapytał:

– Czemu przeglądasz tę książkę?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Tak sobie. Tę książkę – wyjaśniłem – wyciągał z półki Wodnicki chyba na chwilę przed śmiercią. Na grzbiecie były jego odciski palców. Prawdopodobnie morderca zaskoczył go w chwili, gdy usiłował ją zdjąć z półki. Nie zdążył już tego zrobić.

Kwiryn zapalił papierosa i utopił spojrzenie w suficie.

– Ciekawe – mruknął – po co mu była ta książka?

– Nie wiem. Nie dowiemy się tego nigdy. Umarli nie składają zeznań.

– O! – ucieszył się. – Świetny tytuł *Umarli nie składają zeznań*. Pozwolisz, że go kiedyś wykorzystam?

Machinalnie kiwnąłem głową. Myślałem o czymś zupełnie innym.

– Swoją drogą – kontynuował Kwiryn – ciekawe, po co sięgał po tę książkę. Szkoda, że się tego nie dowiemy.

– Dużo by pomogło – zlekceważyłem jego zainteresowanie – dałbym za to wiele, aby wiedzieć, o czym chciał rozmawiać Wodnicki ze swoim przyjacielem na kilka godzin przed śmiercią. Dzwonił do niego... Niestety, nie zastał go w domu...

W mętnych ślepkach Kwiryne zapaliły się iskierki zainteresowania.

– Co to za telefon? Nic mi o tym nie mówiłeś?

Opowiedziałem mu o tym, co zeznała Wodnicka.

– Wiesz – kończyłem – wygląda na to, że chciał powiedzieć temu przyjacielowi z partyzantki coś bardzo ważnego...

Kwiryn sięgnął po rozłożony na stole tom.

– Jak się nazywa ten przyjaciel? – zapytał przerzucając stronicę książki.

– Koczyński. Paweł Koczyński... To nam nic nie da. Przecież się do niego nie dodzwonił...

Zamilkliśmy. Kwiryn dalej przeglądał książkę. Nagle znieruchomiał, a potem podsunął mi pod nos rozarty toin. W pierwszej chwili nie wiedziałem, o co mu chodzi, ale to trwało tylko sekundę. Przeczytałem tytuł rozdziału. Brzmiał: „Nieudana prowokacja”. Autorem relacji był porucznik... Paweł Koczyński – pseudonim „Żbik”.

Chciałem wyrwać Kwirynowi książkę, ale jej nie puścił. Dałem więc spokój i czytałem mu przez ramię, a kiedy skończyliśmy lekturę, Kwiryn powiedział:

– Teraz już go mamy...

– Tak – mruknąłem cicho – chyba już go mamy. Ale będzie sporo kłopotów z dowodami.

– O to się nie martw – roześmiał się – Zostaw to już mnie. Jest kilka klasycznych sposobów postępowania w takich wypadkach. Znam się na tym. Wybierzemy sposób najskuteczniejszy i najbardziej klasyczny.

Zgromadziliśmy wszystkich w pokoju kominkowym na dole. Za oknami było czerwone słońce i nagrzane, przesycone upałem, spływające żywicą sosny. Siedzieli sztywno na krzeselkach i wpatrywali się we mnie z ogromną uwagą. Było ich sześcioro: Kwiryn, zapłakana

pani Wodnicka, otyły pan Salaburski, piękna Beatka z podkrążonymi niewyspanymi oczętami i pani Flora o wspaniałych kształtach. I tylko ona jedna wyglądała tak, jakby nic nadzwyczajnego nie zaszło, jakby przybyła tu prościutko od fryzjera i z gabinetu kosmetycznego. Siedzący obok niej długowłosa chuderlawy młodzieniec – Stefan Silnicki – wiercił się niespokojnie i nerwowo obgryzał paznokcie. Obok mnie za stołem tkwił wyprostowany sztywno sierżant Wyderko. Kapral Lis stał leniwie oparty o framugę drzwi i palił papierosa.

Powiodłem wzrokiem po zebranych, odchrząknąłem i zacząłem mówić:

– Zgromadziłem państwa wszystkich po to, aby do końca rozwiązać zagadkę morderstwa, które tu zostało popełnione. A właściwie zagadkę dwóch kolejnych morderstw – poprawiłem się.

– Początkowo nie mieliśmy pojęcia, kto mógł te zbrodnie popełnić. Zaczęliśmy więc od ustalenia alibi osób przebywających w tym domu. W sprawie, drugiego morderstwa nikt z państwa, z wyjątkiem pana Kwiryna, który w tym czasie przebywał w moim towarzystwie, nie miał alibi. Każdy mógł cichaczem opuścić swój pokój, odwiedzić mecenasa Rylskiego, pchnąć go nożem i nie zauważony przez nikogo, powrócić do siebie. W sprawie pierwszego morderstwa cztery osoby posiadały coś w rodzaju alibi. Polegało ono na tym, że ta czwórka składała się z dwóch par, które wspólnie spędzały godziny nocne. Alibi to dość wątpliwe, gdyż któraś z par mogła się po prostu składać ze współników zbrodni. Inne osoby w ogóle nie miały żadnego alibi.

W tej sytuacji postanowiliśmy skoncentrować się na wykryciu przyczyn tych morderstw. Powodów, które do

nich doprowadziły. Braliśmy pod uwagę różne możliwości. Niekiedy bardzo mało prawdopodobne. Wiele pomógł mi w tym obecny tu pan Kwiryn. – Wymieniony z powagą pokiwał brodą i skromnie opuścił oczy. – Wyeliminowaliśmy wiele z nich i w końcu doszliśmy do prawdy. Proszę państwa – zrobiłem efektowną pauzę – wykryliśmy powody tych makabrycznych morderstw.

Zaczerpnąłem oddechu i jeszcze raz powiodłem po nich tryumfalnym spojrzeniem. Byli zasłuchani i wpatrzeni we mnie. Słysząc było ich przyspieszone oddechy.

– Otóż, proszę państwa, sprawa wygląda tak.. Jak państwo zapewne wiedzą, w okresie okupacji pan Wodnicki walczył w partyzantce w Puszczy Kampinoskiej. Wiosną roku 1944 do oddziału przeniknął szpicel nastłany przez gestapo. Występował w roli uciekiniera z hitlerowskiego więzienia. Opowiedziana przez niego historia wyglądała dość prawdopodobnie. Na partyzantów natknął się ponoć przypadkowo błądząc po lesie, w którym szukał schronienia... Przyjęto go do oddziału. Ale zastępca dowódcy porucznik Żbik, odpowiedzialny za kontrwywiad i rozpoznanie, znał swoje obowiązki. Postanowił dyskretnie sprawdzić „nowego”. „Próba wypadła dla szpicla fatalnie. Nie wiedział, że jest stale obserwowany, i za wcześniej spróbował nawiązać kontakt z posterunkiem żandarmerii w Laskach...

Dzięki czujności Żbika śmiertelne niebezpieczeństwo, które zawisło nad oddziałem, zostało zażegnane. Niestety, tak się złożyło, że szpicel nie poniósł zasłużonej kary. Zorientował się, że został zdemaskowany, i zdołał zbiec...

Całą tę historię porucznik Żbik opisał we wspomnieniach wydanych przed kilku laty – podniosłem ze stołu

książkę i pokazałem ją zebrany. – Wczoraj pan Wodnicki wśród gości swego pensjonatu rozpoznał kogoś, kto przypominał mu tamtego hitlerowskiego agenta. Minęło wiele lat i Wodnicki nie miał stuprocentowej pewności, że się nie pomylił. Usiłował się więc dozwonić do swego przyjaciela, właśnie do porucznika Żbika. Pewnie chciał go tu sprowadzić, aby i on mógł rozpoznać szpicla. Niestety, nie dozwonił się...

W zachowaniu Wodnickiego musiało być coś, co sprawiło, że zbrodniarz zrozumiał, iż został zdemaskowany. Nie mógł zwlekać. Postanowił unieszkodliwić niebezpiecznego świadka. Wodnicki mu sam to zresztą ułatwił. Nocą zszedł do tego pokoju. Morderca usłyszał skrzypnięcie drzwi w pokoju Wodnickiego. Poszedł za ofiarą. Potem uderzył.

Tak miała się sprawa z pierwszym morderstwem. Drugie było konsekwencją pierwszego. Wodnicki jeszcze wczoraj po południu lub wieczorem musiał wypytawać Rylskiego o osobę, którą rozpoznał. Oczywiście nie rzucał żadnych oskarżeń, nie był przecież pewny swojego odkrycia, ale pytał chyba tak dociekliwie, że Rylski to dobrze zapamiętał i dziś rano, już po wykryciu zabójstwa, powiedział mordercy o zainteresowaniach Wodnickiego. Dlatego także musiał umrzeć, i to jeszcze zanim był przesłuchiwany i powiedział nam, co wie. Morderca jeszcze raz zaryzykował. I jeszcze raz mu się udało.

Zamilkłem i zapaliłem nowego papierosa. Nikt się nie odezwał. Wypiłem resztę kawy ze szklanki stojącej przede nią i zacząłem mówić dalej:

– Oczywiście, w chwili gdy odkryliśmy powody zbrodni, ustalenie osoby mordercy było sprawą stosunkowo prostą. Musiał być to ktoś, kogo zobaczył Wodnicki

po raz pierwszy po latach dopiero wczoraj, musiał być w odpowiednim wieku, a mecenas Ryłski był osobą, która mogła udzielić o nim pewnych informacji. Wiedzieliśmy już, o kogo chodzi, ale udowodnienie mu zbrodni nie było jednak sprawą prostą.

Oczywiście mogliśmy go skonfrontować z człowiekiem, do którego wczoraj usiłował dodzwonić się Wodnicki, ale zawsze istniała możliwość, że tamten, po latach, nie rozpozna jednak konfidenta. Zapowiadało się długie, skomplikowane śledztwo, którego wynik wcale nie był pewny. Na szczęście, proszę państwa, uporaliśmy się z tymi trudnościami.

Zbliżał się moment kulminacyjny. Napięcie w pokoju wzrosło do ostatnich granic. Tylko Kwiryn był spokojny. Rozprężony i wygodnie rozwalony w trzcinowym foteliku, dłubał zapałką w zębie.

– Tak się zwykle powiada, że umarli nie składają zeznań. Tym razem było jednak zupełnie inaczej. Zdarzył się cud. Pan Wodnicki powiedział nam, kogo rozpoznał, i w dodatku dostarczył nam niezbitego dowodu, że się nie omylił.

Wodnicki zszedł tu na dół w konkretnym celu. Na półce – wskazałem za siebie – leżała książka zatytułowana: *Partyzanckim szlakiem*. Wodnicki przypomniał sobie, że na jednym ze zdjęć towarzyszących wspomnieniom porucznika Żbika powinna być osoba, o którą mu chodziło. Te zdjęcia wykonano w oddziale Wodnickiego na kilka dni przed zdemaskowaniem hitlerowskiego agenta... Nie zdążył sprawdzić. Kiedy wyciągał książkę z półki – morderca uderzył...

Ale my, proszę państwa, starannie przejrzelismy tę książkę! – uderzyłem palcami w leżący na stole tom. –

Wodnicki dobrze pamiętał. W tej książce na zbiorowym zdjęciu oddziału znajduje się także i hitlerowski szpieg. Choć fotografia nie jest zbyt ostra, rozpoznaliśmy go od razu. Niewiele się zmienił...

Trzask wywracanego krzeselka zmieszał się z przeraźliwym piskiem pani Flory. Salaburski z siłą i energią, której trudno było się spodziewać widząc jego tuszę, runął do drzwi wyjściowych.

Ale tam już czuwał kapral Lis. Kapral Lis w godzinach pozasłużbowych trenuje w sekcji dzudo naszego klubu. Pomoc Wyderki, który także podbiegł w kierunku drzwi, okazała się właściwie zbędna. Po kilkunastu sekundach na przegubach dłoni Salaburskiego zatrzaśnięty się kajdanki.

Stał teraz nieruchomy, fioletowy na twarzy, ociekał potem i dyszał ciężko. W jego wzroku była nienawiść i strach. Obłądny strach dzikiego zwierzęcia zagnanego w pułapkę.

Kując żelazo jeszcze gorące zapytałem szybko:

– Jak się pan właściwie nazywa, panie Salaburski?

Przymknął oczy, wyprężył się jak struna i wybełkotał:

– Panowie... to nieporozumienie... zresztą, ja... – głos jego załamał się płacźliwie – nie zabijałem z premedytacją... zrozumcie, musiałem to zrobić, musiałem, wtedy, przed laty, byłem młody i głupi, nie wiedziałem, co robię... panowie! Uwiercie! Oni mnie wtedy zmusili...

Zapadło przygniatające milczenie. Zanim zdążyłem wydać polecenie, aby wyprowadzono zbrodniarza, Kwiryn, który przez cały czas zachowywał kamienny spokój, odrzucił zapałkę, którą dłubał w zębie, i wyszczerzając się w uśmiechu powiedział:

– Powiem coś panu, panie Salaburski. Nabraliśmy pana jak ostatniego frajera. Zawiodły pana i nerwy, i pamięć. W tej książce wcale nie ma pańskiego zdjęcia... Nikt pana w czasie pobytu wśród partyzantów nie fotografował...

* * *

– ...Tak, Baśka! Mówię ci jeszcze raz, że jednak jedziemy na te wczasy... – za kilka godzin będę w domu, to ci wszystko wyjaśnię. Pa, kochanie! – odłożyłem słuchawkę na widełki.

– No i po kłopotcie – powiedział Kwiryn nalewając sobie do szklaneczki bursztynowego płynu z kształtnej piersiówki. – Swoją drogą – dodał – jesteśmy ciężkie frajery, od razu mogliśmy wpaść na poprawne rozwiązanie całej sprawy... od razu mogliśmy się domyślić, o co w tej historii chodziło...

– Tak uważasz? – zapytałem sceptycznie.

– Oczywiście! – zapewnił mnie gorąco. – Przynajmniej ja jako fachowiec powinienem był wpaść na to już na samym początku. Przeczytałem przecież wszystkie polskie powieści kryminalne...

Nie chciało mi się wdawać w dyskusję. Byłem zmęczony, piekielnie zmęczony. Marzyłem tylko o tym, żeby mieć już za sobą rozmowę ze starym i wrócić do domu. Do łóżka.

Wyczuł mój nastrój i moje myśli. Pokiwał głową, łyknął płynu ze szklaneczki i powiedział:

– No, czeka cię dziś jeszcze rozmowa z szefem. Po tym drugim morderstwie mogła to być cholernie

nieprzyjemna pogawędka. Ma szczęście załatwiliśmy wszystko jak się patrzy. Będziesz mógł spokojnie spojrzeć w siwe, mądre oczy twojego starego...

Chciałem go zapylać, skąd, u licha, wie, że mój szef ma takie oczy, ale w porę ugryzłem się w język. Przypomniałem sobie, że przecież przeczytał wszystkie polskie powieści kryminalne, a sam napisał jednaście.

Spis treści

KABAŁA PANNY BARLOVE	7
BARLIET I NIEŻYWA SŁUŻĄCA	59
SPROWADŹ MI MĘŻA, BARLOW!	109
ZBRODNIA W „SŁONECZNYM KLUBIE”	161
UMARLI NIE SKŁADAJĄ ZEZNAŃ	223